

ODSZEDŁ TWÓRCA SOLIDARNOŚCI WALCZĄCEJ

Niezlomny Kornel Morawiecki
– Piotr Semka żegna bohatera



TYGODNIK LISICKIEGO

DO

CENA 7,90 zł (W TYM 8% VAT)

NR 41/343 7-13 PAŹDZIERNIKA 2019

RZECZY

Makowski demaskuje
plagę antypolskich
fake newsów w Izraelu

LGBT TO ZARAŻA
– PRYMAS CZECH STAJE
PO STRONIE
ABP. JĘDRASZEWSKIEGO

KARD. DOMINIK JAROSLAV DUKA



Precz z ciszą wyborczą!
– apeluje Warzecha

SEKRET SKUTECZNOŚCI PREZESA

Jak Kaczyński
rządzi PiS



Nr indeksu 288829

ISSN 2299-8500



Nakład: 77 tys. egzemplarzy



NA KONCERT

Gintrowski
a jednak coś po nas zostanie...

ZAPRASZA MECENAS



ORLEN

WARSZAWA

9 GRUDNIA 2019r.

TEATR POLSKI IM. ARNOLDA SZYFMANA



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Gra masek

To najważniejsze wybory od 30 lat – ten slogan, który politycy powtarzają od kilku tygodni, zawiera w sobie jednak sporo prawdy. Rzeczywiście, obecne głosowanie będzie testem dla rządzących. Już nie tylko sondaże i analizy socjologiczne, lecz także sami wyborcy odpowiedzą na proste skądinąd pytanie: czy w Polsce w 2019 r. żyje im się lepiej, bezpieczniej, spokojniej i bardziej dostatnio niż cztery lata wcześniej, czy też nie. Czy mimo różnych wpadek, błędów i potknięć obecnie rządząca formacja spełniła pokładane w niej nadzieje? Czy istnieje dla niej sensowna i wiarygodna alternatywa?

Wbrew coraz częstszemu głosom ze strony polityków opozycji i ich propagandowego zaplecza będą to wybory sprawiedliwe i równe. Pierwszy raz zresztą po 1989 r. rządząca prawica, w dużej mierze dzięki mediom publicznym, ma własny kanał, za pośrednictwem którego może docierać do wyborców. Nie zmienia to prostego faktu, że po drugiej stronie są najsilniejsze i największe media prywatne: wielkie portale, największe rozgłośnie radiowe, silna prywatna telewizja, wreszcie większość gazet.

Opowieść, że jeśli PiS wygra, to będzie to zwycięstwo nieuczciwe, bo osiągnięte dzięki propagandzie mediów publicznych, funta kłaków nie jest warta. Media publiczne stanowią jedynie część systemu medialnego i dzięki ich postawie można mówić o względnej równowadze. Jeśli PiS wygra, to dlatego, że większość Polaków uzna, że po prostu rządził lepiej niż poprzednicy oraz, co ma takie samo znaczenie, że nikt nie jest w stanie go zastąpić.

To jest sprawa kluczowa. Opozycja nie potrafiła przedstawić żadnego czytelnego planu i projektu. Przez cztery lata główna działalność jej polityków sprowadzała się do nieustannego nakręcania emocji. Raz po raz miało okazać się, że Polska znajduje się na skraju katastrofy, w przededniu upadku, totalnego zniszczenia. Upadała demokracja, narastał faszyzm, rodził się autorytaryzm. Im gorzej, tym lepiej. Mniej lub bardziej rozgarnięci profesorowie publikowali kolejne oszalałe manifesty, a na czele walki o demokrację stawiali kolejni jednodniowi bohaterowie. Ciekawe, kto pamięta wielkie międzynarodowe sukcesy Mateusza Kijowskiego? Albo słynne wystąpienie poseł

Kamili Gasiuk-Pihowicz? Albo buńczuczne deklaracje Ryszarda Petru? Albo wygłupy okupujących Sejm posłanek PO?

Pod tym względem do dzisiaj nic się nie zmieniło. W „GW” Agnieszka Holland ogłasza, tuż przed wyborami, że w ramach pokuty za dziejowy ucisk kobiet mężczyźni powinni przez trzy następne kadencje stracić prawa wyborcze. Tak, Holland to nie polityk, wolno jej mówić, co jej ślina na język przyniesie. Tylko przypominę, że do tej pory każda jej mądrość na temat tego, jak straszna jest Polska pod rządami PiS, przyjmowana była przez przedstawicieli opozycji niemal jak Słowo Objawione. Stała się dla nich autorytetem. O ile Holland plecie głupoty na własną rękę, o tyle już nie da się tego powiedzieć o pani Klaudii Jachirze i podobnych jej kandydatach i kandydatkach. Jej szyderstwa, brutalność i agresja idą na konto opozycji, która jednocześnie próbuje przekonać Polaków, że dąży do zażegnania konfliktów. Doprawdy, gra to masek i teatr iluzji. Dotyczy to nie tylko Koalicji Obywatelskiej. Kiedy usłyszałem, jak Władysław Kosiniak-Kamysz opowiada w debacie telewizyjnej o przywiązaniu PSL do wartości chrześcijańskich, nie mogłem uwierzyć własnym oczom.

Przecież polityk ten jeszcze nie tak dawno okłaskiwał Leszka Jażdżewskiego na spotkaniu z Donaldem Tuskiem! Jeszcze nie tak dawno jego partia była częścią Koalicji Europejskiej (a może nadal jest, bo przecież wszyscy startują razem do Senatu).

Rzeczywiście, trudno mi sobie wyobrazić, żeby ktoś, kto kieruje się zdrowym rozsądkiem, mógł oddać głos na przedstawicieli tej krzykliwej, wielobarwnej, skłóconej wewnętrznie, często niedojrzałej czeredy. ©©

RYСУNEK TYGODNIA





TEMAT TYGODNIA

18 WOJCIECH WYBRANOWSKI

WÓDZ CZY LIDER

Przeciwnicy polityczni nazywają go dyktatorem, współpracownicy i działacze partyni mówią o zręcznym menedżerze

KRAJ

24 KAMILA BARANOWSKA

WALEC PIS

Partia Kaczyńskiego w kampanii popełniała mniej błędów i skutecznie zażęgnywała kryzysy

26 ROZMOWA Z PAWŁEM SZEFERNAKEREM

PO CHWYTA SIĘ BRZYTWY

28 ŁUKASZ WARZECHA

ABSURD WYBORCZY

30 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

CZTERY LATA TOTALNOŚCI

32 PIOTR SEMKA

KORNEL WALCZĄCY

38 ROZMOWA Z MARKIEM ZAGÓRSKIM

CYFRYZACJA WYPRZE BIUROKRACJĘ

40 AGNIESZKA NIEWIŃSKA

KLIMATYCZNY LANS

KULTURA

42 ZBIGNIEW TOMASZ ZAPERT

DUSZA KOBUSZA

Odszedł aktor wybitny i kochany

44 TOMASZ A. ŻAK

SARKOIDOZA, CZYLI ZWAPNIENIE EUROPY

NIE PRZEGAP

46 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

52 PAWEŁ LISICKI I MACIEJ SZYMANOWSKI

LGBT TO ZARAŻA

Rozmowa z prymasem Czech, kardynałem Dominikiem Jaroslavem Duką

56 JAN PARYS

LUDWIG ERHARD ROKU 2019

58 Robert Tekieli

PIS, PLATFORMA TO SAMO ZŁO? NIE

HISTORIA

62 MONIKA ODROBIŃSKA

KWIAT NA KAMIENIU

Mija 320 lat od odzyskania z rąk tureckich Kamieńca Podolskiego

66 POLEMKA

POLSKA OSAMOTNIONA CZY WSPOMAGANA?

ŚWIAT

70 TERESA STYLIŃSKA

NOBEL I EKOLOGIA

Gdyby poważnie traktować głosy mediów, można by sądzić, że tegoroczną laureatką Pokojowej Nagrody Nobla będzie Greta Thunberg

72 MARCIN MAKOWSKI

IZRAELSKIE FAKE NEWSY

EKONOMIA

76 JACEK PRZYBYLSKI

TRYBUNAŁ

UKARAŁ BANKSTERÓW

Posiadacze kredytów „frankowych” mogą żądać uznania umowy za nieważną – orzekł Trybunał Sprawiedliwości UE

78 STEFAN SĘKOWSKI

BOLESNY MNIEJSZY PIT

80 ANNA GEMBICKA

PSL UZNAŁO, ŻE NIE TRZEBA POMAGAĆ WSI

82 JACEK PRZYBYLSKI

WALKA O NIEBO

O ZDROWIU

88 KATARZYNA PINKOSZ

SKAZANI

NA OSTEOPOROZĘ?

Rozmowa z prof. Witoldem Tłustochowiczem, reumatologiem

90 KATARZYNA PINKOSZ

CHORUJE NIE TYLKO SKÓRA



FOT. MATERIAŁY PRASOWE GRUPY LOTOS

Morskie Centrum Produkcyjne już na złożu B8

Platforma Petrobaltic po 30 godzinach holowania stanęła w pobliżu platformy LOTOS PETROBALTIC na złożu B8, gdzie będzie przygotowywana do przejścia produkcji. Tydzień wcześniej, 20 września o godz. 8.30, platforma została wyprowadzona ze Stoczni Remontowa, gdzie zakończył się kolejny etap przebudowy jednostki na Morskie Centrum Produkcyjne – Morską Kopalnię Ropy i Gazu.

Platforma należąca do spółki LOTOS Petrobaltic czekała na opuszczenie nabrzeża stoczniowego od końca sierpnia br. Tak skomplikowana operacja wymagała bardzo dobrych warunków atmosferycznych utrzymujących się przez kilka dni. Pierwszy etap, który rozpoczął się w piątek 20 września, zakładał przeholowanie jednostki na kotwiczowisko nr 4, znajdujące się w Porcie Północnym. Później platforma czekała na odpowiednie warunki pogodowe. W środę 25 września okno pogodowe pozwoliło na przetransportowanie platformy z kotwiczowiska nr 4. Jednostkę przeholowały holowniki Bazalt i Akul w asyście Aphrodite I. Po 30 godzinach platforma

stanęła w pobliżu złoża B8, znajdującego się w polskiej strefie ekonomicznej Morza Bałtyckiego, w odległości ok. 70 km na północ od Jastarni. Docelowo platforma Petrobaltic ma przejąć wydobywanie z pracującej tam platformy LOTOS Petrobaltic.

Przebudowa platformy wiertniczej była dużym i skomplikowanym projektem. Po niespełna dwóch latach intensywnych prac jednostka została przebudowana na nowoczesne, ekologiczne i wydajne Centrum Produkcyjne. Kluczowa dla całego przedsięwzięcia była operacja nasuwania i montażu na pokładzie platformy czterech potężnych modułów o wadze kilkuset ton każdy. Kolejnym elementem był montaż

podpory pod moduł mieszkalny oraz spalarki gazów, czyli flary. Następnie kanałem portowym, przy użyciu barek, z ogromną precyzją przetransportowano moduł mieszkalny z lądowiskiem dla śmigłowców o wadze ok. 550 ton. Równie skomplikowaną operacją było posadowienie potem modułu na platformie.

– Projekt ma długą i skomplikowaną historię sięgającą 2015 r. „Godziną prawdy” było posadowienie jednostki na złożu B8, prace na morzu, rozruchy, uruchomienie zainstalowanych na platformie systemów oraz efektywne zakończenie zagospodarowania złoża B8 – tłumaczy Grzegorz Strzelczyk, prezes zarządu LOTOS Petrobaltic.

Morskie Centrum Produkcyjne stało się nowoczesną, ekologiczną i wydajną platformą. Na projekcie pracowało jednocześnie nawet do 500 osób i – co trzeba podkreślić – wszystkie prace były wykonywane bezpiecznie.

– Mamy ogromne doświadczenie w przebudowach i modernizacjach platform dla morskiego sektora wydobywania ropy i gazu. Przebudowaliśmy

kilkanaście platform różnego typu dla największych światowych koncernów naftowych. Tym bardziej cieszę się, że po latach także polski armator skorzystał z naszej wiedzy i doświadczenia w tej dziedzinie. Jesteśmy gotowi wspierać LOTOS w kolejnych inwestycjach we flotę i pracować razem na rzecz zwiększenia bezpieczeństwa energetycznego Polski – dodaje Piotr Soyka, prezes Grupy Kapitałowej Remontowa Holding, do której należy Gdańska Stocznia „Remontowa” SA.

Przebudowa platformy to jeden z projektów inwestycji zagospodarowania złoża B8. Obecnie realizowany zakres prac dotyczy I fazy, która zakończy się stabilnym wydobywaniem z czterech odwiertów produkcyjnych. Plan docelowego zagospodarowania złoża B8 zakłada dalszy rozwój infrastruktury na złożu w II fazie, która umożliwi zwiększenie wolumenu wydobywania ropy i gazu, stabilny transport gazu wybudowanym w 2018 r. przez LOTOS Petrobaltic rurociągiem do Władysławowa oraz stabilizację pracy złoża poprzez zatłaczanie wody.

Z głębokim żalem przyjęliśmy wiadomość o śmierci



Kornela Morawieckiego

działacza opozycji antykomunistycznej
w czasach PRL,
założyciela i przewodniczącego
Solidarności Walczącej,
posła i marszałka seniora Sejmu VIII kadencji,
Kawalera Orderu Orła Białego.

Wyrazy głębokiego żalu
i współczucia Rodzinie i Bliskim
w imieniu Grupy Europejskich Konserwatystów
i Reformatorów w Parlamencie Europejskim

składa
Ryszard Legutko

Z głębokim smutkiem przyjęłem wiadomość o śmierci



Kornela Morawieckiego (1941–2019)

posła na Sejm Rzeczypospolitej Polskiej.

Działacza opozycji antykomunistycznej,
członka NSZZ Solidarność, założyciela i przywódcy
Solidarności Walczącej, aktywnego uczestnika oporu
wobec dyktatury komunistycznej, szykanowanego
i prześladowanego przez cały okres PRL,
zwłaszcza w stanie wojennym.

Niezłomnego orędownika walki o niepodległość,
zawsze gotowego do najwyższych poświęceń dla Polski.

Odznaczonego Orderem Orła Białego
oraz Krzyżem Wolności i Solidarności.

Rodzinie, przyjaciółom, współpracownikom
i wszystkim dotkniętym tą bolesną stratą
składam najserdeczniejsze wyrazy współczucia.

dr Jarosław Szarek
Prezes Instytutu Pamięci Narodowej

Rodzinie, Bliskim, Współpracownikom
wyrazy głębokiego współczucia oraz najszczerze kondolencje
z powodu śmierci



Kornela Morawieckiego

Marszałka Seniora, Kawalera Orderu Orła Białego,
bohatera opozycji demokratycznej i męża stanu

składa
Rada Nadzorcza,
Zarząd Grupy LOTOS SA
oraz pracownicy Grupy Kapitałowej LOTOS

KONDOLENCJE

Z głębokim smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci



Kornela Morawieckiego

Niezlomnego działacza antykomunistycznej opozycji
Marszałka Seniora Sejmu RP
Kawalera Orderu Orła Białego

Panu Premierowi Mateuszowi Morawieckiemu
oraz Rodzinie i Bliskim składamy najszczerze
wyrazy współczucia.

**Zarząd, Rada Nadzorcza
oraz pracownicy Polskiego Funduszu Rozwoju**

KONDOLENCJE

PANU

MATEUSZOWI MORAWIECKIEMU

Prezesowi Rady Ministrów

WYRAZY GŁĘBOKIEGO WSPÓŁCZUCIA
Z POWODU ŚMIERCI OJCA



KORNELA MORAWIECKIEGO

składa

KIEROWNICTWO

POLSKIEJ AGENCJI ROZWOJU PRZEDSIĘBIORCZOŚCI

KONDOLENCJE

Wyrazy najgłębszego współczucia
po śmierci



Kornela Morawieckiego

Człowieka, który był symbolem i legendą walki o wolną
i suwerenną Polskę,
nieodżałowanego Ojca Mateusza Morawieckiego,
Prezesa Rady Ministrów,
składają

**Zarząd i pracownicy
Banku Gospodarstwa Krajowego**

KONDOLENCJE

Z głębokim żalem przyjęliśmy informację o śmierci



Kornela Morawieckiego

wybitnego Polaka, Kawalera Orderu Orła Białego,
twórcy i legendy Solidarności Walczącej,
Marszałka Seniora.

Rodzinie i Najbliższym składamy najszczerze wyrazy
współczucia

**Rada Nadzorcza, Zarząd i pracownicy
Agencji Rozwoju Przemysłu SA**

KONDOLENCJE

Prezesowi Rady Ministrów

**Mateuszowi
Morawieckiemu**

oraz Rodzinie

wyraży głębokiego współczucia z powodu śmierci

**Kornela
Morawieckiego**

bohatera opozycji antykomunistycznej w czasach PRL,
założyciela i przewodniczącego Solidarności Walczącej,
poślą i marszałka seniora Sejmu VIII kadencji
składają

**Rada Nadzorcza, Zarząd i Pracownicy
Giełdy Papierów Wartościowych w Warszawie**

KONDOLENCJE

Z głębokim smutkiem i żalem przyjęliśmy wiadomość
o śmierci Pana

**Kornela
Morawieckiego**

– zasłużonego polityka, działacza opozycji
antykomunistycznej w czasach PRL oraz założyciela
i przewodniczącego Solidarności Walczącej,
Kawalera Orderu Orła Białego.

Wyrażamy głęboki żal oraz składamy wyrazy
współczucia Panu Premierowi Mateuszowi
Morawieckiemu oraz całej Rodzinie i Bliskim.

Zarząd i Pracownicy
Polskich Linii Lotniczych LOT
i Polskiej Grupy Lotniczej SA

KONDOLENCJE

Pokonany przez chorobę lecz Niezwyciężony
odszedł

niezłomny działacz niepodległościowy

**Kornel Morawiecki**

Twórca i przywódca Solidarności Walczącej
Kawaler Orderu Orła Białego
Marszałek Senior Sejmu RP

W tych trudnych chwilach łączę się w żałobie z Panem Premierem
Mateuszem Morawieckim i bliskimi śp. Pana Marszałka Seniora

Jan Krzysztof Ardanowski
Minister Rolnictwa i Rozwoju Wsi

Panu Premierowi

Mateuszowi Morawieckiemu

i jego Rodzinie
wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci



Ojca

składają

Rada Nadzorcza Enei, Zarząd Enei, Pracownicy Grupy Enea

Z wielkim smutkiem przyjąłem wiadomość o śmierci



DR. KORNELA MORAWIECKIEGO

Legendarnego działacza opozycji antykomunistycznej
Założyciela niepodległościowej organizacji Solidarność Walcząca

Posła na Sejm RP

Marszałka Seniora Sejmu VIII Kadencji

Kawalera Orderu Orła Białego uhonorowanego w uznaniu znamienitych zasług na rzecz przemian demokratycznych w Polsce za wybitne osiągnięcia w działalności publicznej i państwowej

Odnaczonego Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski
przez Prezydenta RP na uchodźstwie za pełną poświęcenia działalność
dla idei wolności i niepodległości Polski

wyrazy głębokiego współczucia

RODZINIE i BLISKIM

składa

Zbigniew Ziobro

Minister Sprawiedliwości Prokurator Generalny

KONDOLENCJE

Z wielkim żalem
przyjąłem wiadomość o śmierci
jednego z najwybitniejszych współczesnych polityków



Kornela Morawieckiego

znakomitego działacza na rzecz obalenia komunizmu
w Polsce. Legendarnego
i niezłomnego działacza antykomunistycznego
w czasach PRL, założyciela
i przewodniczącego Solidarności Walczącej, posła
i marszałka senatu, Kawalera Orderu Orła Białego

Panu Premierowi
wyrazy najgłębszego współczucia
z powodu straty
składa

Adam Glapiński
Prezes Narodowego Banku Polskiego

KONDOLENCJE

Ze smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci Pana



Kornela Morawieckiego

Rodzinie i Bliskim składamy wyrazy głębokiego
współczucia.

Wszystkich pogrążonych w bólu wspieramy modlitwą.

„WIECZNY OPOCZYNEK RACZ MU DAĆ, PANIE”

Grupa Energa



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPÓŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan**, **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:

Cezary Gmyz, **Piotr Gociek**, **Waldemar Łysiak**, **Krzysztof Masłowski**, **Piotr Semka**,
Łukasz Warzecha, **Rafał A. Ziemięć**

Stali współpracownicy i felietoniści:

Kamila Baranowska, **Olivier Bault**, **Robert Bogdański**, **Joanna Bojarczyk**,
Grzegorz Brzozowicz, **Sławomir Cendekiewicz**, **Wiesław Chelminiak**,
Dominika Cioś (*Brusela*), **Krzysztof Czański**, **Piotr Gursztyn**,
Maria Kądzielska, **Katarzyna**, **Jacek Komuda**, **Sławomir Koper**,
Piotr Kowalczyk (*Rzym*), **Jakub Kowalski**, **Grzegorz Kucharczyk**,
Tomasz Leniewicz, **Ewa Łosińska**, **Łukasz Majchrzyk**, **Marcin Małowski**,
Monika Małowska, **Karolina Marchlewska-Trzmiel**, **Gabriel Michalik**,
Filip Memches, **Agnieszka Niewińska**, **Andrzej Nowak**, **Maciej Pieczyński**,
Katarzyna Pinkosz, **Witold Repetowicz**, **Agnieszka Rybak**, **Krzysztof Rybiński**,
Stefan Sękowski, **Joanna Siedlecka**, **Teresa Stylińska**, **Artur Szeremeta**,
Tomasz P. Terlikowski, **Błażej Torasiński**, **Szewach Weiss**, **Piotr Włoczyk**,
Marcin Wojski, **Tomasz Wróblewski**, **Wojciech Wybranowski**,
Igor Zalewski, **Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji
Polskiej) z zespołem: **Karol Gac** (zastępca), **Blanka Aleksowska**, **Zuzanna**
Dąbrowska (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak**, **Anna M. Piotrowska**,
Małgorzata Puzyr, **Damian Cygan**, **Jan Fiedorczuk**, **Przemysław Harczuk**
(także „Super Express”)

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia), **Jakub Tański**,
Jacek Nadratowski, **Anna Sobieska-Wójcisz**, **Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoredakcja: **Edyta Bortowska**, **Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś**, **Anna Zalewska**, **Martyna Dobos**,
Agnieszka Wasilewska

Rysownicy: **Andrzej Krauze**, **Cezary Krystofa**
Okładka: **Jakub Kaczmarek/PAP**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Piotr Piaszczyk, **Robert Pstrokoński**, **Ewa Rykaczewska**

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, **Paweł Lisicki**

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386

PUBLIC RELATIONS
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż);

Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl; tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład 77 tys. egzemplarzy

Druk: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adjustacji tekstów
oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego
wydawca wyrażnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów
opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim.
Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko
za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów
prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Hongkong: policja coraz brutalniejsza

Gubernator Hongkongu Carrie Lam skorzystała ze starych, wprowadzonych jeszcze w czasach kolonialnych przepisów o stanie kryzysowym i zabroniła zasłaniania twarzy w czasie „nielegalnych zgromadzeń”. Za złamanie zakazu ma grozić kara roku pozbawienia wolności lub wysoka grzywna (równowartość ponad 12 tys. zł).

Władze mają nadzieję, że dzięki temu uda im się wreszcie stłumić trwające od czterech miesięcy antyrządowe protety. Nowy, kontrowersyjny zakaz będzie jednak bardzo trudny do wyegzekwowania.

Wzrost napięcia doprowadził do tego, że 1 października był dniem najkrwawszych protestów w Hongkongu od kilku dekad. Policja użyła 1400 granatów z gazem łzawiącym, 900 gumowych kul i sześciu sztuk ostrej amunicji. Podczas starć jeden z funkcjonariuszy postrzelił śmiertelnie 18-letniego demonstranta. Rannych zostało ok. 100 osób, a ponad 265 – w wieku od 12 do 71 lat – trafiło do aresztów.



FOT. REUTERS/FORUM

Przeciw nowym zakazom protestowały w piątek tłumy dzemonstrantów. „Walczymy o wolność!” „Chwała Hongkongowi” – z takimi hasłami wychodzili

na ulice młodzi ludzie, żeby przekonać zachodnich dziennikarzy, że Hongkong potrzebuje interwencji zagranicznych państw. (jap) ©©

KARDYNAŁ STEFAN WYSZYŃSKI ZOSTANIE BEATYFIKOWANY



FOT. ANDRZEJ KOSZUBOWSKI/ORBIS/PAF

Papież Franciszek zatwierdził dekret potwierdzający cud dokonany za wstawiennictwem prymasa Polski, księdza Stefana Wyszyńskiego. Tym samym spełniony został ostatni wymóg niezbędny do beatyfikacji. Niebawem zostaną więc ogłoszone data i miejsce mszy beatyfikacyjnej.

Wiele wskazuje na to, że odbędzie się ona w Warszawie.

Proces zmierzający do uznania za błogosławionego kardynała Stefana Wyszyńskiego trwa już 30 lat.

Do cudu uzdrowienia miało dojść w 1988 r. na terenie diecezji szczecińsko-kamieńskiej. Do zdrowia

powróciła 19-letnia wówczas mieszkanka Szczecina chora na nowotwór tarczycy, uznawany wtedy za nieuleczalny. Do uzdrowienia miało dojść dzięki intensywnym modlitwom do Boga za wstawiennictwem Prymasa Tysiąclecia. Po 30 latach od uzdrowienia kobieta nadal żyje. Do tej pory nie było również reemisji nowotworu.

W tradycji rzymskokatolickiej jednym z warunków ogłoszenia kogoś osobą beatyfikowaną jest właśnie cud, który musi być potwierdzony m.in. przez lekarzy niezwiązanych formalnie z Kościołem. Kanonizacja wymaga już dwóch cudów.

Za życia kardynał Wyszyński był postrzegany jako mąż stanu nawet przez osoby niewierzące i niezwiązane z Kościołem. W latach niemieckiej okupacji prowadził konspiracyjną akcję oświatową i pełnił obowiązki kapelana Armii Krajowej. Po wojnie odważnie bronił polskiej racji stanu w komunistycznej Polsce.

W ramach partyjnych represji wobec Kościoła katolickiego 25 września 1953 r. prymas Wyszyński został internowany. Wolność odzyskał dopiero w październiku 1956 r. był inicjatorem Wielkiej Nowenny, czyli dziewięcioletniego programu odnowy moralnej narodu polskiego od 1957 do 1966 r., czyli tysiąclecia chrztu Polski. W roku 1978 w ramach idei polsko-niemieckiego pojednania pojechał z delegacją polskich biskupów do Niemiec.

– Nie byłoby na Stolicy Piotrowej tego papieża Polaka, gdyby nie było Twojej wiary, Twojej heroicznej nadziei, Twego zawierzenia bez reszty Matce Kościoła – powiedział arcybiskup metropolita krakowski Karol Wojtyła do prymasa Stefana Wyszyńskiego, gdy 16 października 1978 r. został papieżem Janem Pawłem II (zdjęcie z tego dnia). Kardynał Wyszyński zmarł w 1981 r., a w 1994 r. został odznaczony Orderem Orła Białego. (jap) ©©



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Tusk do zamrażarki

Donald Tusk ma szansę zostać przewodniczącym Europejskiej Partii Ludowej (po angielsku)

Funkcja szefa EPP to luksusowa przechowalnia polityczna.

Zapewnia własne biuro w Brukseli i dobrą pozycję do czekania na powrót do gry

sku EPP), która zrzesza centroprawicowe ugrupowania w Europie” – donosi zazwyczaj dobrze poinformowany

dziennik „Frankfurter Allgemeine Zeitung”.

Jak pisze „FAZ”, nowy przewodniczący EPP, który zastąpi Francuza Josepha Daula, ma zostać wybrany na kongresie ugrupowania w listopadzie bieżącego roku w Zagrzebiu. „Za faworyta uważany jest obecnie polski szef Rady Europejskiej Donald Tusk, który z końcem listopada kończy kadencję na tym stanowisku” – pisze niemiecki dziennik. Jak twierdzi gazeta – miejsce dla Tuska z wolności się po rezygnacji niemieckiego kandydata Manfreda Webera, którego szanse

osłabły, gdy szefową Komisji Europejskiej została Niemka Ursula von der Leyen.

Każdy, kto zna niemieckie obyczaje polityczne, wie, że takie przecieki medialne zazwyczaj pozwalają Angeli Merkel powiadać z wyprzedzeniem polityków z innych europejskich partii ludowych o tym, jaka jest jej wola.

A niemiecka CDU i CSU to dziś najsilniejsze partie w EPP.

Gdyby informacje o nowej funkcji dla Donalda Tuska okazałyby się prawdą, oznaczałoby to, że Berlin może wciąż prowadzić politykę przekazywania rządu PiS.

Funkcja szefa EPP to luksusowa przechowalnia polityczna. Zapewnia własne biuro w Brukseli, przyzwoity fundusz reprezentacyjny i dobrą pozycję do czekania na powrót do gry. Jakies zachwianie się partii Jarosława Kaczyńskiego, gdyby tej udało się rządzić w drugiej kadencji, i Donald Tusk znów zacząłby odwiedzać Polskę z wezwaniami do walki.

Zamrożenie Tuska oznacza jednocześnie kontynuację starej polityki CDU, w której partią marzeń w Polsce jest raz na zawsze jedna partia – Platforma.

Trudno wyjaśniać ewentualny sukces Tuska inaczej niż jako premię za lojalność wobec Angeli Merkel.

Bo przecież kadencja Tuska jako szefa Rady

Europejskiej na pewno nie była pasmem sukcesów.

Nie złagodzone sporów „starej” Europy z nowymi państwami unijnymi na wschodzie. Tusk nie umiał rozwiązać żadnego z najważniejszych kryzysów dzielących UE. A w kwestii brexitu Tusk wręcz dolewał oliwy do ognia w konflikcie z brytyjskimi konserwatystami.

Jego żarciki o kotłach w piekle czekających na zwolenników brexitu bez pomysłu na umowę z UE rozsierdziły wielu Brytyjczyków. Tusk nie wahał się też obrażać Donalda Trumpa słynnym tweetem: „Jeden Donald wystarczy”.

Teraz za cztery lata kiepskiego przewodzenia Radzie Europejskiej ma być uhonorowany atrakcyjną funkcją w EPP. Tak jakby jego była partia, Platforma, nie ponosiła ostatnio kolejnych porażek.

W normalnych warunkach kandydatura Tuska winna być przyjemniejszą bardzo dyskusyjną. W praktyce jednak ktoś wspierany przez CDU ma w EPP uprzywilejowaną pozycję.

Tusk zawiódł w tym roku „anty kacystów”. Nie przybył na białym koniu i nie ratuje wyborców do Sejmu. Teraz może trafić do zamrażarki i czekać na swoją kolejną szansę. Nie wątpię, że były lider PO chętnie przyjmie taką opcję. ©©

KONDOLENCJE

Ze smutkiem przyjąłem wiadomość o śmierci



**Kornela
Morawieckiego**

*Marszałka Seniora VIII kadencji Sejmu, działacza
opozycji antykomunistycznej.*

Panu Premierowi

**Mateuszowi
Morawieckiemu**

*Rodzinie i Bliskim
składam wyrazy głębokiego współczucia.*

Henryk Kowalczyk
Minister Środowiska wraz ze współpracownikami



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Być jak Korwin-Mikke

Korwin-Mikke jaki jest, każdy widzi, i to od 30 lat. Jeśli kiedykolwiek się zmienił, to tylko w kierunku bycia takim jeszcze bardziej. Nie zaskoczył więc, gdy w odpowiedzi na pytanie „Super Expressu” o notowania Konfederacji wyjaśnił, że wyborcy to generalnie durnie, więc gdyby poparcie zaczęło mu nadmiernie rosnać, wręcz by się niepokoił, że coś z nim nie tak.

**Można przeżyć całe życie,
niczego konkretnego nie dokonując,
ale też za nic nie odpowiadając**

Jeśli coś mnie zaskakuje, to to, że politycy znacznie młodszy od Korwin-Mikkego (dla niego są to już przecież chyba ostatnie wybory), pretendujący do schedy po odwiecznym liderze

„antysystemu”, zdają się podzielać jego sposób myślenia. Nie widać po nich chęci poważnego zawalczenia o jakieś nowe grupy elektoratu, przejścia rozczarowanych wyborców czy to po PO, czy po PiS. Wystarczy im zamykać się w radykalizmie, jak w wieży z kości słoniowej, i powtarzać, że świat dzieli się na nas i całą resztę, a ta cała reszta to krety, sprzedający się za socjał, plus agentury i kręcący tym wszystkim gangsterzy. Wszelkie inne spory niż spór Konfederacji z całą resztą sceny politycznej, np. walka PO z PiS, to tylko mistyfikacja, kamuflaż i pozór: tak naprawdę to wszystko jedna mafia, pozorująca spory, by zgodnie łupić frajerów i sprzedawać Polskę obcym, wiadomo którym. Najlepszy dowód, że ta jedyna prawdziwa opozycyjna jest tak samo sekowna i zamilczana przez media państwowe, jak i prywatne.

Ustalając taki generalny przekaz, można go inkrustować dowolną liczbą trafnych uwag, rozpoznań i propozycji programowych – nie przeszkodzą one pozostawać zawsze na poziomie 2–3 proc., wymieniających się w miarę jak jedni dorośleją, a drudzy dostają prawa wyborcze.

I z tym, jak dowiódł nestor polskiego ekscentryzmu, można przeżyć całe życie, niczego konkretnego nie dokonując, ale też za nic nie odpowiadając, mając za co je przeżyć, będąc stale obecnym w mediach, popularnym i w ogóle, potocznie mówiąc, ustawionym – może nie na królewskim poziomie, ale stabilnie.

Zaczynam się obawiać, że wizja takiego właśnie istnienia w polityce uwodzi niektórych „wanna be” polityków bardziej niż meritum antysystemowego programu. ©©



WOJCIECH
WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Sędziowska niepamięć

Pamiętają państwo, jaka była główna oś argumentów środowiska sędziowskiego sprzeciwiającego się reformie wymiaru sprawiedliwości? Otóż sędziowie ogłosili wówczas, że sami już zdiagnozowali problem niskiego zaufania społeczeństwa do sądów i mają pomysł naprawy, więc ingerencja polityków nie jest potrzebna. Nie minęło nawet półtora roku od akcji „świeatko dla sądów” i widać już, że broniący Temidy sędziowie niczego nie zdiagnozowali i niczego nie zrozumieli.

Oto prominentna dla środowiska „wolnych sądów” Dorota Zabłudowska, członek zarządu

stowarzyszenia sędziów Iustitia, ogłasza na Twitterze, że „nigdy nie słyszałam, by sąd stosował areszty wydobywcze”. Czyli – uwaga! – tej bolączki, największej patologii sądów III RP, po prostu nie zauważyła.

Nóż się w kieszeni otwiera, można by rzec, pamiętając chociażby sprawy takie jak ta Bestcomu, gdzie sąd zastosował siedmiomiesięczny areszt wobec niewinnych, jak się po siedmiu latach okazało, właścicieli firmy, co firmę wykończyło. Albo takie jak sprawa przedsiębiorcy Krzysztofa Stańki, którego trzymano dwa lata w areszcie, bezkrytycznie wierząc w bajania prokuratora o narkotykach produkowanych na

wyspie – a wystarczyło sprawdzić, czy w ogóle taka wyspa istnieje. Albo sprawa Macieja Dobrowolskiego, trzy lata przetrzymywanego w areszcie wyłącznie na podstawie niezbyt wiarygodnych zeznań niezbyt wiarygodnego dilerka narkotyków.

Brak refleksji w środowisku sędziowskim dokładnie tłumaczy, dlaczego żadne akcje w „obronie” sądów czy rozdęte medialnie publikacje o „fabryce hejtu” na sędziów nie przekonują Polaków, że sądownictwo zmieniać nie należy. Zbyt wielu sędziów zbyt mocno dba o to, by tego zaufania w społeczeństwie nie odzyskać. ©©

KTO SIĘ NADAJE DO HOLLYWOOD

Aktorka Weronika Rosati postanowiła publicznie pochwalić swoją młodszą koleżankę z nowego serialu – Julię Wieniawę. W rozmowie z „Faktem” przyznała, że widzi przed nią ogromne szanse na karierę międzynarodową.

– Julka ma bardzo silną i wyrobioną osobowość, co jest wielkim atutem w Hollywood. Tam ceni się takie osoby. Ludzie unikalni mają tam wielką szansę. Do tego Julka jest wyjątkowo utalentowana aktorsko i muzycznie, i jeszcze jest superlaską. W moich oczach ma dużą szansę, żeby podbić Hollywood – zachwala Weronika. Wielką szansę w Hollywood mają ludzie unikalni i utalentowani. To by tłumaczyło, dlaczego Weronika od lat nie może się w tym całym Hollywood przebić.

JAK NIE SPEŁNIAĆ MARZEŃ

Zwyczajny jednego z rozrywkowych programów TVN, „Projektu Lady”; niejaka Liubov Miruk stwierdziła, że chyba jest już na tyle znana i lubiana, że może zaryzykować i zwrócić się do swoich nowych fanów o pomoc. Zorganizowała więc na jednym z portali zbiórkę na pewien cel. Otóż panna Miruk oznajmiła, że bardzo chciałaby wyjechać na zagraniczne wakacje, ale brakuje jej funduszy, więc chciałaby, aby naród jej się na ten wyjazd zrzucił. Dodała też, że trzeba realizować swoje marzenia, dlatego prosi o wsparcie.

„Bardzo bym chciała pojechać za granicę na odpoczynek, bo nigdy nie byłam, więc trzeba realizować swoje marzenia. Dziękuję wszystkim, którzy wspierają moje marzenie” – czytamy. Niestety jej apel nie spotkał się ze zrozumieniem. Nawet wśród kolegów z programu. Jedna z uczestniczek poradziła jej, by poszła do uczciwej pracy, zamiast prosić. Ostatecznie panie Miruk udało się zebrać całe 20 zł, po czym zbiórka została usunięta z portalu. To nie ludzie, to wilki! Żeby tak marzenia zabijać!

JAM JEST ELYTA!

Aktor Jerzy Stuhr raczył być podzielić się ze światem, a dokładniej z Tomaszem Lisem, swoją refleksją na temat tego, z czego – jego zdaniem – bierze się popularność partii rządzącej. – Ja mam teorię taką, że to jest zemsta za wielowiekowe ciemnienie – powiedział. – Ale wtedy byśmy ustawili zwolenników PiS-u na pozycjach

potomków chłopów folwarcznych – doprecyzował redaktor Lis. – Tak! – przytaknął aktor Stuhr. No pewnie, że tak! I pomyśleć, że potomkowie tych chłopów folwarcznych od paru lat spuszcza ją wyborczy łomot elicie, za którą uważa się pan Stuhr. Aż miło popatrzeć!

CZYSTY SEKSIZM

Tymczasem Agnieszka Holland postanowiła zawalczyć o prawa kobiet. W nieco specyficzny i w sumie dość oryginalny sposób. Otóż wyjawiała swój pomysł na to, jak zwiększyć obecność kobiet w polskiej polityce. Okazuje się, że w świecie pani Holland to bardzo łatwe. – Mam prosty pomysł. Chcę, by mężczyźni zostali pozbawieni czynnego prawa wyborczego na 12 lat – stwierdziła w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej”. Jej zdaniem trzeba dać mężczyznom „czas na refleksję”, bo kobiety „mają inny punkt widzenia”.

– Pewnie przez pierwsze cztery lata byłby chaos, ale potem będzie tylko lepiej – przekonuje. Przy czym wspomniałobyśnie dodaje, że mężczyźni co prawda nie będą mogli głosować, ale będą mogli w wyborach startować. Zawsze coś. Tak się zastanawiamy, czy propozycje pani Holland to przypadkiem nie jest czysty seksizm. Ale wiadomo, że seksizm w służbie walki

z seksizmem jest seksizmem usprawiedliwionym! Profesor Środa na pewno to potwierdzi.

PLAN ŻYCIA

Pani Anna Skura, podróżniczka i celebrytka z Instagrama, która lubi opowiadać, jak w swoje dalekie podróże zabiera swoją małą córkę Melody Skurę, teraz zdradziła swój pomysł na nowy projekt, także związany z dzieckiem. Razem z mężem chce nagrać audiobooka z bajkami dla dzieci. I to niejednego, ale od razu cały cykl. – Mamy pomysł na cykl bajeczek edukacyjno-podróżniczych dla dzieci o Melody. Kto nas śledzi bez problemu rozpozna w nich historie z naszego życia. Bajeczki będą z morałami, o tym, że nie wolno jeździć na słońcach, chodzić do delfinarium i że trzeba uważać na gorącą herbatę. Wasze dzieci będzie edukować Melody i poznane w podróży zwierzęta (m.in. ptaszki z klatek w Laosie). Czy ktokolwiek, a w tym ja, mógłby pomyśleć, że wydamy książkę dla dzieci? – pyta Skura. – Oto projekt, myślę, że mojego życia – wyznaje. Czy jeśli to projekt jej życia, to po jego realizacji pani Skura zaprzestanie swojej działalności? Zbyt piękne, by było prawdziwe. ©©



FOT. PAMEL GRONAGA

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW



Kochani. Zostaliśmy pierwszymi ofiarami akcji podmiary zagranicznych warzyw w marketach na polskie :/ Otóż, mieliśmy ochotę na purée z batata, ale że koniec miesiąca nas dotknął, postanowiliśmy przygotować purée z zagranicznych, europejskich, wyszorowanych ziemniaków, dostępnych w popularnych dyskontach. Niestety, po przyrządzeniu i zjedzeniu potrawy poculiśmy ochotę na wódkę, a nie na Dom Perignona lub prosecco z nalewaka, obejrzelśmy „Koło fortuny” i mecz siatkówki, a potem puściliśmy sobie na jutubie opolskie kabarety. Na szczęście procesy metaboliczne usunęły z naszego organizmu polskie toksyny, ale uważajcie, bo możecie sobie nieświadomie narobić niezręczności towarzyskich.

Strasna siara. Minister Gliński nie chce pożyczyć Francuzom do Luvru obrazu „Dama z grono-

stajem”. Naszym zdaniem powinien osobiście w podskokach odnieść im ten obraz i jeszcze podziękować, iż Francja jest zainteresowana jakimkolwiek dziełem sztuki pochodzącym z tego kraju. Ofkors wiemy, iż autorem tego dzieła jest Leonardo DiCaprio. Chodzi nam o to, że ten kraj nie ma na tyle globalnie rozpoznawanych dzieł sztuki, iżby mógł sobie pozwolić na wybrzydzenie w przypadku, gdy ktoś z zagranicy chce go wypożyczyć. W dodatku Gliński ośmielił się targować: że ten kraj wyśle „Damę” pod warunkiem, iż Francuzi pożyczą „Mona Lisę”. No i czy my tu znów nie mamy do czynienia z przedmiotowym traktowaniem waginoosób, które stają się obiektami handlu i narzędziami do realizacji męskich ambicji?

To nasza ostatnia przedwyborcza rubryka. Możemy więc jedynie zaapelować do was o mądry wybór. To znaczy taki,

którego nie będzie się trzeba wstydić przed Europą, tenkrajowymi celebrytami i przed samymi sobą.

Wiadomo przeciesz, jakie siły należy popierać: odpowiedzialne i europejskie. Tak, iżby potem Jerzy Stuhr nie wstydił się mówić po polsku za granicą, a Krystyna Janda mogła uspokoić zszargane nerwy.

Jeśli natomiast nie obchodzą was wybory i nie interesujecie się polityką, to pomyślcie o tych wszystkich młodych, wykształconych i z wielkich ośrodków, którzy nie zmieścili się do samolotów i nie zdążyli wyemigrować cztery lata temu. Chcecie, iżby teraz ten dramat się powtórzył?

Głosujcie więc tak, iżby nikt, dla kogo ważne są demokracja, tolerancja i prawa człowieka, nie chciał emigrować z tego kraju. ©©

f FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

REKLAMA


POLSKIE RADIO

WIECZÓR WYBORCZY POLSKIEGO RADIA



POLSKA DECYDUJE

WYBORY PARLAMENTARNE 2019

13 PAŹDZIERNIKA 20:30

OGLĄDAJ: polskieradio24.pl

SŁUCHAJ:




dwaj panowie g

Zegnamy Kornela Morawieckiego. Jako urodzeni we Wrocławiu (obaj) jesteśmy w podwójnej żałobie. Kornel, proszę państwa, to był gość. Prawdziwy pistolet. Już takich nie robią. Cześć jego pamięci! Polecamy przy okazji wizytę w serwisie VOD TVP. Znajdziecie tam talk show „Przybliżenie” Goćka i Ziemkiewicza, z Kornelem i jego druhami z hardcorowej opozycji anty-PRL-owskiej w rolach głównych. Telewizja nie przypominała, my przypominamy.



Liczba 60. To ona ma sponsorować najbliższe wybory parlamentarne. 60 proc. frekwencji. Jak mówią wiewiórki z PiS, ruszył się lud na zachodzie i północy Polski. Stąd w ostatnich tygodniach kampanii objazdy terenów należących do PeŁo. Tam jest sporo świeżych mandatów do szarpnięcia.

nas nie zaskoczyło. Jednak smutno nam się zrobiło, kiedy dowiedzieliśmy się, że ów hejter był też na kontakcie Jerzego Buzka.

Apropos hejtu. Wyobraźmy sobie taką sytuację: jedna firma płaci na fejsiku za promowanie spotkań kandydata

mówi o elektoracie i jak szczerze o tym, co za uszami mają ludzie PeŁo. Nas jednak najbardziej zainteresowało co innego: „Sądy dzisiaj – ja ci gwarantuję – nie rozstrzygną żadnej sprawy przed wyborami. Żadnej”. Taki cytacik. W kwestii prokuratorskich zarzutów dla ludzi PeŁo. I wiecie co? Sądy nie rozstrzygnęły! Sądy, są bowiem, jak wiadomo, bardzo niezależne, apolityczne i wcale nie sprzyjają Eine Totalopposition.

Niespodziewany temat finiszu kampanii: kozy. Te, co wyzdychały ekologicznie w Warszawie. Ukuliśmy więc dla prezydenta Warszawy nową ksywkę. W sagach, jak wiecie, każdy taką ma: Pogromca Trolli, Lodowy Młot i tak dalej. By wszystko odbyło się, jak należy, sięgnęliśmy po dźwięczny język norweski. Oto efekt: Rafcio Geitemorder Trzaskowski. Geitemorder to po norwesku Zabójca Kóz.

Ukuliśmy dla prezydenta Warszawy nową ksywkę. By wszystko odbyło się, jak należy, sięgnęliśmy po dźwięczny język norweski. Oto efekt: Rafcio Geitemorder Trzaskowski. Po norwesku: Zabójca kóz

Jednocześnie dwa smuteczki związane z terenami dominacji PiS, czyli wschodem i południem. Smuteczek pierwszy: czy powtórzy się mobilizacja z eurowyborów? Smuteczek drugi – nawet jak się powtórzy, to dodatkowe pojedyncze mandaty, które miały być bonusem mobilizacji, często zostają przechwycone przez czerwonych braci.

Są i lęki. Nie u wszystkich, głównie w stronnictwach satelickich PiS. Główny lęk: czy jak będzie bardzo dużo mandatów, to Solidarna Polska Zbyszka oraz Partia Której Nazwy Nikt Nie Pamięta Jarosława Długiego będą jeszcze po wyborach do czegoś potrzebne? Uspokajamy: dla wszystkich znajdzie się miejsce pod wielkim dachem nieba. Co nie znaczy, że w spółkach Skarbu Państwa.

Wsumie cieszymy się z końca kampanii, bo już mamy dość tego całego hejtu. Bo nam wizję świata zrujnował. To, że Brejza, Naumann, Myrcha, Giertych, Gajewska, byli na liście kontaktów niejakiego Soka z Buraka, czyli Mariusza Kozaka-Zagody, wcale

lub jego wypowiedzi programowych. Firma najęta przez przeciwnika płaci na fejsiku za promowanie hejtu na kontrkandydata. Byłby to może skandalik? No pewnie. Teraz wyobraźcie sobie, że mogłoby to dotyczyć Michała Dworczyka (pierwsza firma) oraz Tomka Siemoniaka (druga firma). Ależ by było, gdyby taka informacja wyciekła... Ups, właśnie wyciekła. W Internecie, wiecie, nic nie ginie.

Apropos Neumanna Sławka i jego taśm z końca roku 2017. Wszyscy się bulwersują tym, jak nieładnie



Pozdrawiamy Krzyśka Szczerskiego, szefa gabinetu prezydenta Andrzeja Sebastiana. Z okazji otrzymania nagrody od Niezależnej.pl powiedział, że to pierwsza, jaką w Polsce dostał. Złośliwi pytają: a nagroda za najlepszą habilitację od premiera Tuska?

Znajomek do nas zadzwonił, że go jakaś sondażownia dopadła pytać o preferencje wyborcze. Nie zdziwiłoby nas to wcale, w końcu do wyborów parę dni. Okazało się jednak, że znajomek nie pytano, na kogo zgłasza 13 października. Tylko w wyborach prezydenckich wiosną. I wiecie co? W ankiecie padło też nazwisko mecenas Romana, zwanego Koniem.

Spuściliśmy więc nasze wiewiórki z łańcucha. Szybko wyniuchały, że sondaż zamówiony był przez... Tak, zgadliście. Oczywiście nie bezpośrednio. Roman jest na to zbyt ostrożny. Jednak, że przy okazji nasze wiewiórki usłyszały nazwisko Wierzejski. To już na pewno jest dziełem przypadku.

Pozdrawiamy Europę. Newsa niemieckich gazet, że Tusk ma zostać szefem Europejskiej Partii Ludowej, podaliśmy miesiąc temu. Rozumiemy, że nie wszyscy czytają nas we Frankfurcie. Nie rozumiemy, czemu nie robią tego w Warszawie. Wasza strata, koledzy po piórze. ©©



PIOTR KOWALCZUK
Z RYZMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Ameryka, Ameryka

W Immanuel Christian School (Springfield w Wirginii) czarną 12-latkę Amari Allen zaatakowało trzech białych rówieśników. Obezwładnili ją, obcięli nożyczkami kilka dredów, obrzucając rasistowskimi wyzwiskami.

Cała Ameryka płakała, gdy telewizje pokazywały wzruszający wywiad z ofiarą gangu młodych rasistów. Oburzały się moralne autorytety i żandarmeria politpopu. Media zaatakowały szkołę, bo nie dość, że nie zatrudnia nauczycieli LGBT, to jeszcze zajęcia plastyczne prowadzi w niej Karen Pence, żona amerykańskiego wiceprezydenta, czyli zastępcy diabła wcielonego. Naturalnie pod pręgierzem znaleźli się sprawcy i ich rodziny. Rozpoczęła się zbiórka na fundusz wsparcia Amari.

Okazało się jednak, że dziewczynka, skądinąd obdarzona sporym aktorskim talentem, wyssała sobie

wszystko z palca. Zaległa żenująca cisza. Tylko dziadkowie dziewczynki, sprawujący nad nią opiekę, zdobyli się na odwagę i przeprosili niesłusznie oskarżonych.

Równie głupi okazał się o 25 lat starszy od Amari dość znany śniady aktor i piosenkarz, Jussie Smollett, zdeklarowany gej. Zawiadomił policję w Chicago i wszystkie amerykańskie media, że został brutalnie zaatakowany i obłany chemikaliami w pobliżu swego domu. Wszystkiemu miały towarzyszyć rasistowskie i homofobiczne wyzwiska. Zeznał, że sprawcy zarzucili mu pętlę na szyję i chcieli go udusić, ale udało mu się napastników poskromić i zmusić do ucieczki. Smollett w licznych wywiadach łączył atak z tym, że nie kryje się ze swoim bardzo negatywnym stosunkiem do Trumpa.

Jednak śledztwo wykazało, że zarejestrowany przez kamery napad został zainscenizowany. Sprawców schwytano i okazało się, że aktor ich wynajął.

W ciągu ostatnich pięciu lat w USA zgłoszono na policję ponad 600 przypadków brutalnych ataków na tle rasistowskim, do których nigdy nie doszło. We wszystkich oskarżano białych, co oczywiście jest rasizmem, ale ta jego odmiana żandarmerii politpopu i postępowych katonów kompletnie nie interesuje. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

„Polska PiS-u ich nie potrzebuje”?

Walka o demokrację to wyczerpujące zajęcie,

dlatego nie dziwi, że niektórzy po czterech latach autorytaryzmu mówią: „dość”. Ponure nastroje zapanowały zwłaszcza na twitterowej grupie #SilniRazem. Zobaczmy, jakimi problemami żyje pozaparlamentarna opozycja. „Właśnie dostałem wiadomość, że większość mojej rodziny jest już gotowa do opuszczenia Polski w przypadku wygranej PiS-u. Paru naukowców, lekarzy, inżynierów. Jednym słowem fachowcy. Polska PiS-u ich nie potrzebuje, mają swoich specjalistów od wszystkiego” – ostrzegł Michał Otto. „Całe firmy będą przenoszone” – dodał Jerzy Bobrowski.

Wśród niektórych tli się jednak światło

nadziei. „Jeszcze wierzę, że w swojej ustawie ZUS, którą jak zwykle napiszą na kolanie, walną jakiegoś babola i będzie można to jakoś obejść. A jak nie, to trzeba się będzie przeprowadzić. Bez satysfakcji będę się przyglądał, jak oni wszystko rozp...ą” – zadeklarował niejaki „FanTomasz Szary”. Nie wszyscy mają w sobie jednak tę wiarę. „Kolega, dentysta, lat 80, otrzymał propozycję wyjazdu do Niemiec 40 lat temu. Zrezygnował, bo budował w Polsce dom. Dzisiaj tego żałuje, bo musi dorabiać do swojej marnej polskiej emerytury” – skonstatował ponuro „Dali z oddali”.

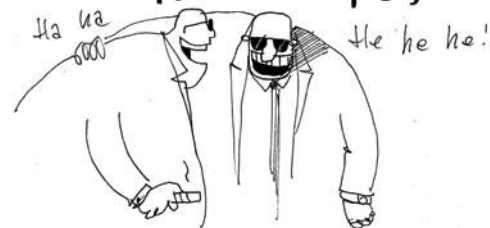
Pojawiły się również głosy sprzeciwu wobec

deklarowanego eskapizmu. „To tak wygląda Twój patriotyzm? Sp...ć, niech Polaki gniją w szambie? A Ty wrócisz, jak wyjdziemy z szamba?” – piekł się „Eligiusz”. „Nie, nie wrócę. Nie jestem patriotą według katopisarskich standardów. Nie kradnę, nie oszukuję i nie łżę na każdym kroku” – rozwiął jednak wątpliwości Michał Otto.

Bo właściwie skąd czerpać nadzieję?

„Gdzie się podział Strajk Kobiet? Nie mamy pracy, jesteśmy ścigane po sądach. Chorujemy z przemęczenia” – doniósł na przykład „Newsweek”. W najciemniejszych nawet czasach zawsze zostaje jednak wiara Tomasza Lisa. „Zostały dokładnie dwa tygodnie. Jeśli ktoś chce BIS, Badań i Spółka, głosuje na PiS. Jak ktoś nie chce zmiany Polski w burdel, głosuje na opozycję. A na pewno nie siedzi w domu” – stwierdził redaktor, kończąc tweety emotką ręki napinającej biceps. Walka potrwa do końca. ©©

Ja im, Stuchaj, robisz filmy na złość,
wciska im kit, że na tym polega siła,
a oni mi jeszcze z tą to ptacą!..



c e z z r y z r y z r y z r y z



Wojciech Wybranowski

Przeciwnicy polityczni nazywają go dyktatorem, współpracownicy i działacze partyjni mówią o zręcznym menedżerze. Szef PiS wyciągnął wnioski z przeszłości i przeprowadził partię suchą stopą przez całą kadencję

To jest Jarosław Kaczyński, dyktator, szef rządzącej partii Prawo i Sprawiedliwość – jego słowa i język ciała! Mistrz populizmu! – pisał w lipcu 2017 r. w mediach społecznościowych Michał Boni (PO), były poseł do Parlamentu Europejskiego. Opis w języku angielskim okraślił wyjątkowo niekorzystnym zdjęciem krzyczącego z mównicy sejmowej lidera PiS.

Dyktator, autorytarysta – podobnych określeń wobec Jarosława Kaczyńskiego i jego politycznej aktywności przeciwnicy lidera partii z Nowogrodzkiej używają nader często. Niespełna pół roku temu posłanka Nowoczesnej, kandydująca do Parlamentu Europejskiego z list Koalicji Europejskiej Kornelia Wróblewska, podczas spotkania z wyborcami porównywała Kaczyńskiego do Adolfa Hitlera. Współpracownicy lidera PiS twierdzą, że jego samego takie określenia bardziej bawią, niż złością. Jakiś czas temu podczas jednej z konwencji partii Kaczyński wyszedł na mównicę i rozbawiony rzucił do wiwatujących sympatyków jego partii: „Myślicie, że kogo tu widzicie? Kaczyńskiego? Nie, Hitlera”.

– Prezes uważa takie porównania z jednej strony za bezdennie głupie, z drugiej za dowód na słabość politycznych oponentów – mówi nam jeden z członków prezydium Komitetu Politycznego PiS.

– No bo proszę wskazać inne sejmowe czy nawet pozasejmowe ugrupowanie, które ostatnie pięć lat przeszło bez rozłamów, utrzymując stałe czy wręcz rosnące poparcie społeczne...

PiS w latach 2015–2019 to nie tylko na zewnątrz zupełnie inne ugrupowanie niż to, które w 2005 r. szło po władzę, by po medialnych sporach, rozłamach i podziałach oddać ją po dwóch latach. Inne też niż w latach 2007–2014, gdy nie potrafiło

Wódz czy lider





znaleźć sposobu na efektywne funkcjonowanie w roli największej partii opozycyjnej, przegrywając medialnie wszystkie kryzysy wizerunkowe i polityczne. W roli partii władzy PiS przechodzi je bez większych strat. Nikt jednak nie ma wątpliwości, że dziś podstawą utrzymania wysokich notowań rządzącego PiS jest strategia Jarosława Kaczyńskiego.

– Jak rządzi partią? Skutecznie. Kuchni politycznej nie będę zdradzać – śmieje się Krzysztof Sobolewski, szef Komitetu Wykonawczego PiS.

Rozmawialiśmy z wieloma działaczami Prawa i Sprawiedliwości, współpracownikami Jarosława Kaczyńskiego, członkami Komitetu Politycznego PiS i ludźmi, z którymi bywa, że lider partii konsultuje swoje decyzje. Próbujemy pokazać mechanizm, dzięki któremu Jarosław Kaczyński skutecznie kieruje partią rządzącą.

CHIRURGICZNE CIĘCIA

Przełom lipca i sierpnia. Trwa już intensywna kampania wyborcza, PiS góruje w sondażach, wydaje się, że program kampanii zostanie zrealizowany bez większych problemów. Niespodziewanie media – Radio Zet, TVN24 i „Gazeta Wyborcza” – opisują sprawę lotów marszałka Sejmu Marka Kuchcińskiego, jednego z najbliższych wieloletnich współpracowników Kaczyńskiego. Okazuje się, że z przysługujących mu lotów rządowym samolotem korzystali także jego rodzina, bliscy, znajomi i zaprzyjaźnieni posłowie. Sztabowcy PiS próbują sprawę przykryć informacjami o podobnych sprawach, tyle że dotyczących podobnych podróży Donalda Tuska, Bogdana Borusewicza i polityków PO w latach, gdy to oni sprawowali władzę. Jednak odgrzewane kotlety nie przynoszą większego skutku, na domiar złego dla PiS sprawa spotyka się z ostrą krytyką ze strony nie tylko opozycji, lecz także sporej części prawicowych publicystów. Nasi informatorzy mówią, że wewnętrzne sondaże realizowane wówczas na użytek władz PiS wskazywały spadek zaufania w twardym elektoracie partii. To był jeden z najpoważniejszych kryzysów wizerunkowych partii od początku kadencji. – Kaczyński wezwał wtedy na spotkanie Kuchcińskiego i to nie była miła rozmowa. Przez wzgląd na wieloletnią znajomość, przyjaźń dał mu wtedy jedną szansę. Powiedział: „Wyjdź do ludzi i wytłumacz się publicznie. Przekonasz ich, zostajesz” – opowiada nasz informator.

Marszałek Sejmu spotkał się wówczas z dziennikarzami, jego współpracownicy

FOT. P. BLACK/JETTY IMAGES

z Biura Prasowego Kancelarii Sejmu kolportowali materiały, które miały przekonywać, że wszystko było lege artis. Kuchciński zobowiązał się też do wykonania wpłaty na cele społeczne. To nie zadziałało. W dodatku wypłynęły na jaw kolejne dokumenty.

Jarosław Kaczyński zwołał wtedy nadzwyczajne posiedzenie prezydium Komitetu Politycznego Prawa i Sprawiedliwości. To ciało złożone z jego najbliższych doradców, są w nim m.in. Joachim Brudziński, Mateusz Morawiecki, Mariusz Kamiński, Antoni Macierewicz, Stanisław Karczewski. Według naszych informatorów właściwie nie było dyskusji, a Kaczyński zakomunikował, że jedynym sposobem zdecydowanego zamknięcia sprawy jest dymisja Kuchcińskiego. Uczestnicy posiedzenia potakiwali.

– Zamierzam złożyć rezygnację z funkcji marszałka Sejmu. Chciałbym przy tym powiedzieć, że w czasie mojej działalności nie złamałem prawa – zakomunikował później Kuchciński na konferencji prasowej. Był wyraźnie przygnębiony.

– Decyzja pana marszałka jest dowodem naszej postawy, która jest związana z naszym hasłem: „Słuchać Polaków, służyć Polsce” – skomentował tę dymisję Kaczyński. Jednocześnie zapowiedział przygotowanie ustawy, która ureguluje zasady korzystania z samolotów przez najważniejsze osoby w państwie.

Czy to tylko requiem dla Kuchcińskiego, pożegnanie wieloletniego towarzysza politycznej walki, jak uważa część komentatorów? Niekoniecznie. Nasi rozmówcy zwracają uwagę, że Kaczyński po chudych latach 90. i okresie rządów 2005–2007, gdy zdarzało mu się kpić ze współpracowników, którzy mu podpadli, teraz stara się budować w nich poczucie przynależności.

– Nie chcę odnosić się do personaliów, ale najczęściej teraz jest tak, że osoba, która jest odwoływana, np. z rządu, otrzymuje inną misję, kierowanie innym projektem, jest rzucona na inny odcinek. To jest czytelny przekaz: „Jesteś nam potrzebny, cenimy cię” – uważa europoseł Ryszard Czarnecki (PiS).

JAK WYCISZYĆ KRYZYS

Sprawa „lotów Kuchcińskiego” pokazuje jednak inny ważny aspekt zarządzania partią. Nasi informatorzy mówią, że Kaczyński wymaga, by narady – zwłaszcza w sprawach kryzyso-

wych – kończyły się wypracowaniem rozwiązania, które pozwoli partii „wyjść do przodu”. I jeśli jest do niego przekonany, to wtedy forsuje swoje zdanie. Tak miało być w sytuacji, gdy w połowie kadencji wybuchł inny kryzys wizerunkowy – sprawa „nagród PiS”.

Wiosną 2018 r. media ujawniły, że ministrowie rządu Beaty Szydło i ona sama jako premier otrzymywali wysokie comiesięczne nagrody. Platforma Obywatelska zorganizowała „konwój wstydu” – w wielu polskich miastach pojawiły się billboardy wożone na lawetach, informujące o wysokich premiach, które wypłacali sobie członkowie rządu. Kaczyński miał wtedy polecić politykom PiS oddanie pieniędzy na cele społeczne, wpłacenie ich na Caritas. Jednak potrzebne było jeszcze „pójście do przodu”. – Wtedy to bodajże

–dyktatora”, który jak samowładca rządzi partią, nikogo nie pytając o zdanie. Tymczasem takich sytuacji, w których prezes bardzo mocno naciskał na wykonanie jego polecenia, było w tej kadencji niewiele – zaznacza w rozmowie z „Do Rzeczy” jeden z członków władz PiS. I wlicza te przypadki: – Sprawa Kuchcińskiego, afery z nagrodami i dymisja premier Beaty Szydło. Dyskutowaliśmy o tym na wielu posiedzeniach, analizowaliśmy warianty, ale prezes był bezwzględnie przekonany do tego, że trzeba zdjąć Beatę i zastąpić ją kimś innym. To była jego decyzja.

Inny z polityków PiS przypomina jednak także sprawę Bartłomieja Misiewicza, młodego współpracownika Antoniego Macierewicza. Prezes PiS miał domagać się dymisji Misiewicza, gdy media ujawniły, że znalazł sobie wygod-



Wbrew pozorom sytuacji, w których Jarosław Kaczyński sam podejmuje decyzję, jest niewiele

FOT. ANDRZEJ HULIMKA / FORUM

Jacek Sasin przyszedł do prezesa z pomysłem obniżenia uposażeń poselskich. Prezes to kupił. W zasadzie w przypadku większości decyzji prezes zostawia pewne pole do dyskusji, a tu nie było praktycznie na nią miejsca. Gdyby poddał to pod głosowanie na prezydium, szczególnie tajne, to ta decyzja by nie zapadła – mówi nam członek Komitetu Politycznego PiS.

W lipcu 2018 r. Sejm na wniosek PiS uchwalił ustawę, która obniżyła uposażenia parlamentarzystów o 20 proc.

– Takie sytuacje, które przebijają się do mediów, rysują ten wizerunek „Kaczora-

ne miejsce w państwowych spółkach, choć nie miał ku temu wymaganych kompetencji. Kiedy Macierewicz nie wykonał jego polecenia, między liderem partii a ówczesnym szefem MON doszło do ostrej wymiany zdań. Niektórzy w PiS uważają, że ta sytuacja wpłynęła też na późniejszą zgodę Kaczyńskiego na usunięcie Macierewicza z MON w ramach rekonstrukcji rządu.

Była też wreszcie głośna sprawa projektu podwyżek cen paliwa, które wprowadzała ustawa Funduszu Dróg Samorządowych. Zgodnie z jej projek-

tem ceny paliw miały wzrosnąć średnio o 20 gr na litrze. Po medialnej burzy na osobiste polecenie Kaczyńskiego projekt wycofano z Sejmu. To również nacisk Kaczyńskiego miał sprawić, że partia wycofała się ze wsparcia dla budzącego protesty środowisk lewicowych projektu zaostreżenia ustawy antyaborcyjnej. Jak wówczas informował dziennik „Fakt”, podczas posiedzenia klubu w Jachrance lider PiS miał w mocnych słowach powiedzieć posłom, by nie angażowali się w projekty mogące prowadzić do medialnej wojny światopoglądowej w Polsce. „Fakt” informował wówczas, że nie dano głosu posłom chcącym polemizować z Kaczyńskim.

DYKTATOR CZY MENEDŻER?

Kiedy zadajemy to pytanie jednemu z wieloletnich współpracowników Kaczyńskiego, zaangażowanemu w zwycięskie kampanie wyborcze z 2005 roku, ale też i 2015 roku, najpierw wybucha śmiechem, a później mówi, że nie sposób udzielić na nie jednoznacznej odpowiedzi.

– Kiedy potrzebna jest pilna decyzja, podejmuje ją jednoosobowo i z racji jego autorytetu nie jest ona kwestionowana. Natomiast w zasadzie stara się swoje decyzje przeprowadzać przez ciała kolegialne, by w partii nie zarzucało mu autorytaryzmu – mówi nasz rozmówca. – Jeżeli jest do czegoś głęboko przekonany, jak np. do zmiany premiera w przypadku Szydło czy do odwołania Kuchcińskiego, to potrafi forsować decyzje, stara się to jednak robić w ostateczności. Czegoś się nauczył z wydarzeń z przeszłości.

Wydarzenia, o których wspomina, to poważny kryzys w zarządzaniu PiS w 2007 r., kiedy to trzech ówczesnych wiceprezesów partii – Ludwik Dorn, Paweł Zalewski i Kazimierz Ujazdowski – otwarcie zbuntowało się przeciw, jak mówili „wodzowskiemu”, zarządzaniu partią. Otwarcie kwestionowali decyzje Kaczyńskiego. Twierdzili, że nie mają na niego wpływu. Ostatecznie cała trójka opuściła partię, zabierając ze sobą część działaczy. Wcześniej, w kwietniu 2007 r., również po konflikcie z Jarosławem Kaczyńskim, którego kanwą była kwestia wpisania do konstytucji punktu o ochronie życia od chwili poczęcia do naturalnej śmierci, PiS opuścił Marek Jurek. Odeszła z nim część posłów, m.in. Marian Piłka i Artur Zawisza.

Kolejne rozłamy w PiS: odejście Joanny Kluzik-Rostkowskiej, Pawła Kowala i Pawła Poncyłjusza w 2010 r., wreszcie grupy ziobrystów w 2011 r., choć medialnie sprzedawane jako spór o sposób kierowania partią, w rzeczywistości były wynikiem wojen frakcji. Kaczyński dbał bowiem, by żadna z wzajemnie zwalczających się grup nie stworzyła forum mogącego zagrażać jego pozycji.

Szef PiS nie zostawił miejsca na dyskusję m.in. w sprawie lotów rodziny i znajomych marszałka Kuchcińskiego

Gdy w 2010 r. ówczesny rzecznik PiS Adam Hofman poinformował prezesa o tajnych naradach ludzi Kluzik-Rostkowskiej i Kowala (sam Hofman początkowo w nich uczestniczył), a które mogły zagrozić kryzysem przywództwa w PiS, reakcja była błyskawiczna – wykluczenie z partii. Podobna sytuacja miała miejsce w 2011 r. i skończyła się usunięciem grupy ziobrystów. Z tą różnicą, że w tym wypadku osobą, która informowała władze PiS o planach „spiskowców”, był wówczas związany z ziobrystami obecny prezydent Andrzej Duda. Z kolei frakcja Hofmana została wycięta z PiS po głośnej aferze z wycieczkami za granicę na koszt Sejmu.

– Nie można porównywać sposobu zarządzania PiS na początku lat dwutysięcznych, do 2010 r., i teraz. Wtedy bardzo duży wpływ na to, co się działo w partii, miał zakulisowo Lech Kaczyński, później także sytuacja po jego tragicznej śmierci w Smoleńsku. Teraz Jarosław dzieli i rządzi, i rządzić będzie, choć mam wrażenie, że teraz prezes zdecydowanie skuteczniej równoważy wpływy frakcji, dopuszczając „do ucha” wszystkie środowiska – słyszymy od członka Komitetu Politycznego PiS.

Gdyby ktoś jednak uważał, że pozycja, którą zajmuje w partii, i drobna liberalizacja sposobu zarządzania ugrupowaniem przez Kaczyńskiego spowodowała, że „złagodniał” i pozwolił sobie na otwarty sprzeciw, może boleśnie się przekonać, jak bardzo błędna jest to opinia. W 2015 r., w trakcie wyborów prezydenckich, podczas jednego z posiedzeń

sztabu wyborczego, Kaczyńskiemu miał postawić się poseł Marcin Mastalerk, ówczesny rzecznik partii i jeden z autorów kampanii. Prezes miał przychylić się do opinii, że po nieudanej debacie Dudy z Komorowskim należy zaostreżyć kampanię i zaatakować konkurenta. A Mastalerk miał być temu przeciwny. Nasi informatorzy mówią, że doszło nawet do ostrej wymiany zdań, po której Kaczyński miał się domagać usunięcia Mastalerka. Młodego rzecznika w obronę wzięła wówczas Szydło. Ostatecznie Mastalerk jednak nie znalazł się na listach wyborczych PiS, choć też partia nie zostawiła go samemu sobie – dostał posadę dyrektora ds. komunikacji korporacyjnej w PKN Orlen.

Jak boleśnie może wyglądać równoważenie frakcji i wpływów w środowisku PiS, przekonał się prezydent Andrzej Duda, który w lipcu 2017 r. zawetował istotne dla partii rządzącej ustawy sądowe. Stosunki między Nowogrodzką, skąd partię kieruje Kaczyński, a Pałacem Prezydenckim miesiącami przypominały okres zimnej wojny, a opinię publiczną elektryzowały słowne potyczki ziobrystów i współpracowników Dudy. Ostatnim aktem zwycięskiej dla Kaczyńskiego wojny było zablokowanie przez senatorów PiS prestiżowego dla prezydenta Andrzeja Dudy prezydenckiego projektu referendum konstytucyjnego.

NAJBLIŻEJ UCHA

Kto dziś ma największy wpływ na Jarosława Kaczyńskiego? Oczywiście od lat nieodmiennie Joachim Brudziński, dziś europoseł, wcześniej wpływowy szef Komitetu Wykonawczego PiS. Zna struktury terenowe partii niemal równie dobrze jak Kaczyński, wielu z szefów okręgowych i powiatowych komórek PiS to ludzie, którzy zawdzięczają mu nominacje. – To bystry gracz i potrafi z każdym się porozumieć. I z Kurskim, i z Morawieckim. Nie konfliktuje się z Kamińskim. Chociaż parę rzeczy mu się nie udało, np. z list wypadł jego człowiek w Olsztynie, lokalny baron Jerzy Szmit – mówi nasz rozmówca.

Kaczyński lubi konsultować się też w kwestiach dotyczących służb specjalnych i bezpieczeństwa z Mariuszem Kamińskim, do którego ma bardzo duże zaufanie. O rolnictwie rozmawia z Januszem Wojciechowskim, o makroekonomii z eurodeputowanym Zbigniewem Kuźmiukiem. Nadal darzy zaufaniem

premię Mateusza Morawieckiego. Z task nie wypadł też Zbigniew Ziobro, choć wielu w partii uważało, że „farma trolli” w Ministerstwie Sprawiedliwości może zachwiać pozycją ministra.

W sprawach mediów i wizerunku partii w mediach Kaczyński ma często rozmawiać z Jackiem Kurskim, prezesem TVP. W 2018 r., po wyborach samorządowych, gdy pojawiły się pierwsze, nie najlepsze dla PiS wyniki sondażowe (rzeczywiste okazały się korzystniejsze), część członków prezydium komitetu politycznego domagała się dymisji Kurskiego, uważając, że wpływ na to miał m.in. przekaz telewizyjnych „Wiadomości”. Kaczyński miał wówczas zaoponować.

Do grona stałych doradców Kaczyńskiego należą również przedstawiciele środowiska naukowego, w tym – zwłaszcza w sprawach europejskich – profesorowie Ryszard Legutko i Zdzisław Krasnodębski.

Koalicjanci przyznają, że Kaczyński potrafi tak argumentować, iż jego zdanie wydaje im się potem ich własnym pomysłem

Mit „Kaczora-dyktatora” burzy to, że drzwi biura prezesa PiS otwarte są też dla szeregowych posłów i terenowych działaczy ugrupowania. Warunek jest jeden – trzeba wcześniej zainteresować prezesa tematem proponowanej rozmowy, co wcale nie jest łatwe.

– To twardy zawodnik umiejący wykorzystywać przewagę psychologiczną. Do tego potrafi uwodzić ludzi, którzy wcześniej podchodzili do niego z dystansem. Nic nie wskórają, a wychodzą z przekonaniem, że zrobili w swojej sprawie, co tylko się dało – opowiadał nam o prezesie PiS jeden z posłów partii.

Jak to wygląda w praktyce, przekonał się np. Dawid Jackiewicz, były minister Skarbu Państwa odwołany jesienią 2016 r. Do Kaczyńskiego miała wówczas trafić nieoficjalna informacja o braku właściwego nadzoru nad spółkami. Chodziło o rekomendacje finansowe Eldorado, które w Zakładach Azotowych SA mieli urządzić sobie ludzie zaprzyjaźnionego z Jackiewiczem, a będącego w niełasce u Kaczyńskiego byłego rzecznika PiS – Adama Hofmana. Lider PiS co najmniej dwukrotnie wzywał

Jackiewicza na Nowogrodzką na rozmowę, gdzie ten przekonywał, że stał się celem walk frakcyjnych. Tłumaczenie nie pomogło i we wrześniu 2016 r. Jackiewicz stracił posadę.

Bardziej efektywni byli zaś ludzie obozu PiS zajmujący się polityką rolną. W ostatnich tygodniach zaalarmowali Kaczyńskiego o ich zdaniem demobilizacji wyborczej wśród rolników i zauważalnym rozczarowaniu wśród mieszkańców wsi i rolniczych miasteczek polityką rolną PiS. Efekt? Końcówka kampanii wyborczej PiS ma być w dużej mierze adresowana właśnie do mieszkających na wsiach i żyjących z płodów rolnych.

– Rzeczywiście, miałem okazję przekonać się, że zainteresowanie prezesa Kaczyńskiego sytuacją rolników jest duże, rozmawia, pyta, ma wiedzę, stara się weryfikować informacje i reaguje na problemy – mówi nam Robert Nowacki, członek zarządu Warmińsko-Mazurskiej Izby Rolniczej, działacz Solidarnej Polski.

PREZES I JEGO EKIPA

Wspomniane wcześniej prezydium Komitetu Politycznego PiS ma w partii być gwarantem, że racje wszystkich środowisk zostaną prezesowi partii zaprezentowane. Dzisiaj to ciało – wzmocnione w najważniejszych sprawach przez tzw. Radę Koalicyjną (Ziobro i Jaki oraz Gowin i Bielan) – współuczestniczy w procesach decyzyjnych w partii. – Współuczestniczenie to dobre określenie. Czasami mam wrażenie, że Kaczyński jest tak zręcznym graczem, iż dzięki autorytetowi, którym się cieszy, tak zręcznie narzuca nam swoje zdanie, że nawet nie wiemy kiedy, ale jesteśmy przekonani, że sami podjęliśmy taką, a nie inną decyzję – śmieje się jeden z koalicjantów PiS.

Prezydium Komitetu Politycznego zbiera się regularnie, przynajmniej raz w tygodniu (z wyjątkiem okresu kampanii), wieczorami na Nowogrodzkiej. Spotkanie trwa od dwóch do czterech godzin. – Prezes bardzo dba o frekwencję. Żle znosi, jeśli ktoś notorycznie wykręca się od udziału w tych spotkaniach. Jest sprawdzana lista obecności, a w przeszłości bywało tak, że jeśli ktoś miał sporo nieobecności, to Kaczyński potrafił publicznie zapytać takiego delikwenta, czy chce zrezygnować z udziału w spotkaniach – relacjonuje nasz informator.

Na spotkaniach nie tylko trzeba się pojawiać. Trzeba być także aktywnym,

zabrać głos i przedstawić swoje zdanie. Kaczyński ponoć nie pozwala na rozmowę przez telefon w trakcie narady, nie akceptuje, gdy ktoś próbuje czytać coś w Internecie w smartfonie.

Po każdej wymianie zdań, gdy przeanalizujemy dane zagadnienie, musi być podjęta jakaś konkluzja i osoba wyznaczona do wykonania zadania. Kaczyński oczekuje potem informacji, jak zostało ono zrealizowane – mówi nam jeden z eurodeputowanych, uczestniczący w takich posiedzeniach. – Mam wrażenie, że Kaczyński ma bardzo dużo cech sprawnego menedżera, choć nie ma praktyki biznesowej.

Inny z naszych rozmówców mówi, że podczas takich spotkań uderza wiedza Kaczyńskiego o tym, co się dzieje w strukturach lokalnych, jak wyglądają relacje między działaczami i co udało się zrealizować. W trakcie wyborów samorządowych w 2018 r. kilku kandydatów PiS na prezydentów i burmistrzów miast alarmowało Kaczyńskiego o braku współpracy z szefami miejscowych struktur partii. Sprawy opisywaliśmy w „Do Rzeczy”. Takie sytuacje miały mieć miejsce m.in. w Olsztynie, Lublinie, Białymstoku, Poznaniu czy Krakowie i Gdańsku. Prezes miał wydać polecenie, by każdy z tych przypadków został zbadany, a wyniki zostały przedstawione władzom partii. – I kilku „baronów” nie jest już „baronami”. Kaczyński przywiązuje bardzo dużą wagę do struktur, do tego, by funkcjonowały biura, by partia była w terenie aktywna – komentuje jeden z naszych informatorów.

Sam Kaczyński kilkakrotnie mobilizował lokalnych działaczy, wysyłając do nich osobiste listy. W 2011 r. tłumaczył powody rozłamu w partii i odejścia Ziobry, w 2015 r. przekonywał, że od tego, czy pójdą na wybory i przekonają sąsiadów do głosowania na PiS, zależy, czy będzie „trwał system stworzony przez Tuska i Komorowskiego”. Po tegorocznych wyborach do Parlamentu Europejskiego w liście do działaczy i sympatyków, dziękując za oddany głos na PiS, apelował, że najważniejsza walka rozegra się jesienią w wyborach parlamentarnych.

Z kolei w tych samych lokalnych strukturach, do których tak często odwołuje się bezpośrednio Kaczyński, coraz częściej słychać pytania, czy partia będzie w stanie funkcjonować równie sprawnie, gdy jej obecny prezes uzna, że czas od polityki odpocząć.

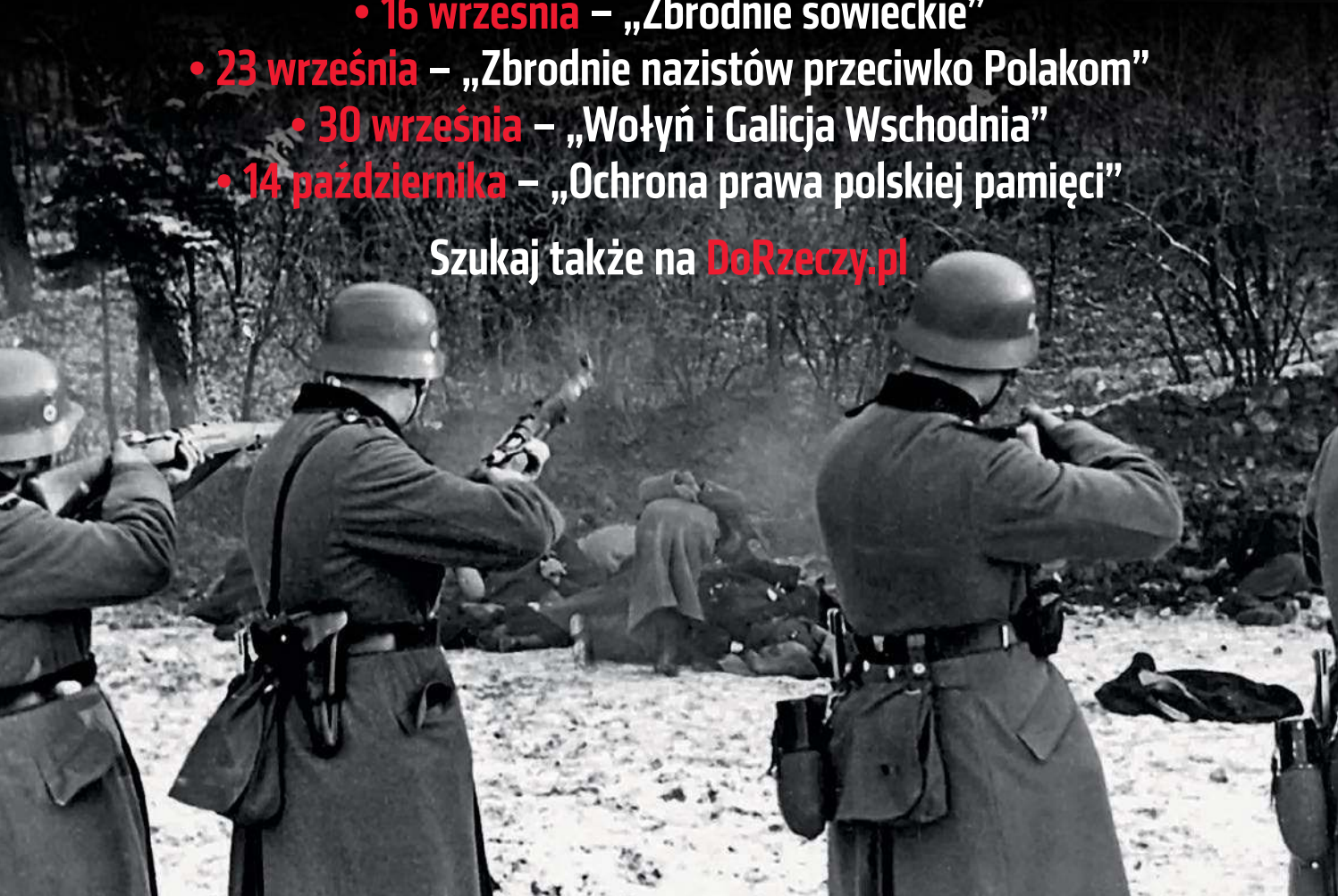
Już 29 października 2019 r.
Hotel Bellotto w Warszawie

Konferencja „Polska hekatomba i walka z polonofobią”

Co tydzień w tygodniku „Do Rzeczy”:

- 16 września – „Zbrodnie sowieckie”
- 23 września – „Zbrodnie nazistów przeciwko Polakom”
- 30 września – „Wołyń i Galicja Wschodnia”
- 14 października – „Ochrona prawa polskiej pamięci”

Szukaj także na DoRzeczy.pl



Współfinansowane ze środków Funduszu Sprawiedliwości,
którego dysponentem jest Minister Sprawiedliwości

Organizatorzy:



FOT. ANDRZEJ JILIMKA/FOTUM



Kamila Baranowska

Ta kampania należała do PiS. To partia Kaczyńskiego nadawała ton, popełniała mniej błędów i skutecznie zażegnywała kryzysy

W sztabie PiS ostatnie dni przed ciszą wyborczą obliczone są już wyłącznie na walkę o mobilizację wyborców. To kluczowe z punktu widzenia założonego przez partię rządzącą celu. A jest nim wygrana umożliwiająca samodzielne rządzenie

Temu mają służyć spoty wyborcze, nawołujące do udziału w wyborach. Pierwszy z udziałem znanego aktora Janusza Rewińskiego pokazuje, jak może wyglądać Polska po zwycięstwie Koalicji Obywatelskiej (ograniczanie „500+”, podwyżka podatków), drugi z kolei krzyczy przekazem: „Uwaga! Nie ryzykuj, 13 października obroń swoje prawo do...” i tu wymieniane są po kolei sukcesy rządu PiS, jak „500+” czy obniżenie wieku emerytalnego, a także sprzeciw wobec przyjmowania uchodźców, czyli temat zupełnie w tej kampanii dotąd nieobecny.

Demobilizacja wyborców to na finiszu kampanii największy kłopot partii rządzącej. Z niedawnych badań IBRiS dla „Rzeczpospolitej” wynika, że elektorat PiS jest jednym ze słabiej zmobilizowanych, 64 proc. wyborców partii Kaczyńskiego zadeklarowało pójście na wybory. Dla porównania: aż 94 proc. wyborców

Lewicy i 89 proc. wyborców Koalicji Obywatelskiej zamierza iść do urn.

W PiS podchodzą do wyników tych badań sceptycznie. Oficjalnie postawie zapewnijają, że do ostatniej chwili zamierzają walczyć o każdy głos, nieoficjalnie jednak mówią, że nigdy w historii nie byli tak dobrze odbierani przez ludzi jak w tej kampanii. – Ludzie zdają sobie sprawę z wagi tych wyborów, nie mam wrażenia jakiejś wielkiej demobilizacji – relacjonuje nasz rozmówca. – Wręcz przeciwnie. Nigdy nie widziałem, by tyle osób zgłaszało się z chęcią pomocy przy kampanii. Kandydaci muszą dodrukowywać ulotki i bannery, bo ludzie sami z siebie się domagają, by je wywieszać na swoich płotach. Jeszcze parę lat temu to było coś nie do pomyślenia.

To pokazuje, jak długą drogę przeszła w ostatnich latach partia Jarosława Kaczyńskiego. Od partii obciachu, bo w takie ramy próbowano ją wtłoczyć, notującej w sondażach zaniżone wyniki, bo jej wyborcy wstydzili się przyznać, na kogo głosują, do partii, której bannery sympatycy sami chcą wywieszać na swoich płotach.

NOWA TWARZ PREZESA

Paradoksów w tej kampanii było więcej. Największym z nich był fakt, że twarzą i głównym jej filarem został Jarosław Kaczyński, polityk, którego jeszcze cztery lata temu partia musiała wycofać z głównego kampanijnego przekazu, bo jego obecność bardzo szkodliwa, niż pomagała. Przy czym mitem jest, że Kaczyński był całkiem nieobecny. Brał udział w kampanii, ale ograniczał się do wizyt w regionach tradycyjnie sprzyjających PiS, gdzie przekonywał do głosowania najwierniejszych wyborców, także tych, którym nie do końca

podobał się pomysł z wystawieniem Beaty Szydło jako kandydatki na premiera. Teraz Kaczyński stał się liderem także kampanii centralnej. To jego nazwiskiem określono pakiet obietnic, których realizacja stała się siłą napędową zarówno wyborów europejskich, jak i parlamentarnych. Chodzi o tzw. piątkę Kaczyńskiego, która bywa przez komentatorów i dziennikarzy niedoceniana, jeśli chodzi o wpływ na wysokie poparcie dla PiS. Tymczasem, jak pokazują wewnętrzne badania partii, to właśnie od momentu jej prezentacji w marcu tego roku sondażowe notowania PiS przebiły 40 proc. i rozjechały się na dobre z wynikami Platformy.

– Po latach ludzie odkrywają, że Jarosław nie jest taki straszny, jak próbowano im wmawiać. Zaczynają kojarzyć go jako ojca sukcesu PiS i jako gwaranta dotrzymywania obietnic wyborczych. Z polityką, którego ludzie darzyli największą nieufnością, wskoczył do trójki polityków, którym Polacy ufają najbardziej. Dzisiaj prezes ma wyższe zaufanie społeczne niż PiS poparcie w sondażach – wskazuje nasz rozmówca z obozu PiS. Dodaje, że nie bez znaczenia dla stabilnego poparcia dla PiS są też inne badania, te dotyczące nastrojów społecznych. A te są na rekordowo wysokim poziomie. Według CBOS w sierpniu niemal 70 proc. badanych było zadowolone z poziomu życia swojego i swojej rodziny.

PRZEMIANA MORAWIECKIEGO

Drugim – obok Jarosława Kaczyńskiego – filarem kampanii i jednocześnie jej dużym zaskoczeniem był premier Mateusz Morawiecki, który w ostatnich miesiącach przeistoczył się z polityka o wizerunku pozbawionego uczuć bankowca w polityka wiecowego, który łatwo nawiązuje kontakt z ludźmi. Jeszcze niedawno prezes Kaczyński w rozmowie z „Super Expressem” przytaczał, krążący w partii na temat Morawieckiego, żart. „Co by wyszło, gdyby ktoś mający brzydkie intencje naciął brzytwą rękę pana premiera? Przewody” – opowiadał. Dzisiaj ten wizerunek zaczyna się zmieniać. Zwłaszcza wśród wyborców PiS, o których akceptację premier mocno walczył.

– To nie jest kwestia wyłącznie tej kampanii, na spotkaniu w terenie zaczął jeździć już w kampanii samorządowej, potem w europejskiej. Jasne, że początkowo obawialiśmy się, jak to wypadnie, jaka będzie reakcja ludzi. Okazało się, że bardzo te spotkania polubił i z kampanii na kampanię wypadał na nich coraz lepiej. Doszło

do tego, że prosił, by zamiast spotkań w zamkniętych salach robić spotkania na rynekczkach, by mógł wejść w tłum, nazywaliśmy to „kąpielą w ludziach” – opowiada jeden z jego współpracowników.

Z miesiąca na miesiąc Morawiecki uczył się robienia kampanii i tego, jak rozmawiać z ludźmi w terenie. Uprościł język, zamiast liczbami i danymi zaczął sypać konkretnymi przykładami, zadawać proste pytania retoryczne w stylu: „Kiedy wam się żyło lepiej – cztery lata temu czy teraz?” i tym samym zyskiwać sympatię wyborców PiS, którzy początkowo podchodzili do niego sceptycznie. – Trochę się go wstydzieli, trochę się bali podejść, nie traktowali jak swojego, on sam też nie czuł się na tych spotkaniach komfortowo, teraz jest zupełnie inaczej. Wcześniej na te spotkania przychodziło po 100–150 osób, teraz są tłumy, to też niesie polityka – opowiada nasz rozmówca z PiS.

– Ludzie bardzo dobrze na niego reagują. Raz czy dwa razy spośród ponad 200 spotkań zdarzyło się, że ktoś zareagował krytycznie, ale szybkie pozytywne reakcje naszych zwolenników ostudziły negatywne zapęły. Często zresztą słyszymy w miejscach, które odwiedzamy, że po raz

pierwszy przyjeżdża tu premier i to ma dla mieszkańców ogromne znaczenie – mówi „Do Rzeczy” Piotr Müller, rzecznik rządu. – Premier wyznaje zasadę, że te osobiste spotkania są nie do przecenienia. Uściśnięcie ręki 50 osobom powoduje, że one opowiedzą o tym spotkaniu kolejnym co najmniej 50 i tak się tworzy cała piramida. A zważywszy, że na spotkania z premierem dziś przychodzi nawet po 2–3 tys. osób, to te liczby robią wrażenie, zwłaszcza, że premier wchodząc w ten tłum, stara się zrobić sobie selfie z każdym i każdemu uściśnąć dłoń. Czasem jest tak, że samo przemówienie trwa 10 minut, a potem godzina to rozmowy i ściskanie rąk – dodaje.

Mateusz Morawiecki ze względu na śmierć swojego ojca Kornela Morawieckiego zawiesił udział w kampanii do czasu pogrzebu. Spotkania w terenie wziął więc na siebie prezes Kaczyński. W PiS nie ma dziś zbyt wielu polityków, którzy takie spotkania mogliby udźwignąć i którzy mają moc przyciągania tłumów. Tę umiejętność miała Beata Szydło, która dziś ma swoje obowiązki w Parlamencie Europejskim, ma je także prezydent Andrzej Duda, który w kampanię partyjną angażować się nie może.

Końcówka kampanii ma służyć mobilizacji rolników. Z badań PiS wyszło, że to ryzykowna grupa wyborców, która może nie pójść zagłosować znów na PSL, ale może po prostu zostać w domu. Dlatego PiS ma jeszcze w planach ogłoszenie w ostatnim tygodniu propozycji programowych, adresowanych właśnie do rolników, rozważany jest też udział prezesa Kaczyńskiego w jednym z programów rolniczych w TVP.

W sprawie mobilizacji wyborców politycy PiS, zajmujący się wewnętrznymi badaniami, mówią, że to normalne, iż w przypadku partii wiodącej, a taką jest dzisiaj PiS, emocje wyborców są niższe. – PiS ma dzisiaj tak duży i różnorodny elektorat, że znajdują się w nim także wyborcy mniej zdecydowani. To tzw. normalni, którzy na co dzień nie żyją polityką i nie emocjonują się nią. Jest jednak wielce prawdopodobne, że jeśli przyjdzie do wyborów, to pójda i znów na nas zagłosują, tak jak w poprzednich wyborach, bo tak to zwykle działa. Co oczywiście nie zmienia faktu, że trzeba walczyć do ostatniego dnia kampanii – uważa jeden z naszych rozmówców.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

PÓŁROCZNA PRENUMERATA

DO
RZECZY

TYGODNIK
„DO RZECZY”

WERSJA PAPIEROWA
TYGODNIKA ORAZ DOSTĘP
DO E-WYDAŃ W APLIKACJI



W PREZENCIE
KSIĄŻKA:

PAWEŁ LISICKI
"EPOKA ANTYCHRYSTA"

~~335~~ zł



135,00 zł



**OSZCZĘDNOŚĆ
200 zł**

ZAMÓW JUŻ TERAZ: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**



**Z Pawłem Szefernakerem, wiceministrem
spraw wewnętrznych i administracji, posłem PiS**
rozmawia Kamila Baranowska

PO chwytła się brzytwy

KAMILA BARANOWSKA: Czym obecna kampania wyborcza różniła się od tej sprzed czterech lat, gdy PiS dopiero szedł po władzę?

PAWEŁ SZEFERNAKER: Obecna kampania jest prowadzona w zupełnie innej sytuacji społecznej, jest inny klimat polityczny. W 2015 r. było tak, że Polacy chcieli zmian po ośmiu latach rządów Platformy. I wtedy rzeczywiście kampania miała

ogromne znaczenie, bo odpowiadała konkretnymi na oczekiwania, że pojawi się ktoś inny niż PO, z innymi propozycjami i innym podejściem do polityki. Dzisiaj jesteśmy w sytuacji, gdy rządzi partia, która realizuje program, która jest wiarygodna, która umawia się z ludźmi na konkretne rzeczy i je potem robi, nawet jeśli poprzednicy wmawiali, że się nie

da ich zrobić. Dzisiaj rola naszej kampanii jest zupełnie inna. Jej zadaniem jest przypomnienie tego, co udało się zrobić, i pokazywanie, że można zrobić jeszcze więcej. W marcu tego roku zaprezentowaliśmy piątkę Kaczyńskiego, która w ciągu pół roku została zrealizowana. Wierzmy, że wyborcy to docenią, choć do końca zamierzamy walczyć o każdy głos. Choćby nie wiem jak dobre były sondaże, nie dajemy się im uspić.

Łatwiej prowadzić kampanię, będąc partią opozycyjną czy partią władzy?

Jeżeli środowisko, które jest u władzy, jest środowiskiem wiarygodnym, to jest łatwiej niż w sytuacji, w której była Platforma w 2015 r. Z punktu widzenia partii władzy trudniej jednak zadbać o pewien jednolity przekaz, który powinien w kampanii obowiązywać. Jest tak wiele ośrodków władzy, tak wiele osób pełni różnego rodzaju funkcje ministerialne, samorządowe, parlamentarne, że jest to niemożliwe. W 2015 r. grupa osób, która działała w ramach sztabu i która reprezentowała PiS w mediach, była mocno ograniczona, a co za tym idzie – przekaz był klarowny i jednolity. Dzisiaj nie da się już tego zrobić.

Partii władzy trudniej chyba też mobilizować swoich wyborców. Ostatni sondaż IBRIS dla „Rzeczpospolitej” pokazał, że wasz elektorat jest jednym ze słabiej zmobilizowanych.

Kwestia mobilizacji jest jedną z najważniejszych w tej kampanii. Robimy i w tym ostatnim tygodniu kampanii także będziemy robić wszystko, aby przekonać jak najwięcej osób, że te wybory są ważne. Siedząc na kanapie i pozwalając, by ludzie obserwowali i oceniali politykę tylko z perspektywy mediów ogólnopolskich, nie wygramy tych wyborów. Musimy cały czas przekonywać ich, że tylko my jesteśmy w stanie zapewnić im oczekiwany spokój. Jestem przekonany, że tego dziś chcą ludzie. Chcą, by państwo było silne i dawało poczucie bezpieczeństwa, a jednocześnie prowadziło dobrą politykę gospodarczą i nie angażowało ich w wielkie spory światopoglądowe. Tylko PiS daje taką szansę i musimy dotrzeć z tym komunikatem do wszystkich. To, co dziś nam proponują Lewica i Koalicja Obywatelska, to rewolucja światopoglądowa i warto o tym pamiętać.

O ile sprawy światopoglądowe zdominowały kampanię europejską, o tyle w tej kampanii jakby o nich ciszej.

FOT. IBRIS OUTDEK

Niedawno w moim okręgu wyborczym była konwencja wyborcza jednego z polityków Koalicji Obywatelskiej, który mówił, że trzeba wprowadzić ograniczoną eutanazję, małżeństwa homoseksualne i adopcję dzieci przez takie pary. Wielu kandydatów zaczyna o tym otwarcie mówić, bo oni po prostu mają takie poglądy. Platforma na razie głośno tego nie artykułuje, bo boi się utraty umiarkowanych wyborców, ale moim zdaniem to kwestia czasu, bo zdecydowana większość jej polityków chce radykalnej rewolucji światopoglądowej.

Duży nacisk kładziecie na kampanię w terenie. Kampania bezpośrednia ma dziś większe znaczenie niż Internet, który odegrał decydującą rolę w 2015 r.?

Ta kampania jest wyjątkowa w porównaniu z innymi ze względu na ogromny wysiłek wkładany w kampanię bezpośrednią w terenie. Tysiące spotkań, na których pojawia się bardzo dużo osób, wiele osób angażujących się w kampanię, zgłaszających się na ochotnika do współpracy przy rozdawaniu ulotek albo oferujących swoje płoty do wieszania banerów z kandydatami, to wszystko ma znaczenie. Co tydzień mamy konwencje programowe, na których prezentujemy część programu PiS, nasi liderzy mówią, co się udało zrobić i co jest jeszcze do zrobienia. Co do Internetu – cztery lata temu po raz pierwszy na taką skalę kampania była prowadzona w sieci i rzeczywiście był to z naszej strony strzał w dziesiątkę. Dzisiaj już wszystkie komitety prowadzą szeroko zakrojoną kampanię internetową, więc ona nie ma już takiej siły rażenia jak wtedy. Jedyną nowością jest to, że to chyba pierwsza kampania, w której pojawia się tak wiele nieprawdziwych informacji i trzeba pilnować, by je na bieżąco i szybko prostować, nie dając szansy, by jakiś fake news zaczął żyć swoim życiem.

A może jest tak, że sukces PiS w wyborach europejskich i wysokie poparcie w sondażach to głównie efekt słabości opozycji, której mało co ostatnio wychodzi?

Takie myślenie może łatwo uśpić czujność i nas, polityków, i naszych wyborców. Sondażami nie wygrywa się wyborów. Jestem przekonany, że dziś naszą przewagą jest to, że mamy strategię i długofalowy plan rządzenia, mamy lidera, który nasze środowisko poli-

tyczne prowadzi, i jesteśmy wiarygodni w tym, co robimy. Bez tego, nawet przy najlepiej prowadzonej kampanii, można przegrać wybory. Tymczasem Grzegorz Schetyna stworzył koalicję, która mu się po paru miesiącach rozpadła. To pokazuje, jak wyglądałaby polska rzeczywistość, gdyby wybory wygrała opozycja. Możemy wyobrazić sobie targi o kształt rządu, o to, kto ma jaką funkcję, ma w nim pełnić, kto ma być premierem itd. Zresztą sam skład koalicji – od Zandberga przez Schetynę i Czarzastego po PSL i Kukiza – to przepis na jeden wielki chaos. Poza tym skoro nie potrafili się zjednoczyć, idąc do wyborów, to jak mieliby stworzyć rząd, który miałby dobrze i skutecznie rządzić? My gwarantujemy spokój i to, że po wyborach nie będzie chaosu związanego z powyborczymi układankami.

W ramach przedwyborczych układanki Koalicja wystawia Małgorzatę Kidawę-Błońską jako swoją kandydatkę na premiera. To przypomina manewr PiS z 2015 r. z Beata Szydło. Wtedy to zagrało, teraz nie bardzo. Dlaczego?

Dlatego że strategia Jarosława Kaczyńskiego i kierownictwa PiS z wystawieniem Andrzeja Dudy na prezydenta, a później szefowej jego sztabu na premiera była strategią przemyślaną i opartą na obserwacjach, które poczyniliśmy, patrząc na to, jak podczas objazdu po Polsce z kandydatem na prezydenta jest odbierana przez ludzi Beata Szydło. Przypomnę też, że Andrzej Duda został zaprezentowany w roli kandydata 11 listopada 2014 r., czyli ponad pół roku przed wyborami. Pani Kidawa-Błońska była kandydatem doraźnym, trochę z przypadku, a przynajmniej tak to z zewnątrz wyglądało. Za taką zmianą musi stać jakiś plan, a tu nie widać niczego poza chęcią szybkiego odwrócenia uwagi od Grzegorza Schetyny, który jak się okazało, jest źle oceniany przez Polaków.

„Nic, co dane, nie będzie odebrane” – zapewnia Grzegorz Schetyna. To chyba dobrze, że Platforma chce iść waszą drogą, jeśli chodzi o świadczenia społeczne?

Grzegorz Schetyna próbuje w tej chwili zmieniać rzeczywistość i przekonać do siebie wyborców takimi hasłami, ale brakuje mu w tym wszystkim wiarygodności. To Grzegorz Schetyna głosował za podwyższeniem wieku emerytalnego, to Grzegorz Schetyna głosował za podwyższeniem podatków, w tym VAT na

23 proc., to Grzegorz Schetyna nie głosował w 2016 r. za „500+”, gdy zaczęliśmy realizować ten program. I dziś ten sam Schetyna mówi, że będzie strażnikiem tego, przeciwko czemu występował. Wyborcy nie mają aż tak krótkiej pamięci. Próba nieudolnego kopiowania pomysłów PiS jest łapaniem się brzytwy, która nie pomoże Platformie.

Mówi się, że tak jak kiedyś teflonowa była Platforma, której (do czasu) nie szkodziły żadne ujawniane afery, tak dzisiaj teflonowy jest PiS, któremu też nic w tej kampanii nie szkodzi.

W polityce ważne są szybkie reakcje. My zawsze staramy się szybko reagować na kwestie, które są wątpliwe z punktu widzenia opinii publicznej. Niejednokrotnie Jarosław Kaczyński mówił, że partia polityczna nie jest stowarzyszeniem aniołów i będą się zdarzać różnego rodzaju osoby, które popełniają błędy, stając się problemem dla całego środowiska politycznego. Ważne jest jasne postawienie sprawy, że nie ma świętych krów, nie ma sytuacji, w których politycy będą trwać na urzędach, tylko dlatego że wywodzą się z PiS. Są wątpliwości, musi być ostra reakcja.

Ostatnio wątpliwości budzi obecność pana Dariusza Mateckiego na listach PiS. Z jednej strony krytykujecie Koalicję Obywatelską za obecność Klaudii Jachiry, a z drugiej promujecie osobę, która prezentuje podobne standardy.

Obecność Klaudii Jachiry na listach Koalicji przypomina mi obecność Janusza Palikota w Platformie. To osoba, która ma szokować, prowokować, i moim zdaniem jest to przemyślane działanie Schetyny, nie żaden przypadek. Pamiętajmy, że ta pani, która kandyduje z odległego miejsca, została oficjalnie zaprezentowana na jednej z konwencji Platformy i była osobiście chwalona przez Grzegorza Schetynę. To przemyślany pomysł na palikotyzację polskiej polityki. I żeby była jasność: w moim przekonaniu nie ma miejsca w polityce dla osób, które niszczą język debaty publicznej, bez względu na to, czy ktoś jest z PiS, czy z Platformy Obywatelskiej, czy z Lewicy. Gdybym mógł coś doradzać koleżankom i kolegom, którzy chcą zaangażować się w politykę, to kluczem do sukcesu są przede wszystkim pokora i cierpliwość. Wszyscy ci, którzy próbują dziś zwrócić na siebie uwagę, używając ostrego języka, działają bardzo krótkowzrocznie. Nie tędy droga.



Absurd wyborczy



Łukasz Warzecha

Cisza wyborcza nie ma żadnego sensu, a jednak nikt nie chce jej znieść

W miejscowości Devon w stanie Connecticut w USA obowiązują zakaz chodzenia tyłem po zmroku. Źródła tego absurdu nie są znane. Jest to natomiast z pewnością jeden z najbardziej bezsensownych zakazów na świecie. W jednym rządzie z podobnymi kuriozami amerykańskiego prawodawstwa można postawić polskie przepisy o ciszy wyborczej.

Przepisy o ciszy wyborczej zawarte są w rozdziale 12 Kodeksu wyborczego,

w artykułach 107 i 115. Ten pierwszy powiada: „W dniu głosowania oraz na 24 godziny przed tym dniem prowadzenie agitacji wyborczej, w tym zwoływanie zgromadzeń, organizowanie pochodów i manifestacji, wygłaszanie przemówień oraz rozpowszechnianie materiałów wyborczych jest zabronione”.

Ten drugi mówi: „Na 24 godziny przed dniem głosowania aż do zakończenia głosowania zabrania się podawania do publicznej wiadomości wyników przedwyborczych badań (sondaży) opinii publicznej dotyczących przewidywanych zachowań wyborczych i wyników wyborów oraz wyników sondaży wyborczych przeprowadzanych w dniu głosowania”.

Do tego dochodzi definicja agitacji wyborczej, którą zawiera artykuł 105 i która brzmi: „Agitacją wyborczą jest publiczne nakłanianie lub zachęcanie do głosowania w określony sposób, w tym

w szczególności do głosowania na kandydata określonego komitetu wyborczego”.

Za złamanie ciszy karze nie, jak się często uważa, Państwowa Komisja Wyborcza, ale sąd. I to on musi ostatecznie potwierdzić, że do naruszenia ciszy wyborczej doszło.

Te przepisy są brutalnym gwałtem na zdrowym rozsądku – i w zderzeniu z rzeczywistością, i z praktyką, jakby tego było mało, zakładają traktowanie obywateli jak niedojrzałych głupków, niezdolnych do podejmowania decyzji, o ile dobry „kapitan państwo” nie pokaże im, jak to zrobić, nie otoczy ich opieką i nie poprowadzi za rączkę.

AGITACJA, CZYLI CO?

Spójrzmy najpierw na definicję agitacji. Mówi ona wyraźnie, że „agitacją jest nakłanianie lub zachęcanie do głosowania w określony sposób”. Czyli agituje, jeśli

mówię: „Głosujcie na partię X” albo „Głosujcie na pana Y”. Ale przecież nie agituję, rozmawiając o szansach poszczególnych ugrupowań, oceniając ich kampanię czy kwalifikacje. A jednak wszystkie duże media i zdecydowana większość małych w jakiejś bezrozumnej panice upierają się, żeby w czasie ciszy wyborczej w ogóle nie wymienić nazwy żadnej polskiej partii politycznej. Nie ma odwážnego, który by ten uzus podważył i przetestował rozumienie pojęcia agitacji wyborczej przez polskie sądy. I to mimo że dla dużych mediów potencjalna kara w wysokości 5 tys. zł nie wydaje się zbyt wielką ceną.

Interpretacja zakazu jest kompletnie niespójna. Nie bardzo wiadomo, dlaczego uznano, że w czasie ciszy wyborczej pojazdy opatrzone reklamami wyborczymi mogą stać zaparkowane, lecz nie mogą jeździć. Tyle że nie wszystkie – bo zakaz nie obejmuje pojazdów komunikacji miejskiej. Te jeździć oczywiście mogą. Dlaczego są traktowane inaczej niż prywatne samochody? Nie wiadomo.

Od wielu lat jest jasne, że media społecznościowe jawnie podważają polskie regulacje. Nikt nigdy nie podjął się interpretacji podawanego przeze mnie wielokrotnie przykładu: Jak ma się cisza wyborcza do agitacyjnego wpisu, który ktoś umieściłby na swoim zamkniętym profilu na Facebooku (którego siedziba jest poza Polską), siedząc w kawiarni w Czechach choćby i sto metrów od polskiej granicy? Zwolennicy ciszy wyborczej zbywają to pytanie ogólnikami o jej pożytecznej roli. Zbywanie się skończy, gdy opisany przypadek się zrealizuje – co kiedyś nastąpi, biorąc pod uwagę, że już od wielu cykli wyborczych Internet jawnie kpi z polskiego prawa. Dotyczy to i agitacji, i podawania rezultatów exit poll w dniu głosowania w lekko tylko zamaskowanej postaci. Wszyscy to wiedzą – i wszyscy udają, że nic się nie dzieje.

Postawione przeze mnie wyżej pytanie nie jest zresztą czysto akademickie. Cisza wyborcza obowiązuje bowiem jedynie na terytorium Polski, tymczasem prawa wyborcze mają również Polacy mieszkający za granicą. Tam zaś media nie są niczym skrępowane i mogą polskie wybory komentować czy nawet prowadzić agitację podczas ich trwania. Ba, sami wyborcy mogą taką agitację prowadzić w dniu wyborów, ustawiając się w pobliżu lokalu wyborczego, mieszczącego się w polskich ambasadzie lub konsulacie. Można założyć, że jeżeli nie będą blokować wejścia

i zachowają rozsądny dystans, to nikt ich stamtąd nie powinien przeganiać. Mamy zatem nierówne traktowanie wyborców w kraju i za granicą.

POGARDA DLA OBYWATELI

Istnieje grupa ludzi, którzy deklarują poparcie dla ciszy wyborczej, bo – jak twierdzą – wreszcie mogą sobie odpocząć od polityki. Trudno zrozumieć, dlaczego nie mogą po prostu nie włączać telewizora i radia, a w Internecie nie sprawdzać informacji politycznych. Czy aby odpocząć od agitacji, naprawdę trzeba uchylać krępujący wolność słowa przepis, obejmujący cały kraj? Czy obywatele zachwyceni ciszą wyborczą właśnie z powodu, jak twierdzą, kojącego spokoju, są do tego

Argumenty zwolenników ciszy wyborczej mają rozmyty charakter. Na ogół mówią, że taki jest zwyczaj i należy przy nim pozostać

stopnia nieporadni, że nie umieją się sami odciąć od informacji, i to na dłużej niż 24 godziny z okładem? Jeśli faktycznie to ich przerasta, to jak można uznać, że dokonają rozsądnego wyboru? Może nie powinni mieć czynnych praw wyborczych?

Przed wszystkim zaś obrońcy ciszy wyborczej w gruncie rzeczy wykazują się głęboką pogardą dla obywateli. Wysuwają bowiem niezmiennie argument, że „ludzie potrzebują odpoczynku”, żeby sobie wszystko przemyśleć. Oznacza to, że ich zdaniem, jeśli nie zapewni się obywatelom cieplarnianych warunków, to dokonają głupiego wyboru. Naprawdę tak nisko oceniają Polaków?

Można ten argument skontrować również z drugiej strony: Czy faktycznie sądzą, że skoro cisza istnieje, każdy lub choćby większa część głosujących w sobotę przed wyborczą oddaje się głębokiemu namysłowi nad programami partii i konkretnymi kandydaturami? Wątpię. Jeśli ktoś ma się namyślać, to będzie się namyślał niezależnie od tego, czy cisza jest, czy jej nie ma. Jeśli zaś nie namyśla się wcale i głosuje na podstawie czystej emocji, to również ma do tego prawo i cisza lub jej brak niczego nie zmienia. Waga głosów jest równa niezależnie od tego, jaka była motywacja wyborcy. Nie ma zatem żadnej wartości argument,

że cisza jest konieczna, aby głosy nie były oddawane pod wpływem impulsu – takie są tak samo ważne jak wszystkie inne. Co więcej – czym różni się impuls polegający na obejrzeniu reklamówki wyborczej bezpośrednio przed wyjściem do lokalu wyborczego od impulsu polegającego na obejrzeniu tej samej reklamówki w piątek wieczorem?

Równie absurdalny jest argument, że bez ciszy wyborczej do ostatniej chwili możliwe byłoby manipulowanie wyborcami. Przecież w obecnej sytuacji granicą jest północ z piątku na sobotę. Mało tego – jeżeli dojdzie do oszczerstwa czy kłamstwa wyborczego w piątek po południu, to nie ma już szansy na sprostowanie – właśnie przez ciszę wyborczą. Gdyby jej nie było, granicą byłoby jedynie zamknięcie lokali wyborczych.

Wśród przeciwników ciszy wyborczej była poprzednia PKW z sędzią Wojciechem Hermelińskim na czele. Obecna nie zabrała w tej sprawie głosu. PiS, który ma w zwyczaju traktować obywateli paternalistycznie, zawsze był zwolennikiem zachowania ciszy wyborczej, a inne siły polityczne – poza może Kukiz'15 – nie zamierzały w tej sprawie walczyć.

Jeżeli przyjrzeć się argumentom zwolenników ciszy, to wszystkie one mają mglisty, rozmyty charakter i nie odpowiadają na konkretne zarzuty. „Taki jest zwyczaj” – mówią na ogół, twierdząc, że skoro się przyjął, to powinno się przy nim pozostać. Faktycznie, sondaż z maja tego roku pokazał, że 67 proc. jest za pozostawieniem ciszy wyborczej, przeciw jest jedynie 20 proc., a blisko 13 proc. nie ma zdania. Co ciekawe, więcej było zwolenników ciszy wyborczej wśród młodszych niż starszych badanych.

Pytanie brzmi: Czy powinniśmy godzić się na trwanie faktycznie powszechnie akceptowanego rozwiązania, którego nie logiczność, absurdalność i archaiczność są coraz bardziej widoczne? Jak w każdej sprawie, tak tutaj możliwe są przecież rozwiązania inne niż zero-jedynkowe. Można pozostać przy zakazie publikowania sondaży w okresie ciszy, zarazem ograniczając zakaz agitacji do części mediów i wyłączając spod niego i tak niemożliwy do kontrolowania Internet. A przy okazji jasno definiując, co oznacza agitacja, tak aby cisza wyborcza nie paraliżowała wszelkich dyskusji o polityce. Nie wygląda jednak na to, żeby ktokolwiek był zainteresowany choćby takimi zmianami. Absurd ma trwać.



Rafał A. Ziemkiewicz

Czterolatnym moralnym wzmocnieniem opozycja rozjechała się z oczekiwaniem społecznym. Efekt? Ludzie nie widzą już w ogóle potrzeby istnienia jakiegś opozycji

Cztery lata temu Grzegorz Schetyna zapowiedział: „Będziemy opozycją totalną”. Dzisiaj, u końca kadencji, można stwierdzić, że zapowiedź ta została zrealizowana i że przyniosło to wielką szkodę zarówno Polsce, polskiej demokracji, jak i samemu Grzegorzowi Schetyńskiemu oraz jego partii. Jedyny zysk z takiej formuły „opozycyjności” odniósł paradoksalnie PiS. I jest to zysk niebagatelny: Polacy zostali oświeceni z myślą, że z istnienia opozycji właściwie nic nie wynika, więc można się bez niej obyć.

Co ciekawe, że taki właśnie będzie skutek strategii przyjętej przez obóz liberalno-lewicowy, wskazywali już u zarańcia kadencji szczerze mu sprzyjający eksperci od politycznego marketingu. „Nazwanie się przez PO i Nowoczesną opozycją totalną to idealna sytuacja z punktu widzenia Kaczyńskiego” – mówił w wywiadzie dla „Newsweeka” Jakub Bierzyński, wskazując, że w sytuacji, gdy władza krytykowana jest z zasady za wszystko, ta krytyka traci dla wyborców wiarygodność. Zamiast, jak chyba wydawało się lewicowo-liberalnym elitom, zbudować wokół rządzącego PiS mur społecznego potępienia, „opozycja dała Kaczyńskiemu licencję na zabijanie”, immunizując na wszelką krytykę.

Potwierdzeniem trafności tej diagnozy było ochocze podchwycenie ukutego przez Schetynę określenia przez media sprzyjające władzy – przy dość kuriozalnych w tej sytuacji protestach opozycji, ponieważ próbowanej uczynić z terminu „opozycja totalna” przykład „PiS-owskiej mowy nienawiści”. Rzecz jednak przecież nie, jak można by sądzić ze słów Bierzyńskiego, w „nazwaniu się” przez opozycję totalną – ale w sposobie jej zachowania. W przyjęciu za wzorzec sposobu działania dysydentów w ustrojach totalitarnych. PiS został więc napiętnowany jako siła niemoralna, wykluczony ze świata „ludzi przyzwoitych”,

a tym samym nieakceptowalne stały się wszelkie formy godzenia się z jego władzą, poprzez kontakty, negocjacje, kompromisy, wszelką w ogóle współpracę.

MORALNA PAŁKA SCHETYNY

Świat poznał układ: totalitarna władza i wyznająca ideały demokratyczne opozycja. Jednak sytuacja odwrotna wymyka się jego rozumieniu. Postawy totalnego odrzucenia państwa, ponie-

społecznym – ale nie ma w swej tradycji zaborów ani nikogo takiego, kto by, tak jak Piłsudski, głosił, że totalne odrzucenie władzy i walka są obowiązkiem moralnym, że wszelkie „urządzanie się” w „wychodkowej atmosferze zaboru” uwłacza, będąc „postawą niewolniczą”, elementarnej ludzkiej godności. Nawet okupacja hitlerowska przebiegała tam przecież całkowicie inaczej, z rządami kolaboracyjnymi, własną, podporządkowującą się



waż wybory wygrali nasi przeciwnicy, w żaden sposób nie da się pogodzić z demokracją czy praworządnością, które z przyczyn taktycznych opozycja umieszczała na swoich sztandarach tak, że trudno jest wytłumaczyć tę sytuację dziennikarzom z Zachodu. Nawet jeśli trafi się taki, który nie przyjeżdża do Polski tylko po z góry oczekiwaną opowieść o światłych liberałach, broniących ciemnego społeczeństwa przed jego zacofanymi odruchami „ucieczki od wolności”.

Zachód ma podobne lewicowo-liberalne salony, z podobnym urojeniem wyższościowym uważające się za jedynie uprawnione do zawiadowania życiem

poleceń zwyczajcy policją i administracją oraz czynnymi kabaretami.

Odruch przełożenia moralnych kryteriów walki o wolność na demokratyczną politykę był w postinteligentnych elitach III RP niezwykle silny od samego początku. Piotr Semka przypomniał niedawno na naszych łamach zachowanie minister z rządu Tadeusza Mazowieckiego, która w chwili pojawienia się na scenie politycznej Porozumienia Centrum z hasłem „przyśpieszenie” czuła się w obowiązku oznajmić podczas konferencji prasowej, że nie może użyć słowa „przyśpieszenie”, bo „dziś tego słowa nie używa żaden przyzwoity człowiek”. Takich przykła-

dów można by podawać z całego 30-lecia setki. Spór polityczny niemal od pierwszych chwil „wojny na górze” uczyniły postpopolaryzacyjne elity sporem totalnym, wojną „Polski europejskiej, nowoczesnej” z „ciemną i ksenofobiczną”, dopuszczającą zmianę stron, ale bez miejsca na kompromis.

Hasło „opozycji totalnej” było owocem politycznego sprytu Grzegorza Schety-ny, który użył pałki „niemoralności”



FOT. JAKUB WALASEK/REPORTER

kolaborowania z „antydemokratyczną i antyludzką władzą PiS”, by zniszczyć polityczną konkurencję do przewodzenia obozowi lewicowo-liberalnemu. Odwołało się jednak do odruchów i mechanizmów niezwykle głęboko zakorzenionych – trzeba by o tym napisać obszerny esej, osobiście proponowałbym termin „skretyniały romantyzm”. „Mental” radykalnych działaczy opozycji „dymiących” przeciw „wielokrotnym gwałcieliom konstytucji” to przecież groteskowa, wyblakła parodia uniesień nie tylko ze smoleńskich rytuałów PiS, gdy to on był w „moralnej” opozycji, albo „mszy za ojczyznę” z czasów PRL, ale np. sposobu

myślenia powstańców styczniowych, którzy samych siebie opiewali jako „upiórów gromadę”, wpadającą „w noc spokojną” „do domów, gdzie szczęśliwi sytymi śpią snami”, aby „skłócić ich spokój” i zmusić wszystkich, by przyłączyli się do walki.

Równie głęboko i równie groteskowo zakorzenione są sposoby udzielania sobie przez członków elit rozmaitych dyspens i immunitetów, osiąganych poprzez postromantyczne gesty i pozy, które pozwalają godzić głoszoną czarno-białą wizję świata z funkcjonowaniem w praktyce. Tutaj wyrazistym przykładem jest choćby festiwal w Gdyni, gdzie poza jednym wyjątkiem nie zaprezentowano filmu, który nie byłby dofinansowany pieniędzmi podatnika przez „PiS-owski reżim”, ale jednocześnie punktem honoru i jazdą obowiązkową biorców owych pieniędzy było zaznaczanie na wszelkie sposoby, że są przeciw ich dysponen-
tom, po stronie „przyzwyczajoności”. Rechot na hasło „tupolew”, protest przeciwko „faszystowskiemu państwu”, od którego właśnie odebrało się nagrodę, albo upo-
zowane na akt heroiczny mętne aluzje, że „każda władza kiedyś upadnie”, to, znowu, proste przeniesienie w nasze cza-
sy odruchów z zupełnie innej epoki. Co rozsądniejszych zresztą te akty „zaświad-
czania moralnego sprzeciwu” śmieszyły już w PRL, Janusz Szpotański nazywał je przecież gęganiami. Odtwarzane dziś, jak z trzeszczącej płyty, są absurdem do kwadratu.

LEGITYMACJA „MORALNA”

Tyle że lewicowo-liberalne salony i ruchy będące ich polityczną emanacją nie są w stanie tego zauważyć. Nazbyt silny jest bowiem i nazbyt głęboki w ich myśleniu paradygmat, w którym podstawą władzy jest legitymacja „moralna”. Pomińmy już uproszczenie, że ową legitymację jako jedyne władne są dawać „autorytety moralne”, czyli właśnie lewicowo-liberalny salon, i wygranie wyborów, gdy się do nich wystartowało bez takiej autoryzacji, narusza w przekonaniu elit moralny ład świata. Nonsensem jest samo założenie i wynikające z niego skupienie czteroletnich wysiłków opozycji na próbach przekonania Polaków, że PiS to partia niemoralna.

Polacy bowiem, en masse, wcale nie oczekują od polityków żadnej moralnej legitymacji do prowadzenia „mas”. Raczej uważają wszystkich ich za niezbyt moralnych z zasady, bez specjalnych różnic

między partiami, i traktują elity polityczne jako ludzi wynajmowanych do konkretnej roboty. Oni nie mają świecić przykładem – oni mają rozwiązywać „ludziom” konkretne problemy. Jak rozwiązują, to dobrze. Jak nie – następny proszę.

Polityk dla Polaka ze społecznych nizin jest jak murarz, dekarz czy inny fachowiec. Nie obchodzi nas – no, chyba żeby kogoś przyłapano na czymś wyjątkowo haniebnym – co on robi poza czasem pracy. Także i w tym zasadniczo różnimy się od społeczeństw postpurytańskich. Tam człowiek zdradzający żonę nie może być ministrem finansów, dla prostego Polaka natomiast to prywatna sprawa ministra i jego „starej”. Nawet na kombinowanie i kręćactwa przymknij wyborca oko dopóty, dopóki oczywiście polityk nie kradnie z „naszego”.

Z całym swym czteroletnim moralnym wzmocnieniem opozycja rozjechała się więc kompletnie ze społeczeństwem. Tak samo zresztą jak przez wiele lat rozjeżdżał się z nim PiS, zanim zrozumiał, że droga do władzy wiedzie przez „500+”, a nie narodowowyzwoleńcze mitologie o „ruskim zamachu”.

Tyle że w wypadku „opozycji totalnej” skutki są znacznie poważniejsze – jak sądzę dlatego, że miała przez te lata nieporównanie większe wsparcie mediów i Zachodu. Zdołała mianowicie zlikwidować w wyborcach naturalną obawę przed „wsadzeniem wszystkich jajek do jednego koszyka”. Mówiąc prościej – po raz pierwszy przeciętny Polak nie uważa wcale, że trzeba mieć jakąś opozycję jako alternatywę i „bat” na władzę.

Co bowiem wynikało z istnienia opozycji przez ostatnie cztery lata? Ogłuszający wrzask, histeria, dym – nic poza tym. Gorzej, „totalna opozycja” swym donosieniem do Timmermansa i TSUE nieświadomie wskazała, że bezpiecznik jest gdzie indziej. Gdyby „PiS-owcom” naprawdę odbiło i chcieliby zrobić coś groźnego, to przeszkodzi im w tym Unia. A tutejsi gęgacze? Zaburzają tylko swymi nieustannymi histeriami poczucie bezpieczeństwa i odbierają spokój. A to dla wyborcy bardzo ważne sprawy.

Gdyby cztery lata temu zadano Polakom pytanie: Czy chcesz, aby PiS (lub jakakolwiek partia) miał i samodzielną większość w obu izbach parlamentu, i prezydenta, większość bałaby się odpowiedzieć twierdząco. Strategia „opozycji totalnej” zmieniła to.

12 listopada 2015 r. Kornel Morawiecki jako najstarszy wiekiem poseł otrzymał tytuł marszałka seniora, który otwierał pierwsze posiedzenie nowego Sejmu. Marszałek senior przygotował specjalne przemówienie. „Niosę Ciebie, Polsko, jak żagiew płomienie, Gdzie cię doniosę, nie wiem. To słowa z podziemia. Autor nieznan [...]. Czy prawo stanowione przez Sejm obecnej kadencji pomoże Polsce? Czy potrafi poprawić dolę mieszkańców naszego kraju? Czy biednych uda się wyrwać z biedy? Czy da perspektywę ambitnym, pracowitym i zdolnym? Czy przywróci cześć bohaterom Solidarności?” – mówił wtedy Morawiecki.

Dzisiaj można uznać, że był to najważniejszy dzień w jego politycznej karierze. A przecież gdyby zmarł dekadę wcześniej, o jego śmierci napomknęłyby co najwyżej prawicowe pisma. Dla porównania w lipcu br. odszedł jeden z najbardziej znanych działaczy Solidarności z lat 1980–1989, Maciej Jankowski, i notatki o jego śmierci nie przebiły się na pierwsze strony. Co sprawiło, że Kornel Morawiecki doczekał politycznego spełnienia? Odpowiedź wydaje się prosta i przypomina podobne losy Lecha Kaczyńskiego czy Anny Walentynowicz. Jest tak w życiu, że ludzie zasługi z przeszłości w pełni doceniają, obserwując, jakie były kolejne lata życia dawnego bohatera. To dlatego Morawieckiemu udało się zachować w polskiej polityce wagę o wiele większą niż inni bohaterowie Solidarności z najlepszych jej czasów – czy to Władysław Frasyniuk, czy Lech Wałęsa. Kornel Morawiecki urodził się w 1941 r., gdy szalała II wojna światowa. Sam – począwszy od 27. roku życia – nie wahał się ryzykować bezpieczeństwo we własnej, osobistej wojnie z komunizmem.

TWIERDZA WROCŁAW

To określenie będące kpiarską trawestacją tytułu metropolii nad Odrą z końcówki wojny dobrze oddawało dumę wrocławian ze skali oporu w latach rządów ekipy Jaruzelskiego. Wrocław w odróżnieniu od Poznania, Gdańska i Szczecina nie miał w epoce PRL długo swojego wydarzenia tworzącego mit walki z komunizmem. W 1956 r. było tu tylko parę demonstracji, a w Grudniu '70 protesty skupiły się w miastach Wybrzeża. Tak naprawdę pierwszymi demonstracjami we Wrocławiu były zajścia w marcu 1968 r. Kornel Morawiecki był wtedy uczestnikiem strajków studenckich na Politechnice

Kornel Walczący



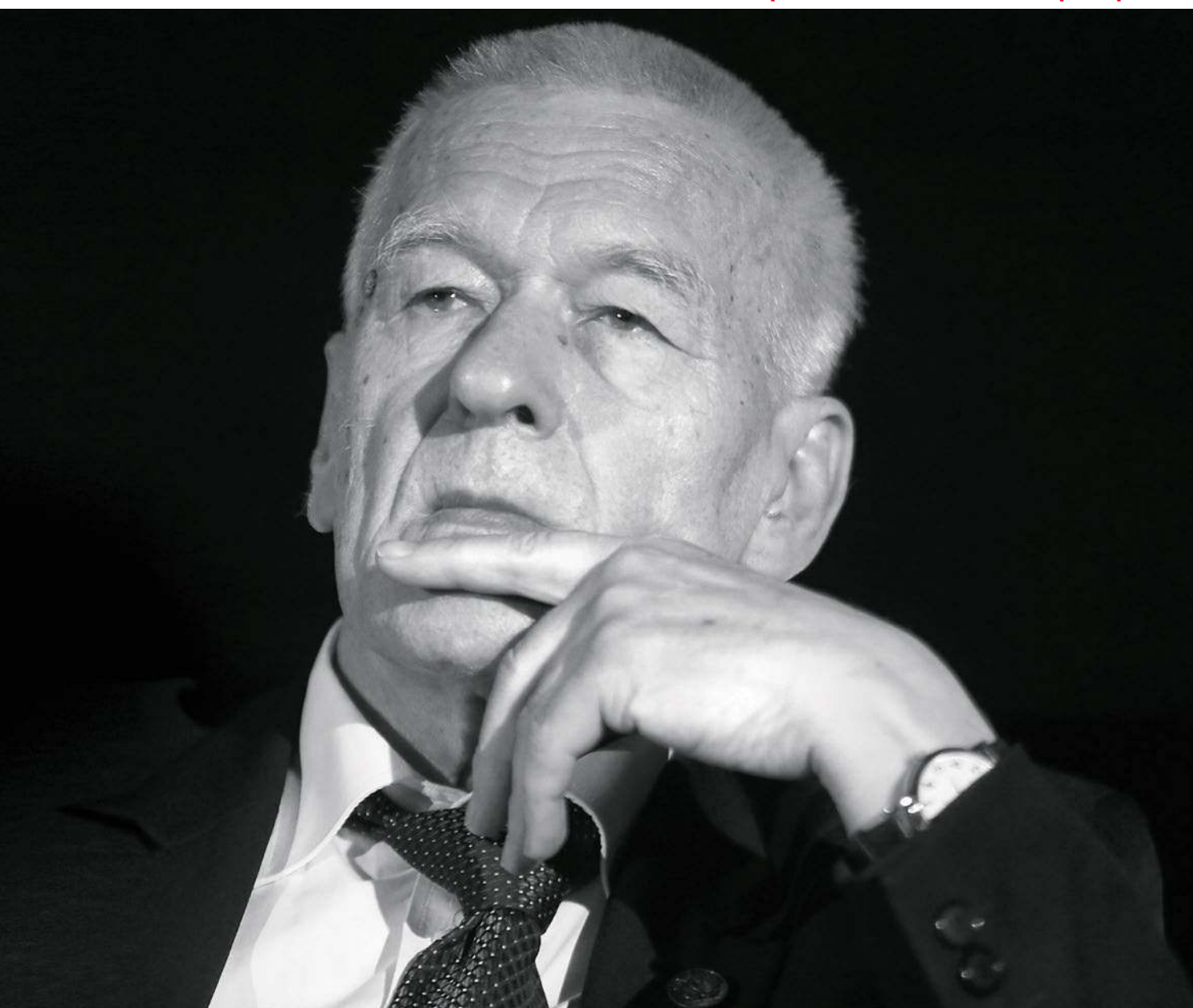
Piotr Semka

Odszedł niezłomny rycerz walki z komunizmem

FOT. LESZEK SZYMAŃSKI/PAP

Wrocławskiej. Błysnął odwagą dwa miesiące później, gdy wraz z grupą kolegów włączył się do pochodu pierwszomajowego i rozrzucał ulotki w obronie aresztowanych kolegów. Za kolejne trzy miesiące zorganizował akcję plakatową protestującą przeciwko udziałowi Ludowego Wojska Polskiego w agresji wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację. Po latach zostanie za ten akt odwagi odznaczony w Pradze przez czeskiego premiera Mirka Topolankę jedną z najbardziej zaszczytnych nagród – Odznaką Pamięci Narodu. Ten rys wrażliwości na „wolność naszą i waszą” będzie odbijał się w jego kolejnych etapach opozycyjnej aktywności. Od końca lat 70. zaczyna wydawać podziemny „Biuletyn Dolnośląski”. Z własnoręcznie

wykonanym transparentem „Wiara i Niepodległość” w czasie pierwszej wizyty Jana Pawła II w Polsce w czerwcu 1979 r. witał papieża Polaka w Warszawie, Częstochowie i Krakowie. Stąd była już prosta droga do Sierpnia '80, gdy Morawiecki przekazał swoje drukarnie „Biuletynu Dolnośląskiego” na potrzeby strajkujących kierowców MPK we Wrocławiu. Jak już wspominałem, zawsze wychodził poza aktualne granice działalności. Nie zadowolono go tylko organizowanie struktur Solidarności we Wrocławiu, ale szybko przekroczył kolejną granicę. Wraz z rosyjskim opozycjonistą Mikołajem Iwanowem wcielili w życie pomysł, który przerażała część działaczy dolnośląskiej Solidarności. Postanowił wydrukować odezwy do żołnierzy Armii



Czerwonej stacjonujących w dolnośląskich garnizonach. Zatrzymany przez SB w trakcie rozlepiania takich ulotek na murach sowieckich garnizonów został po raz pierwszy zatrzymany. We wrześniu 1981 r. jako delegat na I Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ „Solidarność” był jednym z inicjatorów posłania do ludzi pracy z Europy Wschodniej. Ten radykalizm nie podobał się władzom dolnośląskiej Solidarności, które powoli przesuwwały go na margines. Antykomunistyczny realizm Morawieckiego kazał mu wieszczyć stosunkowo szybką rozprawę władzy komunistycznej ze Związkiem. Z tego powodu w ostatnich tygodniach przed 13 grudnia skupił się już wyłącznie na tworzeniu tajnych, nieznanych dotąd SB nowych drukarni. Na jego

ostrzeżenia, że władza idzie na zderzenie czołowe, bardzo często w Solidarności wzruszano ramionami. Aby opędzić się od „fatalisty”, część komisji Solidarności oddawało mu bardziej stare i zdezelowane powielacze. Ten wysiłek, aby szykować się na najgorsze, paradoksalnie uratuje mu wolność w nocy z 12 na 13 grudnia. Gdy milicja włamała się do jego mieszkania, chcąc go internować – on akurat przewoził wyzebrany z Solidarności powielacz na przygotowane awaryjne miejsce druku. Dzięki tej zapobiegliwości pierwszy numer podziemnego pisma epoki stanu wojennego we Wrocławiu pt. „Z dnia na dzień” mógł ukazać się już 14 grudnia na mieście. Tak szybki debiut podziemia niezwykle wzmocnił wówczas we Wrocławiu ducha

oporu. Morawiecki wraz z innym liderem dolnośląskiej Solidarności Władysławem Frasyniukiem zajmuje się kolportażem prasy podziemnej i tworzeniem systemu kryjówek dla tych działaczy Solidarności, którzy uniknęli aresztowania. W ciągu kolejnych paru miesięcy narasta jego konflikt z Frasyniukiem. Frasyniuk niechętnie podchodzi do propozycji demonstracji, w których solidarnościowcy odpowiadali by na przemoc przemocą. Jeden z działaczy podziemia Michał Gabryel, który obserwował ten spór, wspominał po latach: „Myśmy do Władka podchodzili z sympatią, szacunkiem, wiedzieliśmy, że musimy go chronić. Był wielkim wodzem i idolem Dolnego Śląska i chciał zarządzać dalej. Ale różniliśmy się w ocenie sytuacji. Myśmy byli za

ostrych demonstracjach. Tak zaczął się konflikt, który w czerwcu 1982 r. pchnął Morawieckiego do stworzenia własnej organizacji Solidarności Walczącej (SW).

OSOBNÓ I OSTRZEJ

W ciągu pół roku Solidarność Walcząca powstała i stała się równoważną siłą wobec regionalnej Komisji Wykonawczej Solidarności, na czele której stał Frasyński. Spór o sposoby działania nakładał się na różne cele. Solidarność Walcząca chciała bezkompromisowej walki z systemem bez ciągłego czekania na to, czy władze zgodzą się na nowo przystąpić do rozmów. Bardzo ważną rolę w atrakcyjności Solidarności Walczącej odegrały osobiste talenty Morawieckiego do stworzenia niezwykle sprawnej struktury konspiracyjnej. Zasady były bardzo ostre. Brano wzory z AK i sięgano po metody, które wśród działaczy podziemnej Solidarności budziły obawy. Tak było z wykonanymi w zakładach Pilmet setkami metalowych kolców, które w czasie demonstracji miały dziurawić koła milicyjnych wozów. Tak też było z wytworzeniem skanerów do podsłuchiwania częstotliwości radiowych używanych przez SB i MO. Ta ostatnia umiejętność była wynikiem pewnego fenomenu, który wyróżniał Solidarność Walcząca. Nieproporcjonalnie wielu było w jej szeregach przedstawicieli inteligencji technicznej. Było to echo zauważalnego jeszcze w epoce 1980–1981 niezwykle ożywczego dla Solidarności robotniczej napływu do jej władz inżynierów. Byli to ludzie, którzy bardzo często wybierali kierunki techniczne jako ucieczkę od zawodów humanistycznych, w których deklaracje marksistowskie były wymagane nieporównanie częściej.

W epoce karnawału Solidarności robotnicy nazywali takich działaczy brodacami w swetrach. To właśnie tacy ludzie stanowili trzon Solidarności Walczącej. Osobną grupą, która była niezwykle dużym atutem SW, była młodzież, której niezwykle odpowiadał bojowy styl organizacji Morawieckiego. Rwali się oni do zbrojnych akcji na wzór książek o Szarych Szeregach, ale Morawiecki potrafił wykorzystać ich odwagę bez dawania zgody na branie broni do ręki.

Dzisiaj z perspektywy czasu zbyt często wyśmiewa się obawy dolnośląskiej RKW z Frasyńskim na czele przed kierunkiem, w którym może pójść Solidarność Walcząca. Liderzy podziemnej Solidar-

ności wiedzieli, że ogromny szacunek dla związku na świecie wynikał z tego, że wyrzekał się on działań terrorystycznych. Nic dziwnego, że zastanawiano się po stronie Frasyńskiego, czy SW nie pójdzie w kierunku walki zbrojnej. Morawiecki zdołał zapobiec takim pomysłom, choć jednocześnie powtarzał, że władze nie będą liczyć się z oporem, jeśli z góry wykluczy się działania radykalne. Nic dziwnego, że taki weteran walki z władzą stał się szybko legendą na Dolnym Śląsku. Od połowy 1987 r., kiedy władze zaczęły powołać myśl o jakiejś ugodzie z częścią opozycji, wrocławska SB otrzymała nakaz złapania Morawieckiego i po prawie pięciu latach jego ukrywania się bezpieka dopina swego. 9 września 1987 r. zostaje aresztowany przez SB. W kwietniu 1988 r. Morawiecki ulega szantażowi, którego podstawą były podrobione wyniki badań innego znanego działacza SW Andrzeja Kołodzieja.

Kornel Morawiecki to dobry przykład tego, jak w polityce – pod warunkiem zachowania konsekwencji ideowej – można doczekać się triumfu własnych idei

Sfałszowana diagnoza lekarska mówiła, że Kołodziej ma zaawansowany nowotwór, a władze godziły się jedynie na wyjazd za granicę dwójki antykomunistów. W końcu Morawiecki został zmuszony do opuszczenia kraju. Gdy po trzech dniach wrócił samolotem z Wiednia do Warszawy, znów został cofnięty za granicę. Gdy w sierpniu 1988 r. wybuchły w Polsce strajki, znów przybył do kraju, z fałszywymi dokumentami, i się ukrywał.

CHUDE CZASY

Lata 1988–1989 były dla Morawieckiego i reszty Solidarności Walczącej zimnym prysznicem. W kampanii do wyborów kontraktowych większość zwolenników Solidarności poparła udział w wyborach. Ostrzeżenia SW, że Okrągły Stół może uchronić PZPR od katastrofy, były w większości ignorowane jako zbyt nieczarne widztwo. Demonstracje SW odbywały się w różnych miejscach Polski równolegle do kampanii wyborczej, ale były mimo wszystko ignorowane. W czerwcu 1990 r. Morawiecki

wychodzi z cienia, gdyż dalsze ukrywanie się zaczynało być groteskowe. Staje na czele Partii Wolności, która w kolejnych latach będzie próbowała startować w rozmaitych wyborach. Bez efektu. Co nie znaczy, że ludzie Solidarności Walczącej nie byli wówczas aktywni. Doktor Jerzy Przystawa tworzy ruch na rzecz jednomandatowych okręgów wyborczych. Jego przyjaciel Mirosław Dakowski jako pierwszy obok Michała Falzmanna bił na alarm w sprawie afery FOZZ. Wiesława Kwiatkowska w Gdyni walczyła o skazanie gen. Jaruzelskiego za zbrodnie Grudnia '70. Działacze SW na czele z Morawieckim wspierali potem postulaty dekomunizacji i lustracji. Sam Morawiecki przybliżył się do Ruchu dla Rzeczypospolitej.

Na długie dwie dekady Morawiecki zszedł do poziomu szacownego pomnika historycznego, który jest z dala od realnej polityki. Trzeba było powstania ruchu Kukiza oraz wejścia do polityki syna Mateusza, aby Morawiecki senior znów skupił na sobie uwagę polityków i opinii publicznej. Funkcja marszałka seniora spowodowała jego ponowną popularność. Lojalność wobec syna skłoniła Morawieckiego do odejścia z partii Kukiza i założenia koła poselskiego partii o nazwie Wolność i Solidarność.

NIEUSUWALNY

Kornel Morawiecki to dobry przykład, jak w polityce – pod warunkiem zachowania konsekwencji ideowej – można doczekać się triumfu własnych idei. Morawiecki doskonale pasował do epoki PiS, bo łączył w sobie pryncypializm antykomunistyczny z lat 80. i 90. z post-solidarnościową wrażliwością na objęcie dobrodziejstwami przemian jak najszerzej grupy Polaków. Trzeba było prawie trzech dekad od epoki Okrągłego Stołu, aby stało się widoczne, że niekiedy ślepe przywiązanie podziemnej Solidarności do dialogowania z ekipą Jaruzelskiego przyniosło komunistom spore korzyści. I wreszcie rzecz, która od wieków zawsze pobudza ludzką wyobraźnię. Chodzi o sukces polityczny jego syna Mateusza. Sukces, którego przyczyna przypomina przyczyny skuteczności Solidarności Walczącej w stanie wojennym, czyli syntezę ideowości z pragmatyzmem i efektywnością. Po Lechu Kaczyńskim, Annie Walentynowicz i Janie Olszewskim obóz PiS zyskał kolejnego ideowego patrona.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

KONDOLENCJE

Z głębokim żalem przyjęliśmy wiadomość, że odszedł



Kornel Morawiecki

*Marszałek Senior Sejmu RP,
wzór niezłomnego opozycjonisty,
założyciel Solidarności Walczącej,
wybitny polityk, zasłużony nauczyciel akademicki,
człowiek wielkiego formatu
i niekwestionowany autorytet moralny.*

*Pogrążonej w żałobie Rodzinie
składamy szczere wyrazy współczucia*

Grupa Cedrob

KONDOLENCJE

Panu Premierowi

Mateuszowi Morawieckiemu

wyrazy współczucia z powodu śmierci



OJCA

*wybitnego Patrioty
i Przywódcy Solidarności Walczącej*

składają

**Rada Nadzorcza, Zarząd
i Pracownicy Poczty Polskiej**

KONDOLENCJE

Panu

Mateuszowi Morawieckiemu

*Prezesowi Rady Ministrów
wyrazy głębokiego współczucia z powodu śmierci*



Taty

składają

**Zarządy, Rady Nadzorcze i Pracownicy
spółek z Grupy PGE**

KONDOLENCJE

*Składamy wyrazy głębokiego żalu i współczucia
Panu Premierowi*

Mateuszowi Morawieckiemu

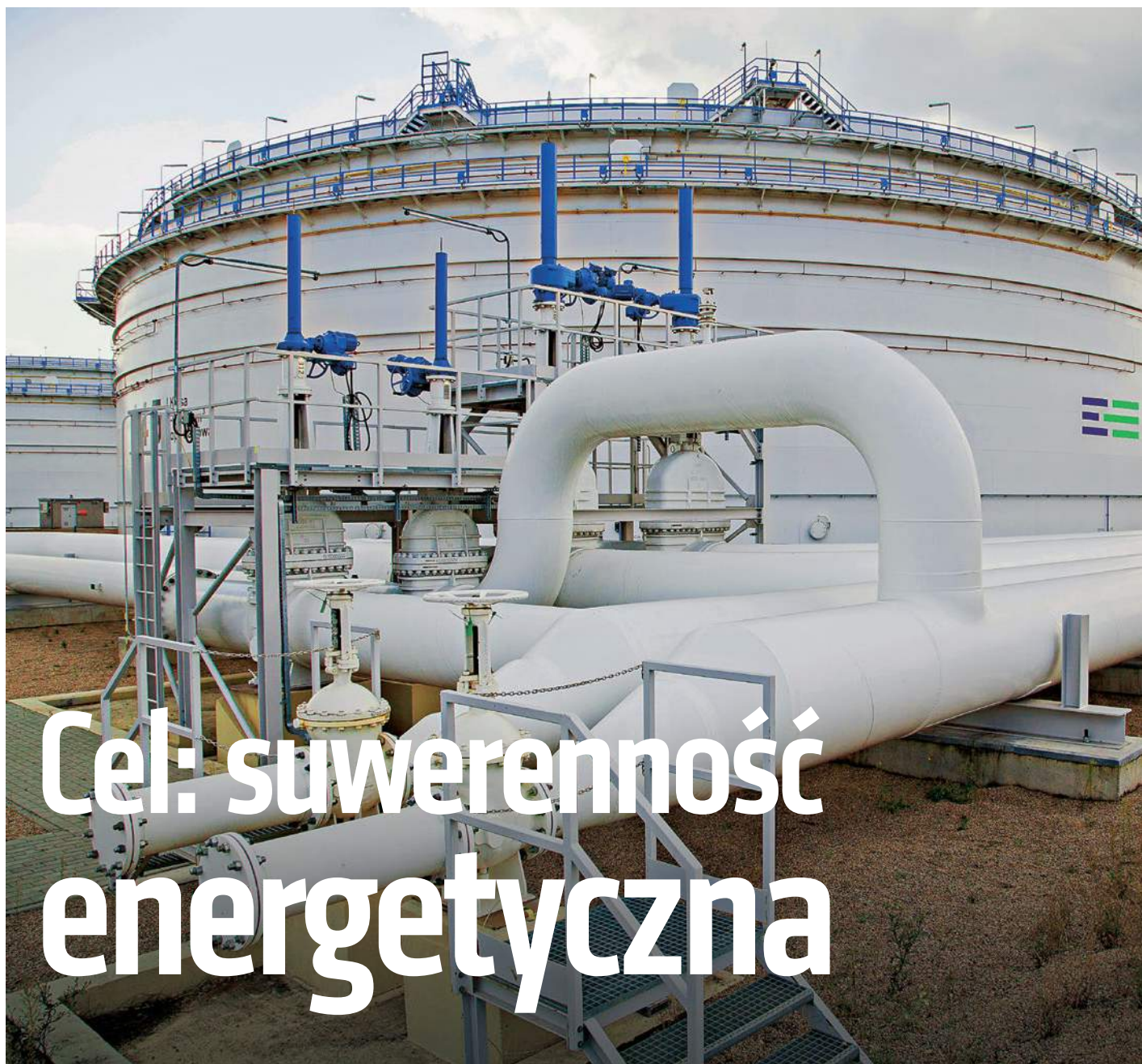
*po stracie
Ojca*



Kornela Morawieckiego

Legendy Solidarności Walczącej

**Dyrektor Centrum Projektów Europejskich
Leszek Buller
wraz z pracownikami**



Cel: suwerenność energetyczna

Jeszcze 60 lat temu płocki PERN był całkowicie uzależniony od radzieckiej ropy. Dzisiaj jest bliski pełnej niezależności energetycznej

Ta historia zaczyna się w 1959 r. utworzeniem w Płocku „Przedsiębiorstwa Eksploatacji Rurociągu Naftowego – w budowie”. Polska miała dostęp tylko do jednego źródła surowca, a rurociąg był jednym ze skuteczniejszych narzędzi sprawowania kontroli nad państwami z dawnego bloku wschodniego. Układanie pierwszej nitki polskiego odcinka rurociągu Przyjaźń ruszyło w 1960 r., a trzy lata później, po połączeniu z siecią o tej samej nazwie w ówczesnym ZSRR, rozpoczęło się tło-

czenie ropy naftowej do Polski. W 1964 r. zmieniono nazwę na: Przedsiębiorstwo Eksploatacji Rurociągu Naftowego „Przyjaźń”. Kolejne odcinki magistrali naftowych powstawały w latach 70. XX w. Był to np. odcinek wschodni relacji Adamowo–Płock czy Rurociąg Pomorski na trasie Płock–Gdańsk, dziś tłoczący surowiec w obu kierunkach. Po rozbudowie sieci magistrali nazwę przedsiębiorstwa po raz kolejny zmieniono w 1983 r., tym razem na: Przedsiębiorstwo Eksploatacji Rurociągów Naftowych „Przyjaźń”. W no-

wej rzeczywistości polityczno-rynkowej przedsiębiorstwo przekształcono w spółkę akcyjną Skarbu Państwa, a w 2016 r. skrócono jej nazwę do PERN SA. Zmieniło się też logo – zniknął rysunek rurociągu, a pojawiły się litery tworzące nazwę firmy. Dzisiaj PERN jest krajowym liderem logistyki naftowej i paliwowej, operując zarówno infrastrukturą przesyłową, jak i pojemnościami magazynowymi. Spółka odpowiada m.in. za tłoczenie ropy naftowej rurociągami, w tym do rafinerii krajowych: PKN Orlen w Płocku i Grupy Lotos w Gdańsku, a także do dwóch rafinerii w Niemczech. Rurociągi PERN transportują również surowiec dostar-



Infrastruktura PERN

niezależność energetyczną i niższe koszty zakupu surowców. Dla odbiorców końcowych oznacza to, że tankując paliwo na stacjach czy ogrzewając się gazem, więcej pieniędzy zostaje w ich portfelach.

– Dążymy do sytuacji, kiedy dostawy surowców mogą następować z różnych kierunków, a jedynym czynnikiem decyzji zakupowej staną się jakość, cena i – co równie ważne – pewność dostawy – twierdzi Piotr Naimski, pełnomocnik rządu ds. strategicznej infrastruktury energetycznej.

Obecnie do systemu logistycznego PERN trafia surowiec z wielu zakątków świata. Jak duże znaczenie ma skuteczna dywersyfikacja, przekonał się, kiedy do naszego kraju poprzez rurociąg Przyjaźń trafiła ropa zanieczyszczona chlorkami organicznymi, co skutkowało wstrzymaniem dostaw tą drogą na 46 dni. Przerwa ta potwierdziła, że już dziś nasz kraj jest odporny na zakłócenia. A inwestycje prowadzone obecnie w naszym kraju pozwolą postawić kropkę na „i” i uzyskać maksymalny z możliwych poziomów dywersyfikacji.

NOWE MAGAZYNY, PARKI ZBIORNIKOWE I RUROCIĄG

O jakich inwestycjach mowa? PERN rozbudowuje swoje parki zbiornikowe ropy naftowej: łącznie siedem nowych zbiorników na ropę u wybrzeży Morza Bałtyckiego – w Terminalu Naftowym oraz w Bazie w Gdańsku. W sumie pojemność magazynowa na surowiec zwiększy się o prawie 600 tys. m sześć. do poziomu 4,1 mln m sześć., co umożliwi dalszą dywersyfikację dostaw realizowanych drogą morską. Nowe magazyny zostaną oddane do użytku już w 2020 r., dzięki czemu Polska uzyska jeszcze większą niezależność energetyczną w obszarze surowcowym. Dopełnieniem tych działań będzie włączenie do eksploatacji drugiej nitki Rurociągu Pomorskiego.

PERN zakończył już prace nad studium wykonalności i uruchomił postępowanie przetargowe, którego przedmiotem jest wykonanie kompletnej dokumentacji projektowo-kosztorysowej wraz z uzyskaniem wszelkich pozwoleń wymaganych do rozpoczęcia inwestycji.

MILIARDY W BUDŻECIE

Dzięki skutecznym działaniom podjętym przez pełnomocnika rządu do spraw strategicznej infrastruktury energetycznej, ministra Piotra Naimskiego, od kilku miesięcy obowiązuje ustawa o przygotowaniu i realizacji strategicznych inwestycji



Piotr Naimski, pełnomocnik rządu ds. strategicznej infrastruktury energetycznej



Igor Wasilewski, prezes PERN

w sektorze naftowym. Przyspieszy ona znacznie realizację drugiej nitki Rurociągu Pomorskiego. Nowe przepisy wprowadzają m.in. uproszczenia w uzyskiwaniu pozwoleń administracyjnych oraz praw do gruntów. Dzięki temu prace budowlane powinny rozpocząć się już w 2021 r. Oddanie inwestycji do użytku umożliwi jednocześnie zaopatrywanie rafinerii w Płocku i Gdańsku, skuteczniejszą dywersyfikację poprzez zwiększenie możliwości separacji różnych gatunków ropy naftowej sprowadzanej przez klientów PERN oraz zwiększy bezpieczeństwo tłoczeń na wypadek awarii.

– Realizujemy program „Megainwestycji”, zarówno w obszarze ropy, jak i paliw, aby nasi klienci mogli bezpiecznie dostarczać paliwo do stacji benzynowych. Mam tu na myśli zarówno nowe zbiorniki, jak i nowe rurociągi – podkreśla Igor Wasilewski, prezes PERN.

W segmencie paliw zakończył się pierwszy etap rozbudowy zbiorników. Do dyspozycji klientów PERN trafiły cztery nowe zbiorniki o łącznej pojemności 128 tys. m sześć. W drugim etapie powstanie kolejnych dziewięć zbiorników o pojemności 222 tys. m sześć. Ten etap jest już bardzo zaawansowany. Wdrożenie obu etapów rozbudowy oznacza wzrost pojemności paliwowej PERN o blisko 20 proc.

Na sprawniejsze funkcjonowanie PERN wpłynęły też zmiany na rynku paliwowym, które zaszły od połowy 2016 r. Chodzi o regulacje, które w radykalny sposób ukróciły proceder nielegalnego obrotu paliwami, dzięki czemu w budżecie pozostają miliardy złotych.

czany drogą morską poprzez gdański Naftoport.

PRAWO DO WYBORU

Czasy, gdy spółka działała pod dyktando ZSRR, odeszły w niepamięć i dziś Polska staje się w pełni niezależnym energetycznie krajem, w którym dostawy surowców mogą następować z różnych kierunków, a jedynymi czynnikami decyzji zakupowej stają się warunki cenowe, jakościowe i oczywiście fakt, czy mamy 100-procentową pewność dostarczenia zamawianego surowca.

Pozwala na to realizacja rządowej strategii dywersyfikacji, która daje Polsce



Z Markiem Zagórskim,
ministrem cyfryzacji
rozmawia Łukasz Zboralski

Cyfryzacja wyprze biurokrację



FOT. MAREK WISNIEWSKI/POLSKA AGENCJA WYKONAWCZA

ŁUKASZ ZBORALSKI: Ucieszyłem się z zapowiedzi, że niebawem nie będę musiał chodzić na pocztę z awizem i odbierać listów z urzędu. Przeczytałem je w komputerze.

MAREK ZAGÓRSKI: Też mnie cieszy, że rząd zaakceptował ten projekt. To będzie duża zmiana. Z perspektywy obywatela sprowadzi się do tego, o czym pan mówi. To jednak coś głębszego, czyli projekt e-Doręczenia. Chodzi o doprowadzenie do sytuacji, w której podstawowym środkiem komunikacji urzędu z obywatelem będzie komunikacja w wersji elektronicznej. A więc wszystkie pisma czy dokumenty z urzędów będą wychodziły w wersji elektronicznej i będą trafiały do narodowego operatora cyfrowego, którym będzie Poczta Polska. Dopiero ona będzie odpowiedzialna za dostarczenie przesyłek. Zarówno tej elektronicznej, jak i drukowanej na papierze – w sytuacji, gdy obywatel nie będzie chciał mieć adresu elektronicznego i korespondencję będzie chciał dostawać tak jak teraz. To będzie rewolucyjna zmiana. Chociaż trzeba dodać, że i dziś już większość korespondencji z urzędami obywatele mogą prowadzić elektronicznie...

Tak! I zachęcam do tego. Na gov.pl – portalu Rzeczypospolitej Polskiej – uruchomiliśmy już usługę Mój GOV, czyli nasze konto, które pozwala z jednego miejsca kontaktować się z administracją. A trzeba wiedzieć, że elektronicznie możemy już załatwiać bardzo dużo spraw i niekoniecznie są to tylko usługi o najwyższym poziomie integracji. Oczywiście na razie nie unikniemy jeszcze papierowej korespondencji z sądu, ale jeśli chodzi o inne sprawy, to można je załatwić łatwiej elektronicznie.

A dlaczego dopiero od 2021 r. nastąpi ta całkowita zmiana z e-Doręczeniem? Musi nam zająć tyle lat, żeby urzędy zaczęły wysyłać pliki elektronicznie?

To dość skomplikowana zmiana, która wymaga też zmiany myślenia. Proszę pamiętać, że musimy przyjąć ustawę. Zmieniamy nią kilkadziesiąt innych ważnych ustaw, w tym kodeksy. Najważniejsze jest jednak wprowadzenie zasady: digital first. Innymi słowy – prymat dokumentów elektronicznych nad standardowymi. Wszyscy na tym zyskują.

Zmiana prawa jednak już za nami. Dlaczego jeszcze musimy czekać dwa lata?

Nie do końca za nami, bo czeka nas jeszcze cały proces parlamentarny – już w nowej kadencji. Bez zmiany prawa i jego ostatecznego kształtu nie możemy też rozpocząć kilku innych procesów. Nie możemy np. rozpocząć budowy rozwiązań elektronicznych. A muszą się tu przygotować i Poczta Polska, i my, tworząc bazę adresów elektronicznych dla tych, którzy będą chcieli korzystać z tego rozwiązania. Proszę bowiem pamiętać – korzystanie z elektronicznej formy doręczeń będzie dobrowolne. Jeszcze inną barierą jest danie możliwości urzędów, by mogły korespondencję przysyłać elektronicznie – trzeba udostępnić im system zarządzania dokumentacją, nad którym w tej chwili pracujemy i który będzie gotowy za jakiś czas. Dla samorządów np. w roku 2023. Proces jest rozłożony na lata. To wynika też z możliwości samej Poczty. Nie chcemy zmuszać jej do rozbudowy infrastruktury, która na dalszym etapie może okazać się zbędna. Gdybyśmy dziś powiedzieli, że wszystkie urzędy mają wszystko wysyłać elektronicznie, po stronie odbiorców mamy kilka milionów ludzi, którzy mają profil zaufany – to 10–15 proc. obywateli. To z kolei oznacza, że Poczta musiałaby większość re-

alizować usługą hybrydową, czyli całą korespondencję drukować, pakować w listy i dostarczać. Musiałaby zbudować do tego gigantyczną infrastrukturę. Myślę jednak, że w praktyce elektroniczne przysyłanie dokumentów w rzeczywistości będziemy mieć szybciej, niż zakładamy. Wskazują na to wszystkie tendencje, z którymi mamy do czynienia na rynku.

Gov.pl to strona, na której udało się już skupić w jednolitym designie wszystkie strony ministerstw. Jest też wspomniana skrzynka dla użytkownika, ale na razie widzę, że można jedynie załatwić kilka rzeczy, np. dopisać się do spisu wyborców. A kiedy będę mógł wysłać wniosek o wydanie nowego dowodu rejestracyjnego pojazdu?

Elektronicznie może pan załatwić większość spraw. Proszę pamiętać, że nawet jeśli nie ma pan specjalnej usługi, np. w przypadku wniosku o dowód osobisty, to zawsze może pan skorzystać z pisma ogólnego. Jeśli ma pan profil zaufany, wówczas może pan też podpisać elektronicznie każdy dokument dzięki „podpiszywarce”.

A pozwolenie na budowę?

Dokumenty można wysłać pismem ogólnym. Warto to wszystkim uświadomić. Jeśli korzystamy z gov.pl i profilu zaufanego, to każde pismo, które wysyłamy do urzędu, powinno być rozpatrzone tak, jakby je dostał pocztą. Nic nie stoi na przeszkodzie, by wspomniany wniosek o pozwolenie na budowę wysłać drogą elektroniczną wraz z elektronicznymi załącznikami. Owszem, pracujemy nad tym, by dla każdego działania był oddzielny, skrócony formularz na koncie gov.pl i żeby wniosek sam zaciągał potrzebne dane z systemów. Po co? Ano po to, by nie musiał pan w kilku miejscach wpisywać swojego nazwiska, daty urodzenia, numeru PESEL itd. Coś, co jest równie ważne, to także obsługa tzw. procesów życiowych. A więc dziś już mogę zgłosić narodziny dziecka, ale nic nie stoi na przeszkodzie, by system zapytał mnie, czy chcę skorzystać z „500+”, „300+”, przypomniał, że zbliża się termin zapisów do żłobka, szkoły... To jest nasz cel.

Mamy też usługę mObywatel. Można potwierdzać swoją tożsamość, ale nie zastępuje to dowodu osobistego. Czy będziemy dążyć do tego, żeby w smartfonie mieć pełnoprawny dowód?

Aplikacja w zupełności wystarczy w większości codziennych sytuacji życiowych. Owszem, legitymując się nią, nie zawrzemy związku małżeńskiego ani nie kupimy mieszkania, ale przesyłkę na po-

czcie odbierzemy. A tam właśnie najczęściej wyciągamy dowód. I powiem tak: celem strategicznym jest kompleksowa zmiana przepisów, które powstawały w czasach, gdy cyfryzacja nie była czymś powszechnym. Prawda jest taka, że otaczają nas procesy cyfryzacyjne, a my wciąż mamy analogowe prawo. I tu czeka nas zmiana.

Wystarczy w prawnej definicji wpisać, że „dowód osobisty” to także ten w aplikacji elektronicznej, i załatwione.

Zgoda, tyle że najpierw musieliśmy pokazać wszystkim, iż ta aplikacja działa i że jest bezpieczna. Dzisiaj mObywatel ma już ponad 350 tys. użytkowników, ale potrzebnych jest jeszcze więcej. I wierzę, że to grono będzie szybko rosnąć. Proszę pamiętać, że dzięki aplikacji możemy nie tylko potwierdzać tożsamość. Mamy tam też dane z dowodu rejestracyjnego auta, e-recepty, legitymacje szkolne, niebawem studenckie...

I niebawem będzie też tam prawo jazdy?

Będzie. I znów najpierw potrzebna jest zmiana przepisów. Barierą nie jest technologia, bo dziś prawo zobowiązuje kierowcę do posiadania przy sobie prawa jazdy. Inaczej płaci mandat. Mamy więc dwie metody. Pierwsza – wpisujemy, że można mieć zwykłe prawo jazdy albo aplikację. Druga – za którą ja optuję – znosimy w ogóle obowiązek posiadania przy sobie prawa jazdy, ale w aplikacji jest to prawo jazdy odzwierciedlone, by np. przyspieszyć kontrolę.

Czyli technicznie jesteście gotowi w Polsce do wielu rzeczy więcej niż prawnie?

To usiłuję powiedzieć. Odzwierciedlenie prawa jazdy w aplikacji nie jest problemem. Tym bardziej że służby i tak mają do tych danych dostęp. Zmierzamy do tego, by zdejmować z obywateli obciążenia biurokratyczne, które niczemu nie służą, takie jak np. konieczność posiadania karty pojazdu. Trzeba ją mieć, a kosztuje 80 zł. Widzimy ją dwa razy – gdy ją odbieramy, a następnie gdy sprzedajemy samochód. A wszystkie te dane są w rejestrach!

A jak rozwija się e-Recepta. Jaki procent szpitali i przychodni już z niej korzysta?

Około 20 tys. lekarzy wystawia już e-recepty. Kilkanaście dni temu było ich ok. 8 mln. Teraz pewnie dobijamy do 9 mln.

Tak samo jak z e-zwolnieniami jest tu kilka rzeczy naraz. Z jednej strony jest to ułatwienie i dla lekarza, i dla pacjenta, bo

nie musi z gorączką biec do zakładu ze zwolnieniem. Automatycznie trafia ono do ZUS. ZUS też zyskuje. Choćby dlatego, że można łatwo je zweryfikować, a więc to łatwy mechanizm kontroli.

E-recepta też jest udogodnieniem i dla lekarza, i farmaceuty, i pacjenta. To też oszczędność czasu. W przychodni, w której jako pierwszej wystawiano e-recepty, obliczono, że oszczędność czasu w przypadku jednego lekarza to ok. 30 minut dziennie. Czyli jedna wizyta, dwie. Łatwo też skontrolować, kto recepty wydaje, jaki jest obieg leków. Dla pacjentów pełna cyfryzacja też jest ułatwieniem. Pomijam kwestie „lekaarskiego” pisma, ale chcemy tam tak rozwijać aplikacje, by pacjent nie musiał już np. dzwonić po aptekach, bo zobaczy w aplikacji, gdzie dany lek może kupić.

Udaje się też wam np. sprawnie podłączać szerokopasmowy Internet w szkołach czy oferować gminom budowę publicznych hotspotów. Nie wszystko się jednak udaje. Do dziś nie działa system CEPIK 2.0, a to wstrzymuje też wiele zmian dla młodych kierowców w Polsce. Kiedy się doczekamy, że ten system będzie sprawny?

Ależ on działa wyjątkowo sprawnie! Dzięki temu jeździ pan bez dowodu rejestracyjnego.

To dlaczego nie ukończono go całkowicie tak, jak zaplanowano?

Ma pan na myśli Centralną Ewidencję Kierowców? No cóż. Wcześniej przyjęto zbyt optymistyczne założenia, że taki system uda się zbudować w tak krótkim czasie. I nie chodzi o samą budowę systemu. Nie uwzględniono wielu procesów z tym związanych. Stąd problemy. Nie jest tajemnicą, że wdrożenie Centralnej Ewidencji Pojazdów nie odbyło się modelowo. System CEPIK 1.0 był bazą danych, które zasilano raz dziennie z baz lokalnych starostw. Za te lokalne bazy odpowiadały starostwa, ale obsługiwał je system informatyczny, za który odpowiedzialna jest Państwa Wytwórnia Papierów Wartościowych. Wszystko jest rozproszone. Po wdrożeniu zmian zajęło nam kilka miesięcy, by sytuację doprowadzić do dzisiejszego stanu. Ten sam problem mamy z Centralną Ewidencją Kierowców. Otóż informuję – nie będziemy tego robić po łébkach. Najpierw musimy sobie wyjaśnić wszystkie zależności. Najważniejszym zadaniem jest przełożenie rozproszonej bazy danych na jedną centralną. Nie będzie wdrożenia bez pewności, że się powiedzie!



Grażyna Wolszczak wygrała w sądzie sprawę o smog. Sama jeździ dużym SUV-em z silnikiem Diesla

FOT. MAREK KUDELSKI/SE/EAST NEWS

Klimatyczny lans



Agnieszka Niewińska

Wśród celebrytów zapanowała moda na apele, deklaracje i odezwy na ekologiczne tematy. Tylko czy ekologiczną rewolucję zaczynają od siebie?

40

Półtoraminutowa przerwa podczas koncertu na Stadionie Narodowym, w którym uczestniczyło 50 tys. osób, lotem błyskawicy obiegła Internet. Dawid Podsiadło, jeden z najpopularniejszych muzyków młodego pokolenia, zwrócił się do swoich fanów z ekologicznym apelem: – Zmiany klimatyczne – bardzo niebezpieczne – są bezpośrednim wynikiem naszych działań, naszego przemysłu, nadprodukcji i tak naprawdę jest to ostatni moment,

żeby to spowolnić i być może jakoś zatrzymać – powiedział ze sceny, apelując do zgromadzonych, by szukali informacji i nie ignorowali tematu. – Nasza aktywność może mieć ogromne przełożenie na to, co wydarzy się w przyszłości – podsumował przy aplauzie fanów.

Wcześniej na swoim instagramowym profilu Podsiadło poparł młodzieżowy strajk klimatyczny. Nie jest pierwszym celebrytą, który wychodzi do swoich fanów z ekologicznym przekazem.

AMBASADORKA W SUV-IE

W ubiegłym tygodniu sąd rejonowy w Warszawie zasądził 35 tys. odszkodowania od Skarbu Państwa dla aktora Jerzego Stuhra, dziennikarza Mariusza Szczygła i tłumacza Tomasza Sadlika. Pozwali państwo, bo uznali, że naruszone jest ich prawo do korzystania z niezanieczyszczonego powietrza. Stuhr skarżył się, że jesienią i zimą cierpi na spowodowane smogiem ataki kaszlu. Doszło nawet do sytuacji, kiedy przez taki atak musiał zejść ze sceny. Szczygł zwracał z kolei uwagę, że ze względu na smog nie może wietrzyć mieszkania.

Panowie, składając pozew, poszli tropem aktorki Grażyny Wolszczak. Wygrała w sądzie w styczniu po pozwie podnoszącym, że smog ogranicza jej wolność, nie pozwala na aktywność na powietrzu, otwieranie okien i zmusza do śledzenia smogowych raportów. – Jestem wzruszona, wstrząśnięta, czuję się jak w niebie – powiedziała TVN po korzystnym dla niej werdykcie. Nie mniej wstrząśnięci byli ci, którzy przeczytali doniesienia tabloidów o tym, że walcząca ze smogiem Wolszczak jeździ SUV-em z silnikiem Diesla marki Volvo (której ambasadorem została w kwietniu ubiegłego roku). Dziennikarzom tłumaczyła jednak, że problemem są „gruchoty” z wyciętymi filtrami, a nie jej volvo z filtrem cząstek stałych.

Także po wyroku w sprawie Stuhra i Szczygła internauci dopytywali, czy panowie nie jeżdżą SUV-ami. Nie bez powodu. Zdjęcia Stuhra w SUV-ie marki Lexus już kilka lat temu obiegły plotkarskie portale. Tymczasem z danych opublikowanych przez JATO Dynamics wynika, że w 2018 r. wzrosła średnia emisja CO₂ w Unii Europejskiej, a winna jest temu moda na SUV-y, które emitują więcej CO₂ niż auta kompaktowe.

Inną gwiazdą, która bardzo często wypowiada się na temat ochrony środowiska,

promuje kosmetyki nietestowane na zwierzętach (zwłaszcza własnej marki), broni dzików przed odstrzałem i drzew przed wycinką, a jednocześnie gustuje w dużych samochodach, jest dziennikarka Kinga Rusin. Jeździła już m.in. trzylitrowym jaguarem, bmw X5 czy land roverem, który ma imponujący węglowy ślad. Brytyjski „The Guardian” wyliczył, że sama produkcja Land Rovera Discovery to 35 ton CO₂, podczas gdy w przypadku dostępnego dla zwykłego Kowalskiego modelu citroena C1 (w podstawowej wersji) to 6 ton. Do węglowego rachunku Rusin internauci doliczają nie tylko eksploatację jej imponujących samochodów, lecz także podróże w najdalsze zakątki świata, którymi chwali się w mediach społecznościowych.

PAZNOKCIE Z AKRYLU

Małgorzata Rozenek-Majdan w ubiegłym tygodniu poparła Globalny Strajk dla Klimatu. W sprawie ochrony klimatu przyspiliła ją jednak fanka. „Chwali się Pani najnowszymi telefonami, ciuchami i gadżetami. Nawet paznokcie ma pani akrylowe, czyli sztuczne. Gdzie tu jest sens popierania ochrony Ziemi i jej klimatu, gdy wszystkie te najnowsze cacka, które Pani na siebie ubiera i się nimi otacza, są produkowane w niezgodzie z ochroną środowiska?” – pytała.

– Kolejne deklaracje i apele dotyczące ochrony klimatu w środowisku artystów i celebrytów zrobiły się po prostu modne. Osoby, które są okłaskiwane za swoją aktywność artystyczną, uznały że ich obowiązkiem jest wypowiadanie się również na tematy społeczne czy polityczne – zwraca uwagę Joanna Gepfert, specjalistka w dziedzinie wizerunku.

– Niestety wiele z tych osób deklarujących chęć ochrony klimatu nie rozumie, że trzeba zacząć od siebie zanim zaapelu-

je się do innych. Dlatego te ekologiczne apele to dość często komunikaty w stylu „wy zróbcie”, „wy zrezygnujcie”, „wy powinniście się wstydzić”. Opinia publiczna jest na to wyczulona. Zwraca uwagę czy komunikat gwiazdy jest zgodny z jej sposobem życia, czy tylko poucza innych, co mają robić. Jeśli celebryta w swoim codziennym życiu troszczy się o środowisko, zyskuje uznanie nawet u tych osób, które zwykle się z nim nie zgadzają. W przeciwnym wypadku może spodziewać się krytyki. Tylko że celebryci się nią nie przejmują, zbyt łatwo nazywając ją hejtem – zwraca uwagę Gepfert.

Znanym zdarzały się już spektakularne ekologiczne wpadki. Martyna Wojciechowska wzięła udział w kampanii producenta wody Żywiec. Zachęcała do oddawania plastikowych butelek do recyklingu, ale jednocześnie przekonywała, że plastik... wcale nie jest taki zły.

Podobne przykłady można znaleźć też wśród zachodnich gwiazd, które deklarują wsparcie dla zrównoważonego rozwoju i ochrony środowiska. George Clooney jest twarzą Nespresso, czołowego producenta kawy w jednorazowych kapsułkach. Organizacje ekologiczne ogłosiły nawet bojkot kapsułkowej kawy, zwracając uwagę, że kapsułki z aluminium lądują na śmietniskach i są zupełnie niepotrzebnie produkowanym śmieciem. Clooney tymczasem reklamuje kapsułki i jednocześnie czyni zarzuty tym, którzy są sceptykami w sprawach zmian klimatycznych.

Katarzyna Salus z fundacji Kupuj Odpowiedzialnie jest zdania, że osoby publiczne mogą odegrać ważną rolę w przekonywaniu społeczeństwa do tego by zadbało o środowisko. – Tak zwani celebryci mają ogromne zasięgi w mediach społecznościowych. Mogą z pro-

ekologicznymi komunikatami dotrzeć do rzeszy swoich fanów, dlatego też nie obrażałabym się na nich, nawet jeśli to, do czego zachęcają, nie jest do końca kompatybilne z tym, jak żyją. Nawet pracownikom organizacji ekologicznych może zdarzyć się wyjście ze sklepu z foliową torbą, bo akurat zapomnieli zabrać własnej ze sobą. Z mojego doświadczenia wynika jednak, że większość osób publicznych, które dzielą się wiedzą na temat ekologii, w życiu codziennym też stara się żyć ekologicznie. Dobrym przykładem jest aktorka Zofia Zborowska, która w sieci zamieszcza wiele komunikatów dotyczących ochrony klimatu, ale pokazuje również, że sama stara się żyć ekologicznie – opowiada Salus.

A gdyby zamiast zachęcać do wzięcia udziału w protestach klimatycznych, celebryci pokazywali w sieci, że zrezygnowali z wody butelkowanej na rzecz kranówki, albo chwalili się tym, że ograniczyli kupowanie nowych ubrań czy butów na rzecz oddawania ich do naprawy krawcowym czy szewcom? – To byłby dobry kierunek, choć trzeba podkreślić, że wyrobienie pozytywnych nawyków to zadanie na lata. Nie da się szybko odzwyczaić ludzi od butelkowanej wody czy kupowania tanich ubrań w sieciówkach. Jednak kropla drąży skałę, dlatego też już samo wsparcie proekologicznych postulatów przez gwiazdy jest cenne – odpowiada ekspertka Kupuj Odpowiedzialnie.

Dawid Podsiadło już zapowiedział akustyczną trasę koncertową „Leśna muzyka”. W jej trakcie planuje zachęcać fanów do działań mających na celu szerzenie świadomości ekologicznej. Muzyczenie jest oceniany jako jeden taki talent na milion. Czy będzie też ekologiczną inspiracją dla swoich fanów?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



Instytut Pamięci Narodowej
zaprasza na dyskusję
wokół opracowanej
przez Pawła
Kosińskiego publikacji

10 października (czwartek)
godz. 17:30

Przystanek Historia Centrum Edukacyjne IPN
ul. Marszałkowska 21/25, Warszawa



Udział wezmą:

dr PAWEŁ KOSIŃSKI

– redaktor naukowy, Biuro Badań Historycznych IPN

prof. dr hab. WŁODZIMIERZ

SULEJA – dyrektor Biura Badań Historycznych IPN

prof. dr hab. MAREK KORNAT

– Instytut Historii PAN

dr MARCIN PRZEGIĘTKA

– Biuro Badań Historycznych IPN

RYSZARD TURCZYN

– tłumacz

prowadzenie: **dr JĘDRZEJ LIPSKI**

Organizatorzy:



Patronat medialny:



Rok 1978. Spotkanie ministra kultury i sztuki Zygmunta Najdowskiego z artystami. Dygnitarz czaruje gości barwną wizją drugiej Polski, następnie z nimi rozmawia. Witając się z aktorem, słyszy: „Ależ panie ministrze, od opowiadania bajek dla dorosłych to ja tu jestem”.

Artysta w owym czasie był narratorem miniatur emitowanych na antenie TVP w niedzielne wieczory, zatytułowanych „Bajki dla dorosłych” właśnie. Na status gwiazdy zapracował w kabaretach. Zapomnianym dziś telewizyjnym „Wielokropku”, gdzie tworzył kontrastowy – niczym Pat i Patachon – duet z Janem Kociniakiem. Program nadawany bezpośrednio na antenie inaugurował okrzyk prowadzących: „Telewidzu, obudź się! Zaczynamy!”. Kiedyś emisja wypadła po przemówieniu Władysława Gomułki, co ponoć przesądziło o końcu „Wielokropka”.

Potem został filarem Dudka. Wiesław Michnikowski wspominał: „Szukaliśmy czwartego mężczyzny, oprócz Edwarda Dziewońskiego, Wiesława Gołasa i mnie. Podsunąłem kandydaturę Kobuszewskiego i szybko się okazało, że miałem rację. Tak zostałem kabaretowym ojcem chrzestnym Janka”. Którego popisowe kreacje w skeczach „Ucz się, Jasiu” oraz „Skarga” bawią kolejne generacje. Podobnie jak „Ballada o Dzikim Zachodzie”, śpiewana w tandemie z Gołasem, czy parodia Filipinek (razem z Dziewońskim, Gołasem i Bogumiłem Kobiłą). Kolejny etap rozrywkowego wtajemniczenia „Kobusza” – jak go określano – wiąże się z udziałem w Kabarecie Olgi Lipińskiej. Porzucił go w stanie wojennym, wspierając artystyczny bojkot „umundurowanej telewizji”.

„Nie zaczynałem od komedii – wspominał. – Dotarłem do niej dopiero po – mniej więcej – 10 latach na scenie. Moim wzorem był Tadeusz Fijewski. Do łez śmieszny w komedii i do łez jest tragiczny w dramacie. Nie lubię płaskiej komedii, wygłupu dla wygłupu, prymitywnego żartu, po którym ryk publiki niesie się szeroko. Dlatego z zażenowaniem oglądałem scenę kabaretową III RP”.

NA AKTORSKIM SZLAKU

„Wysoki na twarzy, pociągłego wzrostu” – tak zdefiniował go Aleksander Zelwerowicz. Rektor warszawskiej PWST, którą Kobuszewski ukończył: „Moi profesorowie: Romanówna, Małynicz, Kreczmarowicz, Wyrzykowski, Wierciń-

Dusza Kobusza



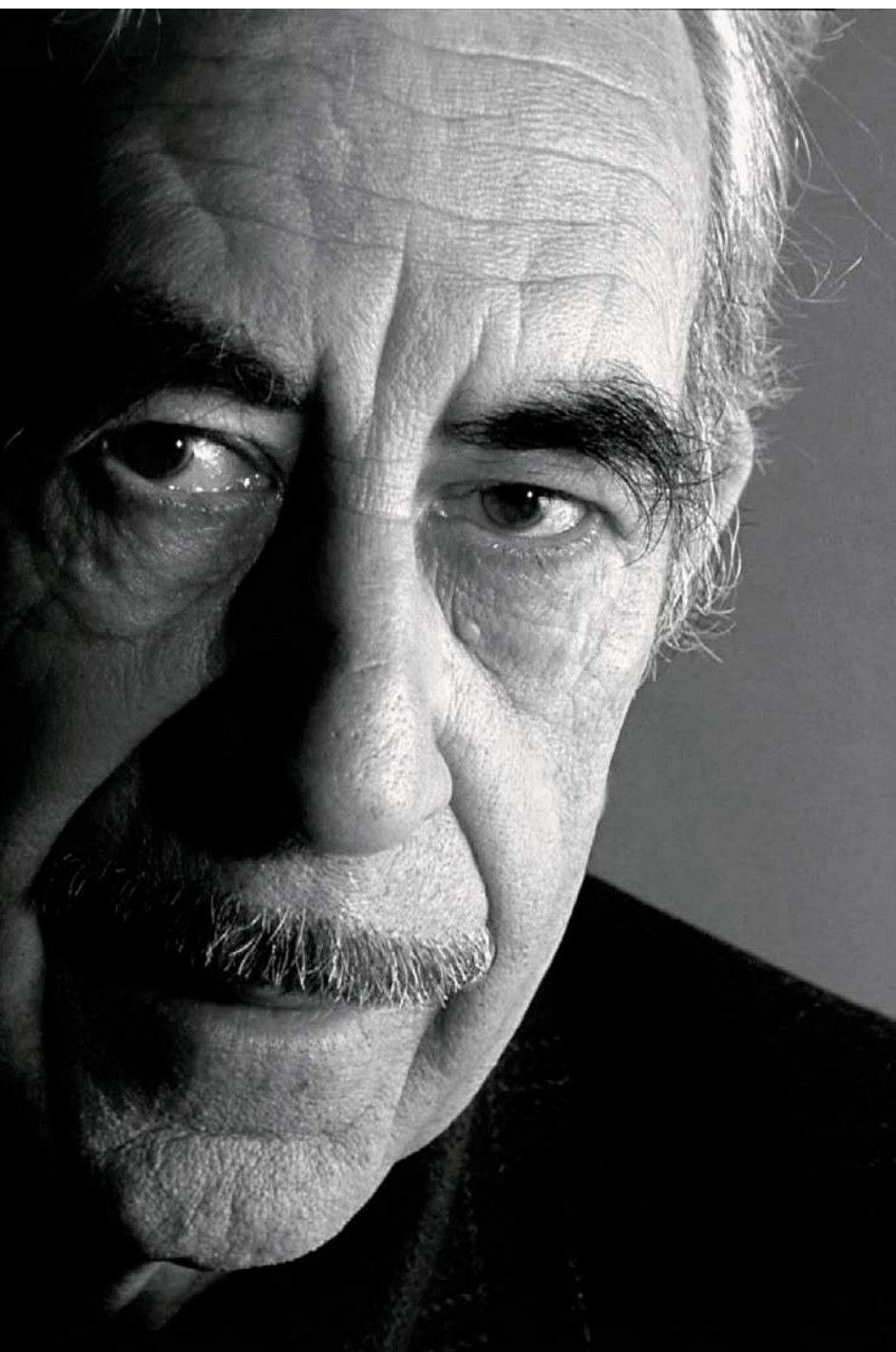
Zbigniew Tomasz Zapert

**28 września odszedł Jan Kobuszewski.
Aktor wybitny i kochany**

scy, Woszczerowicz, nauczali nie tylko zawodu, lecz także etyki, moralności, estetyki i koleżeństwa. Na pierwszym roku byli ze mną m.in.: Anka Ciepielewska, Wanda Majerówna, Zbyszek Zapasiewicz, Janek Matyjaszkiewicz [...]. Zapamiętałem niemal powszechną euforię w szkole po śmierci Stalina. I czołową hunwejbinkę w czerwonym krawacie, wylewającą strumienie łez, a zarazem pilnującą, by w uczelni panowała żałoba. Ze zdumie-

niem i nieufnością obserwuję jej polityczną aktywność w wolnej Polsce”.

Przystaniami na aktorskim szlaku były dlań teatry: Rozmaitości, Polski, Narodowy oraz Kwadrat. Tam miałem honor go odpytywać dla „Kulis”, z okazji jubileuszowego występu w „Czarującym fajdaku”. Notowałem: „Lubię telewizję, kocham teatr i nie przepadam za filmem. Jako widz jestem kinomanem, natomiast granie do kamery mnie nudzi. Ujęcie trwa sekundy,



wać», czyli zmusić do przerywania kwestii z powodu niekontrolowanego śmiechu – opowiada Andrzej Fedorowicz, grający we »Wstrętnym egoiście« pastora usprawiedliwiającego swe spóźnienie. – Kiedyś, wykorzystując zmianę czasu, rzekłem: »Musiałem przestawić dzwonnice na czas letni«. Publiczność tak parsknęła śmiechem, że teatr się zatrząsł. A »Kobusz«? Skurczył się nieco jedynie, pofalował na twarzy, ale jakoś przetrzymał».

Przykry epizod sceniczny przytrafił mu się podczas inscenizacji Mickiewiczowskich »Dziadów«: »Grałem doktora Bécu, a księdza Piotra – Józek Duriasz. I ta sławetna scena, kiedy doktor policzkuje kapłana. Ćwiczyliśmy ją wiele razy. Zasłaniał się ręką i biłem właśnie w nią, ale na premierze wystawił palec, który mu... złamałem».

Jakże na tle zachowań współczesnych celebrytów wyróżnia się credo aktora: »Nigdy się nie zgodziłem, by w jakiegokolwiek sztuce mówić coś przeciwko Bogu czy choćby tylko przeciw tej instytucji, jaką jest Kościół. Zostałem tak wychowany, tak ukształtowany, że nie wyobrażam sobie życia bez mojej religii, bez mojej wiary».

HUMOR W GENACH

Zdaniem siostry artysty, Hanny Zborowskiej (matki Wiktora Zborowskiego), brat odziedziczył humor w genach. Całe życie związał z Warszawą. Urodził się na Bródnie, dzieciństwo w okupowanej i powstańczej stolicy spędził w kamienicach przy ulicach Śliskiej i ks. Skorupki. »Należę jeszcze do pokolenia przedwojennego. Jak przez mgłę, ale przypominam sobie te czasy, w których pewnie też nie uniknięto błędów. Pamiętam jednak – tak mi wpojono w domu – że to nie był »ten kraj«, tylko »nasz kraj« – akcentował.

W małżeństwie z koleżanką po fachu Hanną Zembruską przeżył ponad sześć dekad. Osiedli na Żoliborzu. Doczekali się córki i wnuków. W rubryce »Hobby« wpisywał wędkarstwo. Uskuteczniał je pod Ostródą, miał tam domek letniskowy. Podobno samo zdjęcie okazu złowionego przez niego ważyło 5 kg...

Zmarł w wieku 85 lat. Polska scena posmutniała. W niebie będzie wesele.

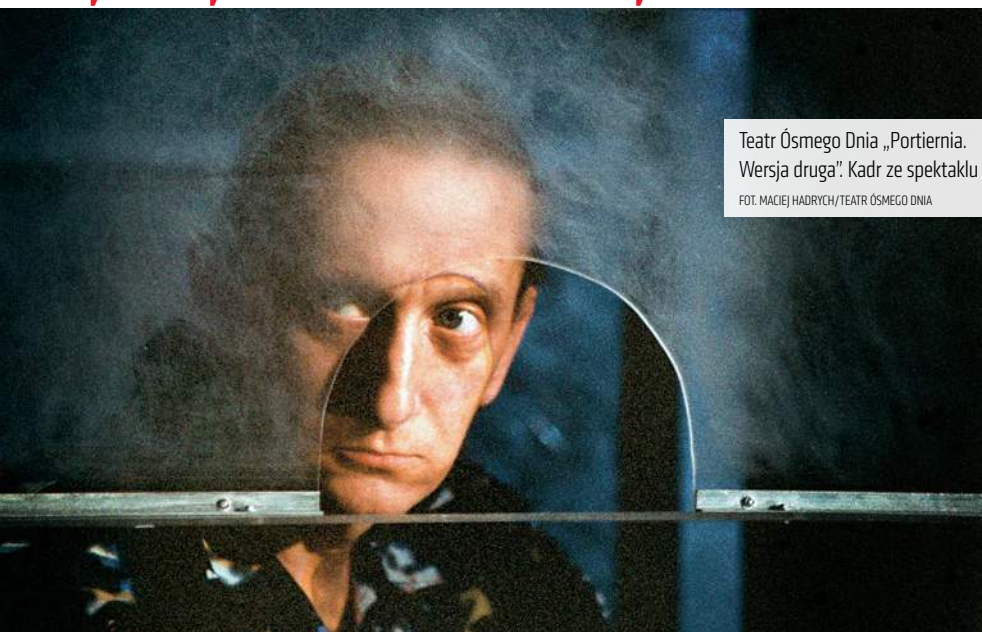
© © Wszelkie prawa zastrzeżone

a przygotowania ciągną się godzinami». Może dlatego kinematografia nie wykorzystała potencjału tego – jak pisał Krzysztof Mętrak – »rodzimego Fernandela«. Oferowano mu epizody. Hydraulik w »Poszukiwanym, poszukiwanej«, listonosz w »Nie ma róży bez ognia«, szofer wywrotki ze śniegiem hołdujący hasłu: »Siły natury w służbie człowieka« w »Brunecie wieczorową porą«, włamywacz w »Zmiennikach«. W »Czterdziestolatku« fenomenalnie wcielił

się w lekkoatletyczny talent zniszczony przez alkohol. W musicalu »Hallo, Szpichrówka« z wdziękiem odtwarzał policyjnego konfidenta. Rolę główną na ekranie powierzono mu zaledwie raz – w serialu »Barbara i Jan«. Pierwszym w dziejach rodzimej telewizji.

Za to w teatrze zagrał przeszło 300 ról! »Samo pojawienie się Janka na scenie skłaniało widzów do uśmiechu. Ale jego samego trudno było »ugoto-

Korzystałem z książki »Jan Kobuszewski: Patrząc w przyszłość (i przeszłość) z uśmiechem i radością. O sprawach ważkich i całkiem lekkich, czyli o życiu, rozmawia z aktorem o. Robert Łukaszuk«



Teatr Ósmego Dnia „Portiernia.
Wersja druga”. Kadr ze spektaklu
FOT. MACIEJ HADRYCH/TEATR ÓSMEGO DNIA

Sarkoidoza, czyli zwapnienie Europy



Tomasz A. Żak

Jesteśmy na progu kolejnego sezonu artystycznego. Tymczasem ludziom w Polsce jest coraz trudniej oddychać

Kulturowy zamtuż wyszedł ze zdobytych instytucji na ulice, wystawiając do walki o „nowy porządek świata” sześciokolorowy „proletariat”. Teraz swą antyestetyką trują oczy i uszy nie tylko tych uzależnionych, lecz także rzesze ludzi „Bogu ducha winnych”, w tym dzieci. Zapach cywilizacji śmierci to trupi odór. I tak cuchnie już prawie cała Europa i pół Ameryki...

Normalny zdrowy człowiek oddycha dwoma płucami. Kultura podobnie. Jednym jej płucem – tym ważniejszym – są tożsamość narodowa i tradycja, a drugim otaczający świat i jego różnorodność. Każdy totalitaryzm to – mówiąc po sowiecku – urawniówka. Dotyczy to

oczywiście nie tylko tego, jak się ubieramy czy co jemy, lecz także tego, co myślimy. Dzisiejsi kulturträgerzy dołożyli do tego standardu, definiującego osobnika bez właściwości, rezygnację z konkretnej płci. Największym zagrożeniem dla totalistów jest możliwość zobaczenia, co jest za budowanym przez nich murem pozorów i niewiedzy. Wygląda na to, że przesunięcie żelaznej kurtyny z Łaby na Bug zmieniło dla nas tylko obszar i wyposażenie klatki, a płuca dalej zarastają wapnem.

WOLNOŚĆ PRAWDZIWA

Od lat – wiem to już na pewno – istnieje tylko jedna prawdziwa wolność. To wolność wyboru. Wszelkie tęsknoty artystów tego świata za takową „artystyczną wolnością”, jako signum sztuki prawdziwej, powinny twórców maści, płci i rasy wszelakiej prowadzić do świątyni, a konkretnie do wiary katolickiej. I nie jest to żaden żart ani prowokacja intelektualna. To fakt, gdyż żadna kultura ani wyznanie nie dają takiej wolności, jaką daje chrześcijańska wolność sumienia, wolność wyboru dobra lub zła.

Próby znalezienia katolickiego porządku w ofercie dzisiejszych twórców kultury zdają się szukaniem igły w stogu siana. Po pierwsze, wynika to z ich ignorancji dogmatycznej, a nawet wręcz katechizmowej. Po drugie, jest efektem wieloletniego niedopuszczania ludzi wierzących i ich dzieł do kulturowego mainstreamu kreującego mody i tendencje w wymiarze makrospołecznym.

Tymczasem artysta w kościele i w Kościele to nic nowego. Tworzenie dzieł sztuki, aby Pana Boga wielbić estetycznie najpiękniej, to także odwieczny porządek świata. Podobnie zresztą jak edukacja i apostołat poprzez sztukę. Niemalże też jest błogosławionych i świętych, którzy i rozumieli sztukę, i używali dzieł artystycznych na drodze prowadzenia ludzi do zbawienia.

Dla mnie, człowieka związanego ze sceną, taką postacią jest św. ks. Jan Bosco, który uważał, że sztuka teatru potrafi tłumaczyć na prosty język pojęcia dogmatyczne, często nawet te abstrakcyjne. Z biegiem lat widzę coraz wyraźniej, jak jest to fundamentalnie oczywiste. To samo dotyczy muzyki, śpiewu, malarstwa, rzeźby, tańca, architektury.

WOLNOŚĆ DO NIENAWIŚCI

Jest taki włoski film sprzed dobrych 40 lat – „Odrażający, brudni, źli”. O ile to dzieło reżysera Ettore Scoli, opisujące subkulturę slumsów, łagodziła konwencja komediowa, o tyle subkultura postkomunistycznej i liberalnej łże-elity, żerującej na strukturach państwa, jest śmiertelnie poważna i dużo lepiej definiowałoby ją określenie: „źli, zakłamanymi, pełni nienawiści”.

To, że świat kultury wyższej został zawłaszczony przez rozrywkę rodem z dzielnic czerwonych latarni, widać już wyraźnie. Inwazja antyestetyki to jednak równocześnie deprecjonowanie wartości tradycyjnych, takich jak rodzina, ojczyzna czy wiara. Efektem tej antyedukacji nie jest już człowiek, kierujący się w swych wyborach życiowych głową czy sercem, ale hominid sterowany tym, co poniżej pasa. Charakterystyczne dla tej wojny kulturowej z człowieczeństwem jest jej antychrześcijańskość. Nic dziwnego, bo to właśnie chrześcijaństwo, będące ideowym fundamentem europejskości, jest jedynym gwarantem człowieczeństwa, a więc danej nam przez Boga wolności wyboru. A tego wszyscy przed- i komunistyczni rewolucjoniści, chcący mieć

monopol na rządzenie światem, nigdy nie zaakceptują. Oflagowując się hasłem: „Nie oddamy wam kultury”, dobrze wiedzą, że to właśnie kultura daje panowanie nad emocjami elektoratu, co przy urnach wyborczych jest kluczowe.

Jednym z najbardziej wyświechtanych epitetów, którym „żli, zakłamanii, pełni nienawiści” opluwają ludzi inaczej myślących, jest pejoratywne określenie „skrajna prawica”. Zwykle towarzyszą temu stygmatyzujące przymiotniki: „narodowa” i „katolicka”. Zabieg jest tak prosty, jak chamski. Od lat próbuje się tym sposobem wmówić ludziom, że wszelka opresyjność nas dotykająca wiąże się z wiarą i patriotyzmem. Ich „wolność” brzmi tak: „Boję się flagi biało-czerwonej” – mówi Lupa (taki reżyser); „Boję się katolików” – mówi Janda (taka aktorka); „Nie jestem Polakiem” – mówi Twardoch (taki pisarz).

Tymczasem ludzie w Polsce, którą oni zważają „krajem”, wciąż pamiętają, że obozy koncentracyjne i ludobójstwo to pomysł i praktyka rządzenia lewicy, a nie prawicy. I wiedzą, że obozy zagłady to patent angielski, rozwinięty przez Sowietów i do doskonałości doprowadzony przez Niemców, a Polacy jeżeli z tym mieli coś wspólnego, to tylko jako ofiary. I wciąż nie udało się zafałszować tego, że w Europie za wiarę w Boga lub za przynależność narodową masowo mordowali nie wyznawcy krzyża czy rojalści, ale rewolucyjni jakobini i bolszewicy oraz socjaliści narodowi III Rzeszy. W potocznej (ludowej) mowie dobrze się mają zwroty jednoznacznie wartościujące strony tego światopoglądowego sporu. I tak z jednej strony mamy ludzi „robiących coś na lewo”, czyli niezgodnie z uznaną normą; mamy też „lewusów”, „ludzi lewych”, czyli takich, którzy nic nie umieją. Z drugiej strony są ludzie prawi oraz prawdziwi i jest również prawo, czyli coś, co porządkuje i kodyfikuje funkcjonowanie państwa i społeczeństwa.

AWANGARDA

Dawno, bardzo dawno temu słowo „awangarda” kojarzono z artystami przełamującymi XIX-wieczne konwencje i – niejako przy okazji – konwenanse. To drugie niejednokrotnie wyprzedzało to pierwsze, a z czasem, gdy to „przełamywanie” jałowało, stało się nawet ważniejsze. Osobną kategorią twórców, począwszy od czasów rewolucji bolszewickiej, stała się łże-awangarda, której reprezentanci

dużo lepiej pasują do jakiegoś „ministerstwa propagandy” niż sztuki. W promocji zarówno awangardy, jak i łże-awangardy wykorzystuje się atawistyczny „konflikt pokoleń”, czyli tezę, że nowe musi walczyć ze starym. A prawdziwym zwycięcą jest tylko ten, kto unicestwi swego poprzednika. Może zacząć się niewinnie, już w przedszkolu, gdzie pani staje się ważniejsza od rodziców. W szkole średniej już się rodziców lekceważy, obdarzając ich epitetem „wapniaki”, co daje w rezultacie alibi każdemu odejściu od normy, każdemu zboczeniu...

W Polsce ostatnią uwiarygodnioną awangardą był teatr lat 70. i 80. ubiegłego wieku. Jego mitologię najlepiej definiuje określenie „alternatywny”. Powstające w tym nurcie przedstawienia określano jako polityczne, ale również – co tutaj istotne – jako kontrkulturowe. Chociaż warto pamiętać, że działania i spektakle wpisujących się w ten nurt zespołów, np. krakowskiego Teatru STU czy Teatru 77 z Łodzi, uważano ówczesnie za raczej proreżimowe. Natomiast alternatywność Grotowskiego definiowano w środowisku jako ucieczkę od jednoznacznej postawy ideowej, którą wśród „alternatywnych” był sprzeciw wobec PRL. Pasporty dla twórców i wyjazdy zagraniczne Teatru Laboratorium były komentowane raczej niedwuznacznie. Awangardą była postawa antysocjalistyczna.

WAPNO

Musieliśmy poczekać dobre dwie dekady, by dotarło do nas, że ten „alternatywny antysocjalizm” niekoniecznie oznaczał chęć tworzenia innej Polski. Najlepiej obrazuje to dysonans poznawczy kogoś mającego choćby średnio dobrą pamięć, kto obejrzał najnowsze przedstawienia Teatru Ōsmego Dnia. Czy ci wszyscy niedysyjni „żołnierze” wolnej kultury, permanentnie atakując w swych spektaklach rodzinę, nie widzą, że w naszym kraju prawie już nie ma miejsca dla rodziny z jej konserwatywnym i katolickim zapleczem, które stanowiło fundament dla wszystkich Pileckich, Popiełuszków czy dziewczyn takich jak Danusia Siedzikówna? Czy nie dostrzegają, że wszelkie tabu związane z obyczajowością już nie istnieją? Czy nie dociera do nich to, że najbardziej prześladowaną grupą społeczną na świecie są chrześcijanie?

Innymi słowy, teatr chcący mówić prawdę nie ma czego szukać na zgłisz-

czach polskich tradycyjnych domów. Od wydania „Ferdynand” Witolda Gombrowicza, który pod węglę domu polskiej rodziny podkładał ogień, minęło już ponad siedem bardzo, bardzo długich dekad, podczas których dom ten „przerobiono do spodu”. A więc jeżeli już grzebać w popiele, to po to, aby odnaleźć, co dobre i za czym wszyscy tęsknią – miłość, szacunek, zaufanie, bezpieczeństwo. Podobnie jest z desakralizowanymi świątyniami. Atakowanie dzisiaj wiary i wierzących w Jezusa Chrystusa to nic innego jak tylko dobijanie śmiertelnie rannych na polu bitwy. To obdzieranie jeszcze żywych z resztek ich jestestwa, dokładnie tak, jak to opisał Stefan Żeromski w „Rozdziobią nas kruki, wrony”.

Teatralna alternatywa artystyczna odcinała się od szablonu, szukała tego, co autentyczne, a nie powieliała programowo tezy politycznego i medialnego mainstreamu. Tymi tematami zajmował się z przymusem, a także z lizusostwem wobec każdej władzy, teatr instytucjonalny. Zresztą po to właśnie był komunistyczny „marsz na instytucje”. Doszli, zdobyli i... indoktrynują tak, jak chcą ich właściciele. Kultura uległa śmiertelnemu zwapnieniu w swym marksistowskim diabelskim grymasie. A klasycznymi „wapniakami” stali się niedysyjni pretendenci do władzy nad ludzkim duchem. W konsekwencji nie ma już prawie miejsc, w których widz mógłby odetchnąć, w których przez godzinę poczułby się „u siebie” i wolny.

ALTERNATYWA

Współczesnej awangardy w teatrze i w ogóle w sztuce trzeba szukać tam, gdzie übermensch zbudowali swoje obozy śmierci. Tam, gdzie teczki współpracowników komunistycznej policji politycznej są dowodami biznesowych karier, i tam, gdzie przebrani za księży zaprzaczący demolują Kościół. Trzeba słuchać głosów mówiących o imigrantach udających uchodźców. Poznać prawdę o ludobójstwie na Wołyniu, o utracie Kresów i o tym, jak Polacy ratowali Żydów. A także o tym, jak to Moskwę zamieniono na Brukselę oraz jak inaczej kochający stają się nową szlachtą...

Trzeba szukać wszędzie tam, gdzie ktoś chce coś przemilczeć, ukryć, schować pod dywan, zamknąć w szafie, przeinaczyć. Tam właśnie znajdziemy prawdziwą alternatywną sztukę. I o tym warto pamiętać na początku tego sezonu artystycznego.



FOT. MATERIAL PRASOWE

WIESŁAW
CZEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

I stała się
jasność

★★★★★
REŻ. ALFONSO
GOMEZ-REJON
„WOJNA O PRĄD”
(„THE CURRENT
WAR”)
USA 2017

wyst. Benedict
Cumberbatch,
Michael Shannon,
Nicholas Hoult

O sławiony Harvey Weinstein dręczył nie tylko aktorki, lecz także reżyserów. Tak zmasakrował „Wojnę o prąd”, że nawet Alfonso Gomez-Rejon, spec od horrorów, osłupiał ze zgrozy. Szczęśliwie dla niego wszechwładny producent wkrótce popadł w kłopoty, udało się film z jego łap wyrwać i ponownie przemontować.

Z takich przygód trudno wyjść bez szwanku, więc i reżyserska wersja jest dziełem ułomnym. Udaje, że odkrywa Amerykę, choć historia sporu o to, jak oświetlać ulice, jest dobrze znana. Napisano na ten temat kilka książek, powstał też film dokumentalny. Thomas Alva Edison optował za prądem stałym, milioner George Westinghouse za zmiennym. Siły były wyrównane, bo za plecami wynalazcy czał się bankier J.P. Morgan.

Gdyby Edison miał do dyspozycji Internet i „Małą EmiE”, zrobiłby z rywala miazgę. Pod koniec XIX w. mógł co najwyżej wykorzystać swoją popularność i dobre układy z prasą. Straszanie ludzi morderczymi właściwościami prądu zmiennego, połączone z opluskaniem Westinghouse’a, okazało się jednak daremne. Z prostego powodu – konkurencyjna metoda pozyskiwania i przesyłania energii była tańsza.

Nie od dzisiaj wiadomo, że gdy stawką jest „władza nad przyszłością”, moralne zasady idą w kąt, a tzw. wielcy ludzie prywatnie bywają bardzo mali. Odbrażanie narodowych bohaterów (a taki status król patentów osiągnął w USA już za życia) ma jednak swoje granice. Nawet w krajach demokratycznych. Amerykanie od biedy są gotowi przyznać, że ich idol nie za-

wsze grał fair play, lecz wizerunku Edisona – małego zola – nie zaakceptują nigdy.

Dlatego filmowcy ocieplają wizerunek biznesmena-wynalazcy jak potrafią. Poczynając od obsady: Cumberbatch zbudował swoją karierę na rolach genialnych ekscentryków, a Shannon, grający Westinghouse’a, zwykle wciela się w osobników, których raczej nie zaprosilibyśmy na kolację. Panowie staną oko w oko dopiero w finale, by uciąć sobie pogawędkę godną dżentelmenów. Ta scena trąci hipokryzją, podobnie jak spicze o świetlanej przyszłości czekającej ludzkosc.

Po kolejnym zapewnieniu, że adwersarzom nie chodzi o pieniądze, polubiłem czerwonoносego J.P. Morgana. On przynajmniej nie udawał altruisty. Na plakacie głównym antagonistą Edisona jest Tesla, w filmie będący postacią z drugiego planu. Serbski goguś poniósł klęskę w starciu z XIX-wiecznymi jobsami i zuckerbergami, którzy do mistrzostwa opanowali umiejętność przywłaszczania sobie cudzych pomysłów i w dodatku potrafili je zmonetyzować. Teraz padł ofiarą rozgrywki reżysera z producentem. Tomasz Kocie – czas przełamać tę pechową serię! ☹☹



KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „BOŻE CIAŁO”

Polski kandydat do Oscara i najbardziej dyskutowany film sezonu. W festiwalu w Gdyni wywodził Srebrne Lwy (drugi co do ważności laur), a także nagrody za reżyserię i scenariusz oraz nagrodę publiczności. Chłopak z poprawczaka chce zostać księdzem. Z wyrokiem nie może, co nie przeszkadza mu w poda-

niu się za księdza w pewnym małym miasteczku. Czy każdy powołany jest, by głosić słowo Boże? Czy można czynić dobro, nie stając w prawdzie? ☹☹

Piotr Gociek

• „Boże Ciało”, reż. Jan Komasa,
wyst. Bartosz Bielenia, Aleksandra
Konieczna, Eliza Rycembel, Polska 2019

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- „Wojna o prąd” („The Current War”), reż. Alfonso Gomez-Rejon, USA 2017
- „Ślicznotki” („Hustlers”), reż. Lorene Scafaria, USA 2019
- „Zabawa w pochowanego” („Ready or Not”), reż. Matt Bettinelli-Olpin, USA 2019

Duszę chcesz, duszę daj

Po obejrzeniu zwiastuna spodziewałem się patriotycznego megakiczu, czegoś na kształt „1920. Bitwa Warszawska” Hoffmana i „Miasta '44” Komasy. A tu proszę – niespodzianka! „Legiony” to kawał dobrego kina, scena szarzy pod Rokitną ma zaś wszelkie szanse trafić do naszego filmowego kanonu.

Batalistyka jest największym, ale nie jedynym atutem. Gajewskiemu i spółce udało się zachować równowagę między historią przez duże H i małe.

Słabiej wypadł wątek miłosny. Utało się przekonanie, że historyczne kolubryny niosą dalej, gdy ich lufy ozdobi się sercem przebitym strzałą. Już „Ogniem i mieczem” ciągnął w dół trójkąć Żebrowski – Scorupco – Domagarow,

w którym panowie grali na siebie, a pani Iza myślami była gdzieś indziej. Scenarzyści „Legionów” wymyślili chłopczyce z bombą i rewolwerem, lecz potem uznali, że z emancypacją nie ma co przesadzać, i odesłali Olę na tyły.

Wojnę o pamięć wygrała sanacja. Nikt już nie będzie wypominał strzelcom, że byli sojusznikami Niemców i przelewali krew za Austrię oraz cesarza Franciszka Józefa. Na ekranie widzimy polskie wojsko, które obala postawione przez zaborców słupy graniczne i „cesarzy ma w dupie”. Marszałek Piłsudski, który tutaj przypomina raczej starszego pana z Sulejówka niż komendanta z Oleandrów, byłby zadowolony. ©©

Wiesław Chelminiak



★★★★★

REŻ. DARIUSZ GAJEWSKI
„LEGIONY”
POLSKA 2019

wyst. Sebastian Fabijański, Mirosław Baka, Bartosz Gelner



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

KOWBOJE TO RÓWNE CHŁOPAKI

Ameryka, której zwykle w serialach z importu nie zobaczycie: miścina ze stanu Kolorado, w której od pokoleń gospodarzy rodzina Bennetów. Żyją z hodowli bydła i są z tego dumni. Słowa takie jak „wegański”, „ocieplenie klimatu”, „aborcja”, „Obama” czy „Clinton” doprowadzają ich do białej gorączki. A kiedy ktoś postawi stopę na ich ziemi, czują się w prawie odstrzelić mu łeb. Sitcom o „redneckach”, który nie wyśmiewa mieszkańców amerykańskiej prowincji, wręcz przeciwnie, pokazuje ich jako ludzi uczciwych, honorowych i dumnych. W roli nestora rodu Bennetów kapitalnie wypada Sam Elliott, któremu we wcześniejszych sezonach partnerowała Debra Winger. Główną rolę Colta Bennetta, czyli pechowego futbolisty, który uczy się na nowo życia na ranczu, powierzono Ashtonowi Kutcherowi. Ten ciepły serial z konserwatywnym przesłaniem nie ucieka też od współczesnych problemów: daleki krewny, który pojawił się w poprzedniej serii, to weteran z Iraku dotknięty zespołem stresu pourazowego. ©©



★★★★★

SERIA 7
„RANCZO”
 („THE RANCH”)
USA 2019

wyst. Ashton Kutcher, Sam Elliott, Kathy Baker

ZABIJĘ ICH WSZYSTKICH

Seria „John Wick” to propozycja dla tych, którzy lubią na kino patrzeć jak na zabawę cyrkową – najważniejsze są tu kolejne skomplikowane numery. Czytaj: precyzyjnie przygotowane i chwacko odegrane skomplikowane sceny walk, pościgów i mordobić. Cała reszta jest idiotyczna. Czyli nadbudowa w postaci opowieści o podziemnym świecie zawodowych morderców dysponujących własnymi eksterytorialnymi hotelami, władzami, sądami i wydziałami kontroli wewnętrznej. A jednak wszystko to składa się w barwną eskapistyczną rozrywkę, czystą zabawę. Kino to kraina cudów. Keanu Reeves swą charyzmą uwiarygodnił postać głównego bohatera (króla wśród kilerów do wynajęcia, charakteryzującego się przy tym pionem moralnym – jakkolwiek dziwne to zabrzmie). Na drugim planie dobrze bawią się Ian McShane, Anjelica Huston czy Laurence Fishburne. I wiadomo już, że będzie część czwarta – w maju roku 2021. ©©



★★★★★

REŻ. CHAD STAHLSKI
„JOHN WICK 3”
 („JOHN WICK: CHAPTER 3 – PARABELLUM”)
USA 2019

wyst. Keanu Reeves, Ian McShane, Halle Berry, Laurence Fishburne

recenzuje Piotr Gocięk

GRA TYGODNIA: „FIFA 20”

Na rynku pojawia się nowa odsłona „FIF-y”. Wraz z nią – kluczowe pytanie: Co można poprawić w serii, która co roku obiecuje rewolucję? Pod względem grafiki i mechaniki gry dwudziestka jest zaledwie niewielką ewolucją systemu fizyki zawodników i piłki znanego

z zeszłorocznej edycji. Co na plus? Kapitałny do zabawy ze znajomymi tryb piłki halowo-podwórkowej – „Volta”. Tutaj liczą się kiwki i efektownie strzelone gole, a nie taktyka. Jako ciekawostkę warto wspomnieć system wywiadów pomeczowych w roli trenera oraz



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

rozbudowanie systemu kariery zawodnika. ©© **Marcin Makowski**

- **Gatunek:** Sport/symulacja
- **Platforma:** PC/PS4/XONE/Switch
- **Producent, dystrybutor:** EA Sports/Electronic Arts
- **Klasyfikacja PEGI:** 4+

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Jechał to sęk

Pisano kiedyś książki, nie to co dzisiaj... Taki Tadeusz Konwicki, o którego kocie (!) Iwanie (z domu Iwaszkiewicz) wydaje się teraz dzieła, wyznawał żarliwie: „Późnym wieczorem przytulił do siebie Jankę. – Jasiu – szepnął – wychowuję cię i wszystko na nic. Masz, jechał cię sęk, drobnomieszczański charakter”.

To miłosne, zdawałoby się, opowiadanie miało zgoła nieromantyczny tytuł „Przy budowie”, a o potyczkach jego – i innych równie znakomitych dzieł – z cenzurą traktuje praca Anny Wiśniewskiej-Grabarczyk, dostrzeżone i nagrodzone magisterium, historyczne i literackie zarazem. Można popaść w osłupienie: A cóż miał bowiem do roboty cenzor przy tego rodzaju literaturze?

Otóż miał być zawsze czujny, czego dowodzą nawet perypetie wydawnicze książek dziecięcych. Na przykład powieść Ireny Jurgielewiczowej „O chłopcu, który szukał domu” na edycję czekać musiała siedem lat, w 1950 r. trafiła pechowo w świeże jeszcze tworzenie socjalistycznego państwa niemieckiego. Z książki Jurgielewiczowej wynikało, że tytułowy bohater w całym swoim kraju (niemieckim, niemieckim...) znalazł tylko jednego dobrego człowieka. Jeśli tak, to skąd się wzięła Niemiecka Republika Demokratyczna?

Takich problemów nie miała Janina Broniewska, której grafo-mańskich „Siostrzeńców ciotki Agaty” cenzura klepnęła. Bo też jak miała nie przyklepać kolejnego dzieła twórczyni „Człowieka, który się kulom nie kłaniał”, corocznie wydawanego w 100 tys. egzemplarzy? To ona decydowała, co wolno, a czego nie, i co jest dobre dla socjalizmu, a jeśli nie wiedziała, to się spytała swej



FOT. ARCHIWUM ANNY WIŚNIEWSKIEJ-GRABARCZYK

przyjaciółki Wandy Lwownej skądinąd Wasilewskiej.

Nawiasem mówiąc, z powstaniem NRD władze miały kłopot. Niestety, to wówczas zaczęły funkcjonować i u nas podmiarki „Niemców” na „faszystów”, a niebawem i na „nazistów”. W ten sposób „cywilizowano” np. „Pokolenie” Bohdana Czeszki.

A adresowaną do dzieci książkę Broniewskiej m.in. o „prawdziwej roli kliki Andersa na Bliskim Wschodzie” cenzurował niejaki Bronisław Krawczenko. Oto, co wysmażył po lekturze ten nieszczególnie chyba wykształcony pracownik Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk:

„Zawiera na przykładzie epizodów z życia kilku rodzin wychodźstwa polskiego w Zw. Radzieckim historię stosunku rządu i ludzi radzieckich do Polaków w okresie wojny ojczyźnianej i stosunku, ogólnie biorąc, dwóch [pisownia oryginalna] grup Polaków do Zw. Radzieckiego i zagadnienie walki o wolność patriotów i andersowskich zdrajców.

Opowieść prosta, przekonywująca [pisownia oryginalna] o ciepłym i serdecznym stosunku ludzi radzieckich do Polaków, jak i o tym, że Polak – uczciwy człowiek pracy – znalazł swe miejsce w wielkiej rodzinie narodów w pracy i walce z faszyzmem”.

No a jakżeby miał nie znaleźć? W socjalizmie znajdowali się wszyscy, ostatecznie w więzieniach. Bohater „Przy budowie” Konwickiego, inż. Czajkowski, wysyłany jest na budowy, by oddziaływać na morale robotników, tymczasem żonę wyraźnie podrywa mu kolega Łoziński, zapraszając ją np. do teatru na pasjonującą sztukę „Lubow Jarowaja” niejakiego Treniewa. Któż pomaga w tej niełatwej sytuacji naszemu inżynierowi? Oczywiście, że sekretarz partii, przywożąc mu żonę, niczym worek z cementem. I oto młodzi poszli „odtąjałą transzeją. Słońce grzało już nie najgorzej. Żółte strumyki wody ściekały ze ścian wąskiego wykopu. Pokazał żonie...”. Pytanie za pięć punktów: Co pokazał Paweł Czajkowski swojej małżonce? Wcale nie to, co Wy – stare świntuchy – myślicie, lecz „betonowanie na piątym obiekcie”.

Jednak socrealizm był nie do podrobienia. Antoni Bida, dyrektor GUKPPIW w latach 1949–1950, na naradzie naczelników wojewódzkich urzędów cenzorskich grzmiał: „Towarzysze, Koledzy. Nasze urzędy są instrumentem, są organem kontrolnym Państwa Ludowego nad słowem drukowanym i mówionym w kraju, w którym toczy się i będzie się toczyć zaostzona walka klasowa”.

Matko Boska, to ona jeszcze się toczy? ©©



★★★★★
ANNA
WIŚNIEWSKA-
GRABARCZYK
„CZYTELNIK»
OCENZUROWANY.
LITERATURA
W KRYPTOTEK-
STACH
– RECENZJACH
CENZORSKICH
OKRESU
STALINIZMU
(NA MATERIALE
GUKPPIW
Z 1950 R.)”
IPN 2018



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Życiopisanie imć Pablopavo

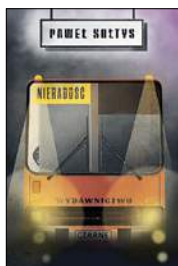
Kawałki wyśmienitej prozy zdecydowanie wyrastające ponad krajową przeciętną – pisał Andrzej Horubała w „Do Rzeczy” (nr 10/2018) o debiutanckiej książce Pawła Sołtysa, znanego także ze sceny muzycznej jako Pablopavo. Oprócz słów pochwały krytyków były i wyróżnienia: Nagroda Literacka Gdynia, Nagroda im. Marka Nowakowskiego, nominacja do Nike.

„Nieradość” to książka bardzo podobna do tak chwalonego debiutu. Co jest wiadomością dobrą, bo talentu Sołtys nie zatracił, ale i złą, bo nie rozwijając się, stoi w miejscu. Krótkie, czasem bardzo krótkie opowiadania, wywiedzione z oglądu tego, co zwykle, tego, co nas otacza, napisane kunsztownie (czy momentami aby nie nazbyt kunsztownie), czasem odrealniające rzeczywistość, lecz nie w duchu fantazji, ale prozy, którą pisał choćby Ota Pavel, zamieniający najdrobniejsze zwykłe zdarzenia w magię. Niektórzy recenzenci mówią o hrabalowskim klimacie, ale nie mają racji, Hrabal był od Sołtysa pisarzem o wiele bardziej okrutnym, za zasłoną jego niby-dobrotliwych gawęd czały się rzeczy ponure, choćby ludzka natura.

Na pewno jest Sołtys mistrzem zanęty, pierwszych zdań, które natychmiast sprawiają, że

czujemy się zaintrygowani i nurkujemy dalej: „Tak jak oni stali, to dziś już nikt nie umie stać”, „Widziałem kiedyś w Kutnie, mieście Szaloma Asza, kompletnie pijanego listonosza” albo „Są takie, wie pan, historie, które się opowiada z uśmiechem, jakby człowiek patrzył na kwitnącą jabłoń”. Lubię spacerować po jego uniwersum, w którym tragedia, komedia, ciepła satyra i surrealizm funkcjonują na równych prawach.

W jednym z najlepszych opowiadań („Ballada martwego poety w marynarce”) narrator słyszy od bohatera odjechaną opowieść o Bułacie Okudźawie żebrzącym na ulicach Warszawy, innym razem zgłębiamy naturę relacji kocio-ludzkich. Najsłabiej jest wtedy (choć i tak, przyznając z zazdrością, nieźle), kiedy rzeczywista rzeczywistość wkracza do pisania, bo teksty o tym, jak to jest z kumplem palić tanie papierosy, albo o tym, czego pisarz dowiedział się o byciu pisarzem, gdy został pisarzem, wyciąłbym dla dobra

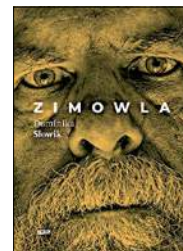


★★★★★
PAWEŁ SOŁTYS
„NIERADOŚĆ”
WYDAWNICTWO CZARNE

całości. „Nieradość” to jednak i tak bardzo dobra książka, pytanie tylko, co będzie po niej. Czy te zapiski zamienią się w regularne życiopisanie, kolejne tomiki podobnych opowiadań, z tymi samymi zaletami i wadami (niewielkimi), czy może autor obróci swój talent w jakąś nową stronę? ©©

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Realizm magiczny po polsku. Zagubione wśród wzgórz Małopolski miasteczko pełne dziwów, od wilkołaków do lewitacji. Objąśnienie jednak realistyczne, co psuje nieco zabawę. Druga książka autorki powieści „Atlas: Doppelgänger”.



DOMINIKA SŁOWIK
„ZIMOWLA”
ZNAK

Jeden z bohaterów „Letniej nocy”, znakomitego horroru Simmonsa sprzed lat, powraca jako dorosły do miejsca dawnej traumy, by odkryć, że zło ma inny wymiar, niż niegdyś sądził. Ciekawa wariacja na tematy znane z Kinga.



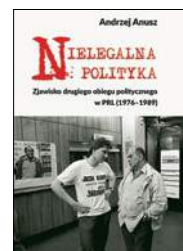
DAN SIMMONS
„ZIMOWE NAWIEDZENIE”
ZYSK I S-KA

Zbiór wykładów z lat 2001–2015. Eco wygłaszał je, otwierając kolejne edycje festiwalu La Milaneseana. Eru-dycyjne podróże po świecie kultury wysokiej i popularnej, z typową dla autora lekkością i dyskretnym humorem.



UMBERTO ECO
„NA RAMIONACH OLBRZYMÓW”
NOIR SUR BLANC

Podtytuł: „Zjawisko drugiego obiegu politycznego w PRL (1976–1989)”; ale książka Anusza jest nie tylko próbą analizy fenomenu, lecz także zapisem własnych doświadczeń z podziemia. Sporo cennego materiału źródłowego. ©©



ANDRZEJ ANUSZ
„NIELEGALNA POLITYKA”
WYDAWNICTWO POLSKIE IHOO

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. **Remigiusz Mróz „Wyrok”** (Czwarta Strona) – 10. tom serii z Joanną Chyłką w roli głównej, spopularyzowanej ostatnio wersją serialową TVN.
2. **Anne Bishop „Jezioro czyste”** (Wydawnictwo Inicjum) – serię fantasy „Inni” rozpoczęła powieść „Pisane szkarłatem”. „Jezioro czyste” to już szósty tom.
3. **Adrian McKinty „Łańcuch”** (Agora) – zwykła rodzina uwięziona w sieci kno-wań złowrogiej organizacji Łańcuch zmieniającej ofiary w przestępców.
4. **David Lagercrantz „Ta, która musi umrzeć”** (Czarna Owca) – zamknięcie serii „Millennium” Stiega Larssona, już bez Larssona. Tom szósty.
5. **Katarzyna Michalak „Marzycielka”** (Wydawnictwo Mazowieckie) – popularna autorka książek dla pań przedstawia trzeci tom trylogii rozpoczętej „Pisarką”.

(Najchętniej kupowane książki w internetowej księgarni Gandalf)



FOT. PIOTR ZYCKI/IPN

Oczami cywilów

Każdy z utworów z płyty „Dziesięć kroków – Memoriał warszawski 1944” inspirowany jest autentycznymi historiami lub wspomnieniami z powstania warszawskiego. „Jedna na życie taka noc” – śpiewa Weronika Kowalska w piosence „Pierwszy dzień”. „Dziś zaczyna się wielki bal, czekany tyle lat / Kto tylko

o nim wie, przyspiesza kroki swe [...] Z radością strach na pól / Łzy i uśmiech, duma i ból / Pożegnań chwila, krótki czas / Uścisku czuły gest / Do ręki mały krzyż, do torby ciepły chleb / Córeczko idź już, idź, nie wstrzymam cię” – śpiewa. „Dziesięć kroków – Memoriał warszawski 1944” to wspólny projekt Instytutu

Pamięci Narodowej i fundacji Sztafeta. Zrealizowany z myślą o uhonorowaniu ludności cywilnej Warszawy. „Inspiracją do napisania tekstów piosenek były wspomnienia świadków historii nagrane przez pracowników Biura Edukacji Narodowej IPN. Płyta pod nazwą »Dziesięć kroków. Memoriał warszawski 1944« jest arty-

stycznym wyrazem przeżyć ludności cywilnej, której losy wojenne i gehenna wypędzenia są ubogo reprezentowane w sferze artystycznej. Nasz projekt zamierza choć częściowo wypełnić tę lukę” – opisuje projekt IPN. – Tragedia ludności cywilnej Warszawy jest nadal prawie nieobecna w sferze artystycznej. Projekt „Dziesięć kroków – Memoriał warszawski 1944” zamierza choć częściowo wypełnić tę lukę. Uważam, że nic tak bardzo nie zapada w pamięć jak dobra piosenka, właśnie taką formę upamiętnienia uważamy za najbardziej nośną – mówi Anna Żochowska z fundacji Sztafeta.

Teksty napisała Anna Żochowska, muzykę skomponował Dariusz Budkiewicz. Premierę płyty, połączoną z koncertem, zorganizowano w Muzycznym Studiu Polskiego Radia im. Agnieszki Osieckiej w Warszawie. ©©

Radosław Wojtas



GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Historia się nie powtarza

Album już został uznany za wydarzenie roku. Trzydziestoletnia Brittany, mając na koncie nagrodę Grammy, postanowiła solowym debiutem rozprawić się ze swoimi demonami.

Przewodząc grupie Alabama Shakes, zdobyła rozgłos. Jednak jej głos przywołujący wspaniałą historię czarnej muzyki był jednocześnie jej przekleństwem. W słowach pierwszej piosenki „Historia się powtarza” śpiewa: „Nie chcę powrócić do tego miejsca”. Porzuciła więc rodzinną Alabamę, bo jako córka czarnego ojca i białej matki doświadczyła bratniej miłości („Goat Head”). Album poświęciła zmarłej w wieku 13 lat na raka oka starszej siostrze Jaime. Pewnie dlatego zmagą się na płycie z wielkimi tematami (rasizmem, religią, polityką,

seksualnością) i to w sposób daleki od medialnej publicystyki.

Brittany idzie dalej. Udowadnia, że współczesna muzyka nie musi być wyłącznie pochwałą przeszłości i nie jest jej potrzebna wyszukana elektronika. Zatrudniła dwóch muzyków jazzowych, perkusistę Nate’a Smitha i klawiszowca Roberta Glaspera, którzy nie tyle improwizują, ile otwierają inne przestrzenie wyrazu. Jej śpiew dzięki temu rozciąga się od Mayfielda do Buckleya, a piosenki wymykają się kategorizacji. To nie jest łatwa w odbiorze płyta. Intensywność zawartych na niej emocji wystarczy na niejedną terapię przez sztukę. „Nie istnieje broń przeciwko samotności / Oprócz mych kochających ramion” – konkluduje Brittany Howard w finałowej „Run to Me”. ©©



★★★★★
BRITTANY HOWARD
„JAIME”
ATO



★★★★★
JOHN COLTRANE
„BLUE WORLD”
IMPULSE!

Te niepublikowane wersje znanych utworów (m.in. „Naima”, „Village Blues”) saksofonista nagrał w czerwcu 1964 r. z myślą o podziemnym kanadyjskim filmie „Le chat dans le sac”. Odnalezione monofoniczne taśmy poddano gruntownej obróbce.



★★★★★
KROKE
„REJWACH”
UNIVERSAL

Muzyka do spektaklu teatralnego „Rejwach” na podstawie książki Mikołaja Grynberga. Ilustracyjna muzyka instrumentalna o różnicowanych klimatach, ale z nostalgiczną nutą. Sławomir Berny zagrał gościnnie na instrumentach perkusyjnych. ©©

„Wstańcie, chodźmy!”

Fundacja „Dzieło Nowego Tysiąclecia” jest organizatorem Dnia Papieskiego, który odbywa się co roku w niedzielę poprzedzającą wybór kard. Karola Wojtyły na namiestnika Stolicy Piotrowej. To dzień pamięci o Papieżu Polaku, przypomnienie jego nauczania, a także dzień łączności z Ojcem Świętym Franciszkiem. Obchody tego dnia ustanowiła Konferencja Episkopatu Polski jako wyraz wdzięczności dla św. Jana Pawła II za jego niestrudzoną posługę duchową na rzecz Kościoła i Polski. Dzień ten łączy Polaków w kraju i za granicą, a w tym roku przypada na 13 października.

Obchody XIX Dnia Papieskiego odbędą się pod hasłem „Wstańcie, chodźmy!”. Rozpoczną się już 12 października na Zamku Królewskim w Warszawie. Podczas uroczystej gali zostaną wręczone nagrody TOTUS TUUS 2019, a wydarzenie transmitować będzie TVP na antenie Programu 2. W części artystycznej wystąpią m.in. Halina Mlynkova, Anna Karwan oraz Mateusz Ziółko, a „katolickie Noble” zostaną przyznane w czterech kategoriach: promocja godności człowieka, osiągnięcia w dziedzinie kultury chrześcijańskiej, propagowanie nauczania Świętego Jana Pawła II oraz TOTUS TUUS medialny im. bp. Jana Chrapka. Dotychczasowymi laureatami nagrody TOTUS TUUS byli m.in.: ks. Jan Twardowski, Henryk Górecki, Zygmunt Kubiak, o. Jan Góra, Muzeum Powstania Warszawskiego czy Towarzystwo Opieki nad Ociemniałymi w Laskach.

W niedzielę, 13 października, o godz. 9.00 w bazylice św. Krzyża w Warszawie, obchody XIX Dnia Papieskiego mszą świętą zainauguruje bp

Od 19 lat Fundacja „Dzieło Nowego Tysiąclecia” pomaga w zdobyciu jak najlepszego wykształcenia młodemu, zdolnym, ambitnym osobom z małych miejscowości. W Polsce wciąż są rodziny, które potrzebują wsparcia. Można je okazać, wrzucając symboliczną złotówkę do puszki wolontariuszy kwestujących w zbliżającym się Dniu Papieskim



Romuald Kamiński. Eucharystia zostanie transmitowana w Programie 1 Polskiego Radia. Z kolei o godz. 10.00 widzowie TVP Polonia będą mogli uczestniczyć w mszy świętej celebrowanej przez kard. Stanisława Dziwisza w Sanktuarium św. Jana Pawła II w Krakowie. Kar-

dynał Kazimierz Nycz zaś przewodniczyć będzie o godz. 12.00 mszy świętej w Świątyni Opatrzności Bożej w Warszawie, odprawianej w intencji darczyńców Fundacji „Dzieło Nowego Tysiąclecia”. W tym samym miejscu odbędzie się także koncert galowy, inspirowany myślą św. Jana Pawła

II. Wezmą w nim udział m.in.: zespół niemaGOtu, Maleo, Olga Szomańska, Maciej Miecznikowski czy Anna Karwan.

Centralne obchody XIX Dnia Papieskiego zakończy konferencja naukowa „Nadzieja chrześcijańska dzisiaj. Źródła i konsekwencje”. W jej ramach odbędą się wykłady na Zamku Królewskim w Warszawie.

Wygłoszą je m.in.: prof. Bogdan Szlachta (Uniwersytet Jagielloński), ks. prof. Livio Melina (były rektor Papieskiego Instytutu Jana Pawła II dla Studiów nad Małżeństwem i Rodziną przy Uniwersytecie Laterańskim) oraz dr hab. Michał Gierycz (Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego), a udział w konferencji możliwy będzie po dokonaniu rejestracji (nadziejachrzescijanska.konfeo.com).

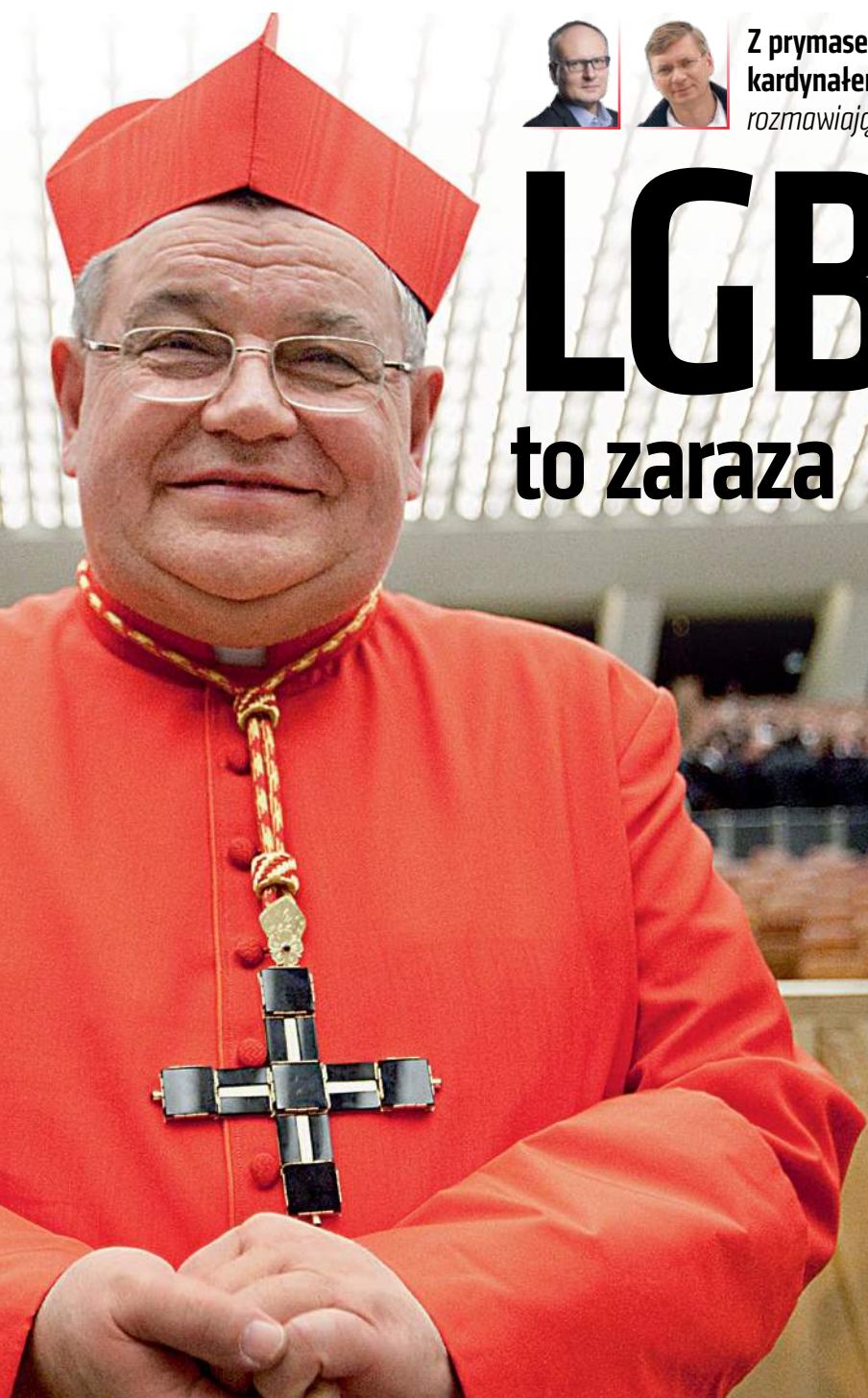
Wszystkie wydarzenia odbywające się w ramach tegorocznych obchodów Dnia Papieskiego, w tym zbiórka publiczna i przykościelna, mają na celu wsparcie programu stypendialnego, który od 19 lat prowadzi Fundacja „Dzieło Nowego Tysiąclecia”. Dzięki zebranych funduszom co roku obejmuje ona wsparciem 2 tys. uczniów ze szkół podstawowych i studentów, borykających się z problemami ekonomicznymi. Rocznie na stypendia i formację stypendystów przeznaczane jest ok. 12 mln zł. Dlatego warto pomagać przez cały rok, wpłacając pieniądze na konto: PL 75 1240 2034 1111 0000 0306 8582, Bank PEKAO SA XIII O/ Warszawa lub wysyłając SMS-y o treści STYPENDIA na numer 74 265 (koszt 4,92 zł z VAT). Od początku istnienia fundacji wsparciem objęto już ponad 5 tys. młodych osób, które ukończyły studia wyższe.

Szymon Chrostowski



Z prymasem Czech,
kardynałem Dominikiem Jaroslavem Duką
rozmawiają Paweł Lisicki i Maciej Szymanowski

LGBT to zaraza



FOT. ALESSANDRA BENEDETTI/CORBIS/GETTY IMAGES

„DO RZECZY”: Jak Ekszelencja ocenia wypowiedź abp. Marka Jędraszewskiego, zgodnie z którą ideologia LGBT zastąpiła ideologię komunistyczną, „tęczowa zaraza zastąpiła czerwoną zarazę”?

KS. DOMINIK JAROSLAV DUKA: O słowach krakowskiego metropolity dowiedziałem się dzięki oświadczeniu przewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski abp. Gądeckiego. Chcę powiedzieć, że użycie słowa „zaraza” jest dla mnie w omawia-

nym kontekście całkowicie zrozumiałe. Trzeba pamiętać, że czerwona zaraza pozbawiła Europę więcej niż jednej czwartej ludności. A ideologia gender jest skierowana przeciwko rodzinie. Samo słowo „rodzina” pochodzi przecież od słowa „rodzić”, ród, naród... Wszyscy widzimy, że Europę opanowuje bardzo poważny kryzys demograficzny, którego politycy nie potrafią zażegnać.

Co więcej, mamy bez wątpienia do czynienia z ideologią. A ta, podobnie jak zaraza, powoduje zakażenie, rozszerza się. Jeżeli ta ideologia na siłę, w sposób totalitarny wchodzi do szkół – co nie jest tylko problemem Polski, bo to jest też problem Czech i innych krajów – to trzeba mieć świadomość, że choroba powoduje niemoc, czyni człowieka bezsilnym.

Człowiek nie może przecież odciąć się od swojego biologicznego wymiaru. Z perspektywy pediatrii, psychologii dziecięcej wiemy, że dziecko w swoim rozwoju potrzebuje uwzględnienia aspektu płciowego. Biologicznie przecież jesteśmy mężczyznami lub kobietami, potrzebujemy się mierzyć z tą dwubiegowością. A dziecku potrzebny jest i ojciec, i matka. Ideologia LGBT ten zaś aspekt całkowicie kwestionuje.

I jeszcze jedna ważna rzecz: dziecko jest przyszłością, a owa zaraza zagraża życiu. Dziecko zostało pozbawione w wielu krajach prawa do życia, prawa do ojca i matki, a obecnie jest pozbawiane również prawa do płci. Nie można dzieciństwa czy okresu dojrzewania, któremu towarzyszą pewne biologiczne, hormonalne procesy, przerabiać na czas kwestionowania własnej płci.

W tym sensie uważam homilię abp. Jędraszewskiego za ważną, ponieważ przebudza. Ile wybudzających z letargu kazań wygłosili prorocy, sam Jezus? Dlatego z szacunkiem odnoszę się do tego, że również abp Gądecki zabrał w tej sprawie głos. I z tego powodu uważałem za potrzebne, byśmy wyrazili solidarność – nie tylko my, Czesi, nie tylko Słowacy czy Węgrzy.

Eksceleńcja wspomniał, jak ważni dla rozwoju dziecka są ojciec i matka. Jak Eksceleńcja odnosi się do zmian przeprowadzonych we francuskim prawie, gdzie możliwe są dwie matki? Do sytuacji w krajach, gdzie mamy „rodzica A”, „rodzica B”?

Odpowiem trochę żartobliwie. Rozmawiałem z ministrem zdrowia, który z ogromnym rozgoryczeniem opowiadał: proszę sobie wyobrazić, że zwróciła się do mnie pewna pani minister i domagała się przepisów, według których matka rodząca dziecko nie mogłaby zadać pytania, czy to dziewczynka, czy chłopak. Powinna mieć jedynie prawo pytać: Czy noworodek jest zdrowy? I wtedy odpowiadał: kobiety nie obchodzi jakiś noworodek, tylko – tak jak w przypadku każdej matki – czy ma chłopczyka, czy dziewczynkę. Więc mnie nie irtuj. Grałaś w piłkę? Wiesz, co to drużyna A i drużyna B? Chcesz kibicować jakiejś jedynce czy dwójce? Tak walczysz o równouprawnienie kobiet? Przecież tak się tylko poniżacie.

Wracając do pytania, muszę powiedzieć, że taki krok to nie tylko całkowita dewaluacja pod względem biologicznej wiarygodności, lecz także wręcz atak na istotę naszej kultury. Atak nie tylko na nasze sumienia, lecz także na to, co stanowi

człowieka. Czy chcecie wykreślić słowo „matka”? Matka, miłość matczyna to te najwyższe pojęcia, do których zrozumienia potrzeba jakiegoś wyższego wykształcenia. To przecież fakty, na których opiera się sztuka – literatura, malarstwo, muzyka, w tym wszystkim obecny jest temat miłości matczynej, ojcowskiej. A my tam teraz włożymy „miłość 1” i „miłość 2”?

Na ile ideologia LGBT zastąpiła ideologię komunistyczną? Na ile można mówić tutaj o ideologii neomarksistowskiej? Jakże mogą być efekty jej ewentualnego zwycięstwa?

Po pierwsze, musimy się przyznać, że jesteśmy indoktrynowani przez marksizm. Po drugie, mamy do czynienia z nieszcześciem zachodniego społeczeństwa, ale po części też naszego młodego pokolenia.

Podstawową zasadą marksizmu jest walka, walka klasowa. Tutaj jasno widać postawy marksistowskie. Marks posłużył się heglowskim dialektycznym schematem teza-antyteza-synteza. Pierwszym, kto w Kościele zwrócił uwagę na tę kwestię, był Paweł VI w encyklice „Humanae vitae”. Antonio Gramsci – gdy byłem w więzieniu, czytałem jego zapiski więzienne – w latach 60. stwierdził: robotnikom dobrze się powodzi, nie staną na barykadach; walka klasowa nie jest już dla nas narzędziem dojścia do władzy.

Dlatego przyjął rozwiązanie: kobieta kontra mężczyzna. Mężczyzna jest brutalny, jest ciemiężycielem, a kobieta ofiarą. Myślę, że to mu się udało. O ile wcześniej chciano dojść do marksistowsko pojmowanego pokoju społecznego poprzez zniesienie klas, ujednolicenie, o tyle teraz dochodzi postulat zniesienia różnic płci. Nie mogą być tylko dwie płcie, trzeba je rozkruszyć. A im więcej ich będzie, tym większe będzie ujednolicenie społeczeństwa, czyli pokój społeczny.

Następuje kolejny moment – wiemy, że w „Manifestie komunistycznym” rodzina jest instrumentem wyzysku i anachronizmem. Śledząc dalszy rozwój marksizmu, widzimy, że w Związku Sowieckim za Lenina zniesiono śluby, wprowadzono związki partnerskie, które się rejestruje i odmeldowuje. Na ulicach włączają się porzucone dzieci. Gdzie wylądowały? W obozach towarzysza Makarenki. Ta ideologia dotknęła też naszych komunistycznych elit w okresie międzywojennym, ze wszystkimi konsekwencjami, takimi jak seks grupowy itp. Nastąpił rozkład społeczeństwa i reakcja Stalina – akcent na rodzinę, macierzyństwo.

Nie teoretyzujemy więc, zwracając uwagę na marksistowsko-komunistyczne korzenie. I możemy również zwrócić uwagę na konsekwencje tego ruchu. Nadmienimy, że również narodowy socjalizm sięga swoimi korzeniami do tej samej ideologii. Stąd hodowanie „czystej rasy” itd. Tylko jak obchodzono się z dziećmi, które stały się własnością państwa?

W Czechach mieliśmy pięcioletnie urlopy macierzyńskie, a dziś ponownie słyszymy żądania, aby matka mogła jak najwcześniej wrócić do pracy. Dzieci znów mają być oddawane do żłobków. Neguje się wszystkie badania, które dowodziły, że to nie jest dobre.

Ideologie nie umarły, przeszły tylko pewną metamorfozę, a są tu nadal obecne.

Na ile silne są ruchy LGBT w Czechach? Czy mają poparcie polityczne?

Rok temu pojawił się projekt ustawy o małżeństwach jedнопłciowych i ich prawie do adopcji dzieci. Wtedy książdz profesor Uniwersytetu Karola, Petr Piťha, nasz drugi po upadku komunizmu minister szkolnictwa, wygłosił kazanie, które – w stylu trochę hiperbolicznym, lecz uprawnionym – zawierało apokaliptyczną wizję świata opanowanego przez LGBT. Homilia wywołała wielką ogólnospołeczną dyskusję, w tym bardzo negatywne reakcje, niemniej wspomniany projekt ustawy dzięki niel ostatecznie wycofano z porządku obrad parlamentu.

Podobnie było z tegoroczną Prague Pride – miała się odbyć w duchu radykalnych postulatów LGBT, a jednak nie wsparł jej ani prezydent, ani premier, ani rząd, ani parlament, ani spółki skarbu państwa. Sprawdzałem, kto demonstrację wsparł. Były to: organizacje satanistów, związek czeskich ateistów, czeskie towarzystwo pederfilskie oraz niektóre prywatne firmy. Wśród formacji politycznych tylko partia Piraci, która przejęła stołeczny ratusz. Pewnym zawodem była dla nas postawa ambasad innych państw. Wielkim problemem jest niestety również prolewicowo nastawiona część wiernych Kościołów chrześcijańskich, pochodz wsparły bowiem młodzież czeskoobraterska, czasopismo „Protestant”.

Evangelicy organizują dla LGBT nabożeństwa. Mnie też kilka razy proszono o zainicjowanie takich nabożeństw, na co jasno odpowiedziałem, że duszpasterstwo kategoryczne, czyli duszpasterstwo określonych grup społecznych, musi spełniać pewne warunki. Tutaj w pewnym stopniu przytoczyliśmy cytaty, na



Z księdzem prymasem Dominikiem Jaroslavem Duką rozmawiają Paweł Lisicki (pierwszy z lewej) i Maciej Szymanowski (pierwszy z prawej) FOT. ARCHIWUM

które wskazywał również abp Gądecki – nie ma powodu, by osądzać człowieka jakiegś, często również biologicznie uwarunkowanej, orientacji. To jednak nie oznacza, że z tych grup możemy tworzyć nową kategorię duszpasterską właśnie dlatego, żeby ci ludzie nie mieli wrażeń, że są odrzucani. Czym innym jest duszpasterstwo w zakładach karnych, w wojsku, w sporcie, tam są do tego określone warunki. Jednak nie zamykamy drzwi kościołów ani naszej posługi przed nikim.

Jan Paweł II wspominał o tendencjach totalitarnych ukrytych w liberalizmie i kolejnych etapach stosunku do LGBT aż do prześladowań wolności religijnej. Jak powstrzymać ten proces?

Demokracja jest tylko jedna. Nie liberalna, nie socjalistyczna czy kapitalistyczna. Też nie chrześcijańska. Czeskim chadekom zawsze polecam książkę kard. Journeta „Chrześcijańskie wymagania w polityce”. Niech chrześcijanie tworzą partie polityczne, ale muszą mieć świadomość, że partia chrześcijańska nie jest tożsama z Kościołem. Partia pracuje innymi metodami. Demokracja jest kwestią udziału jak najszerzego grona odpowiedzialnych, wolnych ludzi w organizowaniu społeczeństwa.

Demokracja – dzisiejsza, nie ta ateńska, gdzie byli również niewolnicy – powinna być dla każdego, niemniej możemy stawiać pytanie, czy ten, kto wcale nie ma szacunku wobec społeczeństwa, jest uprawniony do współrządzenia. To może być temat pewnej debaty.

Problemem liberalnej demokracji jest to, że oni uważają za demokratów tylko siebie samych, wszystkich nas pozostałych określają jako ekstremalną prawicę, totalitarsów itp. Z jednej strony kierują się w pewnym sensie filozofią postmoderny, która mówi, że prawdy nie ma. A z drugiej strony są przekonani, że prawda jest tylko po ich stronie.

Walka ze zideologizowaniem życia jest możliwa, jeżeli będziemy utrzymywać prawdziwą demokrację. Uważamy, że demokracja powinna obejmować całe społeczeństwo, a przecież chodzi o system polityczny, nie o instrument, który powinien mieć zastosowanie w szkolnictwie, armii, medycynie. Raczej nie wybierzemy portiera na chirurga, który zoperuje nasze serce.

Dlaczego tak wielu europejskich polityków wspiera postawę antychrześcijańską, przeciwną tradycyjnym wartościom?

Mamy do czynienia z efektem nie tylko wyborów do Parlamentu Europejskiego, lecz także sposobu kształcenia, gdyż doszło do pewnej ideologicznej infiltracji oświaty, poddanej w jakimś stopniu indoktrynacji.

Polskę i Węgry krytykują posłowie krajowych opozycyjnych partii, reprezentowanych w Parlamencie Europejskim, którzy dzięki tamtejszemu systemowi głosowania zajmują ważne stanowiska. Prowadzą więc za pośrednictwem Unii Europejskiej polityczną walkę we własnym kraju.

Europa Środkowa stanowi ostoję chrześcijaństwa?

Mamy wspólne doświadczenia. Na spotkaniach o wymiarze europejskim zawsze mówię: kto wie, przez co musiały przejść Węgry w czasach wojen tureckich, ten nie może być zdziwiony, że będziemy patrzeć innymi oczami na obecną problematykę. To nie oznacza, że nie chcemy pomagać – w ramach Grupy Wyszehradzkiej organizujemy zbiórki na pomoc krajom Bliskiego Wschodu, wiedząc, że odejście stamtąd chrześcijan oznaczałoby katastrofę, nie tylko kościelną (w Egipcie głównie chrześcijanie prowadzą bankowość, w Syrii na ich barkach leżała służba zdrowia i wiele rzemiosł). Duża część naszego zsekularyzowanego społeczeństwa rozumie takie podejście.

Uważam za zdrowe, kiedy ktoś argumentuje słowami: A co na to powie papież Franciszek? Odpowiadam: A co powiedział papież Franciszek w Krakowie? Kwestia przyjęcia migracji jest sprawą suwerennych państw. Nie chodzi tylko o to, żeby przyjąć, trzeba takiego człowieka też zintegrować. Powinniśmy też Europie Zachodniej powiedzieć: Zważcie, że sposób, w jaki rozwiązujecie ten problem, był nieodpowiedzialny. Widzimy imigranckie getta we Francji, problemy w Wielkiej Brytanii, złą sytuację w Niemczech, gdzie doszło do podziału społeczeństwa. Wiadomo, że kilka lat temu w Berlinie odbyła się konferencja, na której zdecydowano się rozwiązać problem demograficzny za pomocą migracji.

Ważne są tu słowa papieża Franciszka, który widzi wielki kryzys demokracji liberalnej w jej niezdolności do tego, aby rozwiązywać problemy.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Ksiądz prymas Dominik Jaroslav Duka OP (ur. 1943) – robotnik, teolog, więzień polityczny, arcybiskup Pragi, uważany powszechnie – także przez niekatolików – za jedną z największych czeskich osobowości i autorytetów moralnych. Wyświęcony na kapłana w 1970 r., dostaje już kilka lat później tzw. państwowy zakaz posługi, pracując następnie przez 15 lat jako kreslarz w fabryce Škody w Pilźnie. W 1981 r. zostaje skazany na 15 miesięcy więzienia za „uniemożliwianie państwowej kontroli nad Kościołem”. Po wyjściu na wolność zostaje prowincjałem czesko-morawskich dominikanów. Mianowany przez papieża Jana Pawła II na biskupa Hradca Králové w 1998 r., przyjmuje dewizę *In Spiritu Veritatis* – W Duchu Prawdy. W 2010 r. zostaje przez Benedykta XVI ustanowiony 36. biskupem Pragi. Po osiągnięciu wieku emerytalnego decyzją papieża Franciszka pozostaje następcą św. Wojciecha.

Już 14 października w **DO RZECZY** dodatek

DODATEK SPECJALNY CZĘŚĆ IV



Prawo i pamięć

• Kłamstwo katyńskie trwa do dziś

• Oręż prawny dla patriotów

• Procesy obrońców dobrego imienia

• Dzieła sztuki zrabowane Polsce



Współfinansowane ze środków Funduszu Sprawiedliwości,
którego dysponentem jest minister sprawiedliwości

Organizatorzy:



MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI
www.ms.gov.pl



FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI



Jan Parys

Program PiS nie jest dokumentem strategicznym skierowanym do specjalistów. Jest częścią kampanii, której celem jest przyciągnięcie elektoratu

Warto tegoroczny program PiS zanalizować w aspekcie złożonych obietnic oraz jako świadectwo sposobu myślenia kierownictwa partii rządzącej.

Program koncentruje się na następujących kwestiach: wpływach i skutkach postkomunizmu, patologiiach okresu władzy liberałów, nowym projekcie państwa, polityce społecznej, demografii i ochronie zdrowia, zrównoważonym i autonomicznym rozwoju, wielkich inwestycjach, ułatwieniach dla biznesu, budowie nowoczesnej gospodarki i nauki, edukacji dla przyszłości, trosce o wieś i środowisko, polityce zagranicznej i obronnej. Ostatnia część to przedstawienie rozumienia wartości podstawowych dla PiS, czyli wolności, solidarności, godności człowieka i tożsamości narodowej.

WIZJA SPOŁECZEŃSTWA

Autorzy świadomie odrzucają podejście marksowskie i konfliktową wizję społeczeństwa, a także liberalny model społeczny jako prowadzący do wyzysku i biedy. PiS odrzuca również program inżynierii społecznej – zniszczenia zwyczajnej rodziny, pozbawienia ludzi tożsamości narodowej i wiary – który próbują narzucić zwolennicy Sorosa w Unii Europejskiej. Program PiS jest wizją społeczeństwa solidarnego, którego różne zbiorowości harmonijnie współpracują pod kierunkiem demokratycznie wybranych władz państwowych na rzecz wspólnoty narodowej. Zatem można powiedzieć, że program PiS jest czymś wyjątkowym, niespotykanym w Unii Europejskiej. Chociaż w tytule jest mowa o polskim państwie dobrobytu, to wydaje się, że autorzy próbują zbudować model państwa solidarnego na podstawie chrześcijaństwa. Ten tekst jest zatem próbą złamania dominującej w Europie narracji liberalnej i antychrześcijańskiej, pokazuje, że dla dominującego modelu liberalnego jest kontrpropozycja.



FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

Autorzy odwołują się w programie głównie do chrześcijaństwa, czyli doktryny uniwersalnej, a nie do wartości i tradycji politycznej kultury polskiej. Przy czym podkreślają, że polskie państwo dobrobytu to nie tylko wizja. To model, który w Polsce od kilku lat funkcjonuje, czyli można go wcielić w życie i – jak wskazują na wielu stronach – dzięki niemu można osiągnąć sukcesy gospodarcze, społeczne i polityczne. Jarosław Kaczyński, który osobiście cyzelował poszczególne tezy programu, znalazł się więc w roli polskiego Ludwiga Erharda, który był ojcem cudu gospodarczego Niemiec i wiele lat temu zbudował w RFN społeczną gospodarkę rynkową. Prezes PiS obiecuje Polakom to, co Erhard zbudował kiedyś w RFN. Odwołanie do Erharda pokazuje, jak długa droga przed nami, by zbudować społeczeństwo

lektualnego – Fundacji Batorego – uważają, iż podstawowa różnica między głównymi partiami to stosunek do suwerenności państwa. W tym kontekście może dziwić, że PiS nie zrealizował swej obietnicy z 2015 r., która przewidywała uchwalenie ustawy o suwerenności RP.

Program nie jest oczywiście miejscem, by analizować relacje RP z zagranicą na wszystkich azymutach. Trudno jednak nie zauważyć, że autorzy pomijają to, iż USA, czyli nasz główny sojusznik, są w tej chwili uwikłane w cztery konflikty prowadzone narzędziami gospodarczymi. Są to: wojna walutowa z Chinami, spór z Niemcami o cła na stal, samochody i o Nord Stream 2, sankcje przeciwko Rosji ze względu na agresję wobec Ukrainy, sankcje wobec Iranu ze względu na zbrojenia nuklearne oraz ekspansję w rejonie Zatoki Perskiej. Polska nie jest graczem

dziesiąt lat po wojnie. To wielki wstyd dla wszystkich polityków RFN, zwłaszcza tych, którzy lubią mówić o pojednaniu. Jak to się dzieje, że demokratyczne władze RFN cały czas posługują się majątkiem ukradzionym Polakom przez hitlerowców? Osobną kwestią jest aroganckie postępowanie niemieckich polityków w czasie ostatnich pięciu lat w Brukseli. Niemcy nie tylko doprowadzili do dwóch wojen światowych w XX w. W ostatnim czasie przez swą niezdolność do dialogu, np. w kwestii migrantów czy NS2, doprowadziły Unię Europejską do kryzysu, który wręcz zagraża jej egzystencji.

Często nasza pozycja wobec wielu państw jest funkcją naszej współpracy z USA. Oczywiście sami ponosimy odpowiedzialność za wiele swoich decyzji, bo samodzielnie kształtujemy nasze relacje z zagranicą. To nasza suwerenna decyzja, że uczyniliśmy USA podstawą naszego bezpieczeństwa. Naszym wyborem są pewne decyzje ekonomiczne, które budują naszą niezależność, np. kiedy wybieramy dostawy surowców energetycznych z wolnego świata, a nie z Rosji. Nasze są decyzje polityczne mówiące o tym, że wspieramy Ukrainę, zagrażając naszym relacjom z Rosją. Także wybór dostawców, kiedy dokonujemy zakupów uzbrojenia w USA, co budzi wrogość w Unii Europejskiej, to nasze decyzje i nasza odpowiedzialność. Każdy z podanych przykładów świadczy o tym, że sami decydujemy, z kim oraz jak wzmacniamy swoją suwerenność. Wobec USA trzeba podkreślać, że sojusz militarny i polityczny wymaga wzmocnienia o kooperację gospodarczą. Firmy z USA powinny zrównoważyć wpływy niemieckie w naszej gospodarce. To jest konieczne dla utrwalenia sojuszu. Kooperację militarną z USA w ramach NATO warto wzmocnić bilateralnymi umowami, jak to jest między USA a Wielką Brytanią.

Na terenie Unii Europejskiej i niwie Parlamentu Europejskiego Polska powinna upowszechniać refleksję geopolityczną, by uświadamiać możliwe zagrożenia militarne ze wschodu. Trzeba także się przeciwstawiać tendencji do komercjalizacji polityki zagranicznej przez kraje UE. Polska musi twardo odpierać szykany i próby ingerencji w nasz ustrój ze strony urzędników Unii Europejskiej. Takie praktyki są sprzeczne z obowiązującym traktatem. W obliczu często prorosyjskiej polityki Niemiec konieczne jest umacnianie sojuszu północnoatlantyckiego.

Ludwig Erhard roku 2019

dobrobytu. Wystarczy przypomnieć, że ekspedientka w lidlu po naszej stronie Odry zarabia 2250 zł, a parę kilometrów na zachód równowartość 5,4 tys. zł.

RACJA STANU

Rozdział o polityce zagranicznej jest szczególnie interesujący. Sprawy te – chociaż są podstawą racji stanu – znalazły się w końcowej części programu, po ochronie środowiska i po omówieniu kwestii recyklingu odpadów oraz klimatu. To świadczy o miejscu problematyki bezpieczeństwa. Wbrew temu, co napisano w programie, uważam, że w naszym położeniu geopolitycznym zapewnienie bezpieczeństwa ojczyźnie to najważniejsze zadanie nie tyle MSZ i MON, ile całego państwa, czyli że bezpieczeństwo powinno być pierwsze na liście priorytetów każdej władzy w Polsce. Bezpieczeństwo państwa nie jest zatem zadaniem resortowym. Przypomnę, że krytycy PiS ze strony głównego zaplecza inte-

globalnym, lecz ze względu na sojusz z USA jest postrzegana jako strona w tych konfliktach. Nie możemy zapominać, że każde zaangażowanie USA w konflikty poza Europą może być wykorzystane przez Rosję do akcji militarnej na naszym kontynencie. Nasze aktywa w działaniach dyplomatycznych to teatr europejski. Dla nas ważne są relacje z sąsiadami, z regionem, z Rosją, z Brukselą i z Niemcami.

Troska o dobre stosunki z RFN nie może oznaczać, że rząd będzie milczał w kwestiach trudnych, takich jak oświata dla Polaków w Niemczech, nagonka mediów i polityków niemieckich na Polskę, straty Polski w czasie II wojny światowej czy zwrot mienia Związku Polaków w Niemczech, które zostało zagrabione na podstawie dekretu Goeringa w 1940 r. Ta ostatnia kwestia jest wyjątkowo haniebna, bo świadczy o tym, że mimo denazyfikacji ustawodawstwo hitlerowskie w RFN w stosunku do Polaków obowiązuje kilka-

PiS, PO to samo zło?



Robert Tekieli

„Gazeta Wyborcza” nie jest dobrym miejscem do dywagacji o stosunku PiS do aborcji eugenicznej

Drogi Tomku, piszę te słowa po Twojej odpowiedzi na mój list do Ciebie oraz po liście otwartym Piotra Semki w tej samej sprawie.

Widzę wyraźnie, że w swojej wypowiedzi wyraziłem się nieprecyzyjnie, przepraszam, lecz w sposób oczywisty nie pisałem o Twojej „współpracy” z „Gazetą Wyborczą” w sformalizowanej formie. Mówiłem o legitymizowaniu przez Ciebie gazety i formacji współtworzonych przez człowieka, o którym również Zbigniew Herbert, jego dawny przyjaciel, miał jak najgorsze zdanie. Wydawało mi się, że nie mogłeś pomyśleć, iż piszę o formalnej współpracy, wiedząc, że mediami zajmuję się 33 lata, a ta kwestia jest przecież oczywistością. W swym liście wyraźnie też mówię, że jesteś dopiero poddawany werbunkowi, a nie że jesteś zwerbowany. Co nie zmienia tego, że uwiarygadniasz środowisko zaprzyjaźnione z ludźmi mającymi krew na rękach.

Nie mów też, że nie jesteś świadom kuszenia przez „Wyborczą”, bo byłoby to świadectwo naiwności, z którą mogę porównać jedynie dziecięcą naiwność twórcy najbliskotliwszego zina punkowego lat 80., który zamierzał współtworzyć i redagować gazetę Urbana skierowaną do młodzieży.

I ostatnia wstępna uwaga. Fraza: „Tomku, co się z Tobą dzieje?”, którą zapamiętało wielu ludzi mówiących mi potem: „Dobrze przywaliłeś Terlikowskiemu”, nie jest mojego autorstwa. To „podkręcający” treść odredakcyjny dodatek.

POPEŁNIŁEŚ BŁĄD

Jednym z tematów mego listu, Twojej z nim polemiki oraz listu Piotra jest

kwestia zdrady i wspólnoty. Oczywiście nie uważam, żebyś był winny zdrady. Popełniłeś błąd. Twój wrogość się cieszą. Twoi dotychczasowi zwolennicy są skonfundowani lub oburzeni. I nie wymiguj się cytowaniem jedynie opluwających Cię idiotów. Powinieneś potraktować te liczne głosy zaniepokojenia jako informację. Nie twierdzą, że jesteś wielbłądem, jednak na Twoim miejscu spojrzałbym w lustro. Jako zwolennik dialogu nie odrzucaj tych, być może malutkich, ziarenek prawdy, zawartych w wypowiedziach sympatyzujących z Tobą ludzi.

Poza kwestią zamykania się na informacje kolejną sprawą są nieporozumienia. Czytając Twoją odpowiedź, momentami miałem wrażenie, jakbyś nie czytał mego listu. Nie ma w nim nawet sugestii, abym potępiał krytykę PiS. Moim zarzutem, powtórzę kolejny raz, jest to, że dając „Gazecie Wyborczej” wywiad, uwiarygadniasz najbardziej toksyczne duże środowisko w Polsce i potęgą niedługo grupę wpływu.

Piotr w swej odpowiedzi na Twoją polemikę ze mną celnie punktuje jej słabości. Ma rację, pisząc, że „Gazeta Wyborcza” nie jest dobrym miejscem do dywagacji o stosunku PiS do aborcji eugenicznej (ja nie odbieram nikomu prawa do krytyki Zjednoczonej Prawicy w żadnej – więc też w tej szczególnie ważnej – kwestii, toteż nie ułatwiam sobie dyskusji).

„GW” nie jest dobrym miejscem, bo jej redaktorzy od 30 lat próbują doprowadzić do pełnej dostępności aborcji, robili też wszystko, by zamordować dziecko Agaty.

Dalej Piotr Semka słusznie zauważa, że rozdajesz razy zbyt pewną ręką, a uciekasz od istoty kontrowersji. Cieszę się, bo Piotr przełożył moje ogólnokulturowe rozważania na polityczny konkret. I ma

rację, że wielu ludzi głosuje na PiS, mimo iż deklaracje polityków tej partii rozmiągają się w kwestii aborcji ze smutną rzeczywistością. Wielu z nich jest za nienaruszaniem „aborcyjnego kompromisu”. Boli to nas, podobnie jak Ciebie. Mówisz: PiS, PO to samo zło. Nie. Zjednoczona Prawica powstrzyma liberalizację prawa antyaborcyjnego, natomiast uzależniona w swej słabości od unijnego establishmentu lewicowa dziś Koalicja Obywatelska uruchomi lawinę, w której wyniku adopcja dzieci przez pary homoseksualne będzie tylko przystankiem. Jakiekonkrewencje miałyby złamanie tego „aborcyjnego kompromisu”? Nikt tego nie wie. I jest to bardzo ważne pytanie dla wielu katolików.

PO, wygrawszy wybory, przemaluje biało-czerwoną Polskę na tęczową. I nie zatrzyma tego bezideowe ZSL. A Ty będziesz budował swą koalicję ludzi



dobrej woli z szalonym Korwin-Mikkem, 0,1-procentowym Markiem Jurkiem, obrotowym Kukizem i prorosyjskim skrajnie prawicowym planktonem (przypomnę tu tylko Konwent Świętej Katarzyny).

Zrównywanie PiS i PO jest absurdalne. Politycy PO odwołują się wprost do zła. Bo czystym złem jest machanie polską flagą ze swastyką czy demonstrowanie z wizerunkiem Najświętszego Serca Jezusa zderzonym z obrazem żeńskich genitaliów.

Nie

Zapewniam Cię też, że rozmowy z „Gazetą Wyborczą” nie zmieniają proaborcyjnego stanowiska tej grupy. A przywoływany przez Ciebie św. Paweł spotkał się na areopagu z totalną kpinką i poległ. Nie zbudował mostów z poganami.

Wybacz, Twoje wyciąganie ręki do Adama Michnika jest skrajną naiwnością.

DWIE STRONY POLSKI

Przejdźmy wreszcie do istoty naszego nieporozumienia. Czym jest dialog i „dialog”? Czym jest polskość i kto jest Polakiem?

Upraszczając: w dwudziestolecie międzywojennym mieliśmy dwa nurty nazywane lewicowymi. Socjalistów z PPS oraz KPP, czyli bolszewików. Można było być Polakiem-socjalistą, jednak zbiór ludzi, których nazwać można Polakami-bolszewikami, to zbiór pusty.

Na łamach mego macierzystego pisma, „Gazety Polskiej”, opublikowałem tydzień temu swój postfelieton, w którym stwierdziłem rzecz następującą: „Adam Michnik jest tak samo Polakiem jak człowiek nieochrzczony chrześcijaninem. Czy ja Adama Michnika wykluczam z polskiej wspólnoty? Nie, on sam się wykluczył. Napiszę jeszcze raz, na użytek serwisu Wikicytaty: Adam Michnik wykluczył się z polskiej wspólnoty. Zrobił to, werbując księży i niszcząc im przy tym życie, wykorzystując i porzucając. Wykluczył się ze wspólnoty, starając się wmówić światu i Polakom, że polskość to antysemityzm, że AK zajmowała się głównie mordowaniem Żydów”.

W Polsce nie ma walki dwóch plebion. Z jednej strony są obrońcy rodziny, Kościoła i patriotyzmu, z drugiej ci, którzy przyjechali tu na sowieckich czołgach. Mordercy Pileckiego, „Inki” i „Lalusia”, wybijający bolszewickimi kolbami suwerenność z głów przywiślańskim Polaczkom. Po tej drugiej stronie są zabójcy Grzegorza Przemyka, ks. Jerzego Staszka Pyjasa oraz pożyteczni im idioci. Oczywiście ci ostatni są Polakami (choć nie wszyscy, bo wielu wykształconych ponad miarę intelektu Europejczykami jedynie i powtarza, że polskość to nienormalność).

Natomiast Polakami nie są ludzie odwołujący się do tradycji Róży Luksemburg, Stefana Michnika, Wojciecha Jaruzelskiego czy będącego częścią długiego ramienia Moskwy, Czesława Kiszcza. Nie widzą Polski na mapie świata i różnią się od czczonych przez siebie poprzedników tylko tym, że stolicę

swojej międzynarodówki widzą

w Brukseli, a nie w Moskwie. Wielu pożytecznym idiotom, towarzyszom rewolucyjnej drogi, nie zarzucam złej woli czy kłamstw, a jedynie głupotę. Ich przewodniczący nie są jednak Polakami.

Po drugiej stronie – masz, Tomku, rację – mamy nie tylko nihilizm. Mamy również wizję nowego, wspaniałego świata, przez który przetoczył się w ostatnich latach walec antykultury i w którym panuje tęczowa zaraza.

Nie przekonasz ludzi, którzy mówią o „demonach patriotyzmu”, do współbudowania z Tobą wspólnoty. Sądząc inaczej, jesteś znów wyrazicielem szlachetnej naiwności.

Mówisz o dialogu. Z jakiego najważniejszego powodu jest on niemożliwy? Otóż, by się porozumiewać, trzeba mówić podobnym językiem. Mającym choćby zbliżone znaczenie. A co mamy? Ty mówisz: „postęp” i myślisz: „rozwój”. Adam Michnik myśli: „odebranie Kościołowi władzy nad duszami”. Myśli: „zniszczenie państw narodowych”. Twoje cele są jawne, ich – ukryte. Czasami tylko jakiś idiota się wygada, że po legalizacji związków homo wprowadzą adopcję chłopców przez dwóch homoseksualnych mężczyzn. Pamiętaj, że na Zachodzie taka adopcja jest dziś prawem człowieka. Ty mówisz: „demokracja” i myślisz o władzy większości. Dla nich „demokracja” to rządy agresywnych mniejszości, które narzuca większości swoje poglądy siłą, jak miało to miejsce w Ilei.

I jeszcze kwestia wolności. Jeśli w Polsce zwyciężą poglądy Adama Michnika czy Roberta Biedronia, to zostaniesz pozbawiony wolności. Albo tak jak Mary Wagner, albo tak jak gwałcone na ulicach niemieckich miast kobiety, od których odwracali się policjanci i zastraszeni dziennikarze.

Jestem człowiekiem wolnym. Nigdy nie poddałem się cenzurze. W chrześcijaństwie na początku urzekła mnie właśnie wolność. Poza Bogiem, ojczyzną, rodziną wolność jest dla mnie najważniejsza. Ale odkąd się nawróciłem, wolność nie jest dla mnie istotniejsza od odpowiedzialności, która polega również na pielęgnowaniu więzów miłości łączących katolików, Polaków i członków naszych rodzin. Antykultura chce te więzi zerwać.

Więzy i wolność – to poddaję Twojej rozprawie. Nie starałem się Ciebie ani musztrować, ani przywoływać do szeregu. Masz wolność mylenia się i błędzenia. Obyś jednak nie wyprowadził z miasta ani jednego jego obrońcy. Bo może właśnie tego jednego zabraknie, by obronić Twoje dzieci przed rewolucyjnymi mordercami sensów czy tęczowymi deprawatorami.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest felietonistą „Gazety Polskiej”.



Można być Polakiem-ateistą czy agnostykiem. Polakiem-muzułmaninem czy buddystą. Można być Polakiem-antyklejkałem, bo czym innym jest wytykanie ludziom Kościoła ewidentnych błędów, czym innym budowanie własnego Kościoła, w którym Adam Michnik jest przynajmniej papieżem. „Gazeta Wyborcza” uderza w wartości będące istotą polskości. Uderza w patriotyzm, wiarę i ukochanie rodziny.



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Na ostatnią chwilę

Dawno, dawno temu, kiedy byliśmy o 20–30 kg lżejsi, Rafał A. Ziemiakiewicz opowiedział mi pewną historię. Otóż on wtedy pracował w porannym programie „Kawa czy herbata”. I bratnie telewizje ZDF oraz TVP miały organizować wspólnie dzień polsko-niemiecki.

I na rok przed tym dniem doszło do wideokonferencji. Niemcy byli bardzo podekscytowani. – Słuchajcie, zostaliśmy już tylko rok! Musimy działać – przekonywali. Polacy byli zdziwieni. – Ej, no przecież mamy jeszcze rok. To kupa czasu – dowodzili.

Przez te lata wiele się zmieniło (nie tylko nasz tonaż), ale wydaje mi się, że zostawianie wszystkiego na ostatnią chwilę wciąż mamy we krwi. Ja co roku, jako Fundacja Akademii Retoryki, organizuję konkursy retoryczne dla licealistów. I zawsze najwięcej zgłoszeń, czyli w tym wypadku filmików z przemówieniami, przychodzi do nas ostatniego dnia eliminacji. E tam, większość. Jakies 90 proc.

Jednego razu dość głupio ustaliliśmy, że kończymy etap eliminacji w sylwestra o 12 w nocy. Sądziłyśmy, że młodzież planująca szampańską zabawę, tak sobie poukłada wszystko, żeby w sylwestra robić się w spokoju na bóstwa i gromadzić trunki. A gdzie tam. Ostatnie filmy wysyłano do nas z imprez, a ten „najostatniejszy” dotarł pięć minut przed północą.

Właściwie w historii tego konkursu tylko jeden czło-

wiek przysłał film z dużym wyprzedzeniem. Nazywał się Kacper Bolewski i nawet uwieczniliśmy jego nazwisko w Fundacji powiedzeniem „Być jak Bolewski”. Co oznaczało, by robić wszystko na bieżąco, bez ociągania się i nie odkładać na później ważnych zadań.

Niestety, bycie jak Bolewski jest bardzo trudne. Niedawno przekonałem się o tym sam. Otóż miałem wygłosić przemówienie na konferencji przygotowanej przez Kancelarię Prezydenta oraz Ministerstwo Edukacji Narodowej. Temat spotkania był więcej niż bliski memu sercu, chodziło bowiem o potrzebę uczenia retoryki w szkołach. Ja zaś miałem przekonać zgromadzoną publiczność, że retoryka to nie przeszłość, lecz kluczowa umiejętność nowoczesnego świata.

Konferencja miała się odbyć w Belwederze, inni występujący byli naprawdę z wysokiej półki, słuchacze byli ważni i bardzo ważni, a mnie zależało na tym, żeby zrobić jak najlepsze wrażenie. Powinienem się zatem jak najlepiej przygotować. I co zrobiłem? Dokładnie to samo, co kiedyś ci, którzy ostatniego dnia składania PIT-ów kłębili się nocą na Pocztę Główną. Odwlekałem całą sprawę, bimbałem sobie, marnotrawiłem czas. Aż w końcu musiałem zarwać nockę i następnego dnia byłem na konferencji średnio przytomny. Ale dałem radę.

Ach, jakże arcy-polsko się wtedy czułem! ☺☺



MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

O wyższości

Zamiast dowodzić np. wyższości partii A nad partią B, przyszło mi do głowy napisać o czym innym. O wyższości naszej pocziwej „Trylogii” nad „Trzema muszkietierami”. Jako dziecko fascynowałem się wszystkimi tymi powieściami i nie widziałem między nimi specjalnych różnic – obie mówiły praktycznie o tym samym – o przyjaźni, honorze, odwadze, wierności. Skrzetuski, Wołodyjowski, Podbięta, Zagłoba nie są szczególnie odlegli od Portosa, Atosa, Aramis i d’Artagnana, a Rzędzian starczy za czwórkę służących. Może tylko kobiety są mniej cnotliwe, a poza tym? Przecież różnica jest kolosalna – bohaterowie ćwierć-Murzyna Dumasa służą królowi, kardynałowi, Annie Austriaczce, a nawet wrogom państwa w imię zasad, czasem dlatego, że im się opłaca. Mogą uratować honor królowej, są bliscy zamianie Ludwika XIV na jego brata bliźniaka, ale w dalszej perspektywie dziejowej nie ma to żadnego znaczenia. W każdej perspektywie dziejowej Francja pozostaje Francją – mocarstwem i ośrodkiem kultury.

Henryk Sienkiewicz, syn zniewolonego narodu, wie, że w tym samym XVII w. jego kraj rozpoczął bój o wszystko, a żołnierze Jaremy podejmują walkę, która trwać będzie przez następne pokolenia, sam zaś mistrz Henryk nie dożyje szczęśliwego finału. Umrze w Szwajcarii na obczyźnie w 1916 r., nie wierząc

w sukcesie legionowego zryw. Muszkietierowie pana de Trévillé’a z kawaleryjską fantazją zdobywają bastion La Rochelle, aby okryć się sławą i w spokoju zjeść obiad. Obrona Zbaraża, Częstochowy, Kamieńca decydują, czy potomkowie Skrzetuskiego i Kmicica (Wołodyjowski umrze bezpotomnie) będą Polakami, chrześcijanami, kontynuatorami tradycji łacińskiej. I w każdym pokoleniu będą musieli zdawać egzamin z polskości: w konfederacji barskiej, zrywach powstańczych, na emigracji, na polach pod Radzyminem, nad Bzurą, pod Tobrukiem, Monte Cassino. W dołach śmierci pod Smoleńskiem. Każdy będzie miał swoje własne Westerplatte. Nie deprecjonuję Francuzów, choć więcej ofiar przyniosły im własne rewolucje niż XX-wieczne wojny. Nie przypadkiem kolejne pokolenia Polaków przybierały jako bojowe pseudonimy nazwiska Bohunów i Kmiciców.

Gdybyśmy jeszcze umieli opowiadać naszą historię, wydobywając z niej to, co szlachetne i zwycięskie, tak jak to czynił autor „Krzyżaków”, i znaleźlibyśmy na to atrakcyjny sposób, tak jak kiedyś nasz pierwszy noblista, podbiliśmy wyobraźnię świata. Obejrzałem w kinie nasze ostatnie produkcje filmowe – solidne, rzetelne. Sam się nawet wzruszyłem, tyle że było nas w kinie pół tuzina. Jak zafascynować świat, kiedy nie umiemy zafascynować sami siebie? Na razie wygrywają „Muszkietierowie”. ☺☺

Inwestycje na właściwych torach



FOT. MATERIAŁ PRASOWY

PKP Intercity realizują największy program inwestycyjny w swojej historii. W ramach strategii „PKP Intercity – Kolej Dużych Inwestycji” do 2023 r. na zakup nowych wagonów i lokomotyw oraz modernizację taboru już posiadanego, a także na stacje postojowe spółka przeznaczy ok. 7 mld zł.

Tylko w ostatnim czasie spółka rozszerzyła umowę na dostawę 20 lokomotyw Griffin z nowosądeckim Newagiem. W ramach prawa opcji producent dostarczy 10 dodatkowych pojazdów. Tym samym PKP Intercity otrzymają łącznie aż 30 nowoczesnych lokomotyw elektrycznych mogących poruszać się z prędkością 160 km/godz., a wartość zamówienia wynosi ponad pół miliarda złotych brutto. Pierwsze elektrowozy poprowadzą pociągi PKP Intercity do końca bieżącego roku. Przewoźnik modernizuje także posiadane wagony. Już teraz pasażerowie mogą skorzystać z 60 wagonów przedziałowych drugiej klasy zmodernizowanych przez H. Cegielski – Fabrykę Pojazdów

Szynowych w Poznaniu oraz 10 wagonów przedziałowych pierwszej klasy, których przebudowę wykonało konsorcjum Pesa Bydgoszcz i ZNTK Mińsk Mazowiecki. Kolejnych 30 wagonów modernizowanych przez poznańskiego producenta sukcesywnie wyjeżdża na tory. Ten sam wykonawca zrealizuje dla PKP Intercity jeszcze dwa inne kontrakty: budowę 81 nowych wagonów przeznaczonych do obsługi połączeń ekspresowych oraz przebudowę 10 wagonów na wagony restauracyjne. Modernizacją wagonów zajmuje się także Pesa Bydgoszcz. PKP Intercity skorzystały z prawa opcji przy trzech zawartych umowach, dzięki czemu pasażerowie zyskają 245 komfortowych wagonów, w tym pierwsze

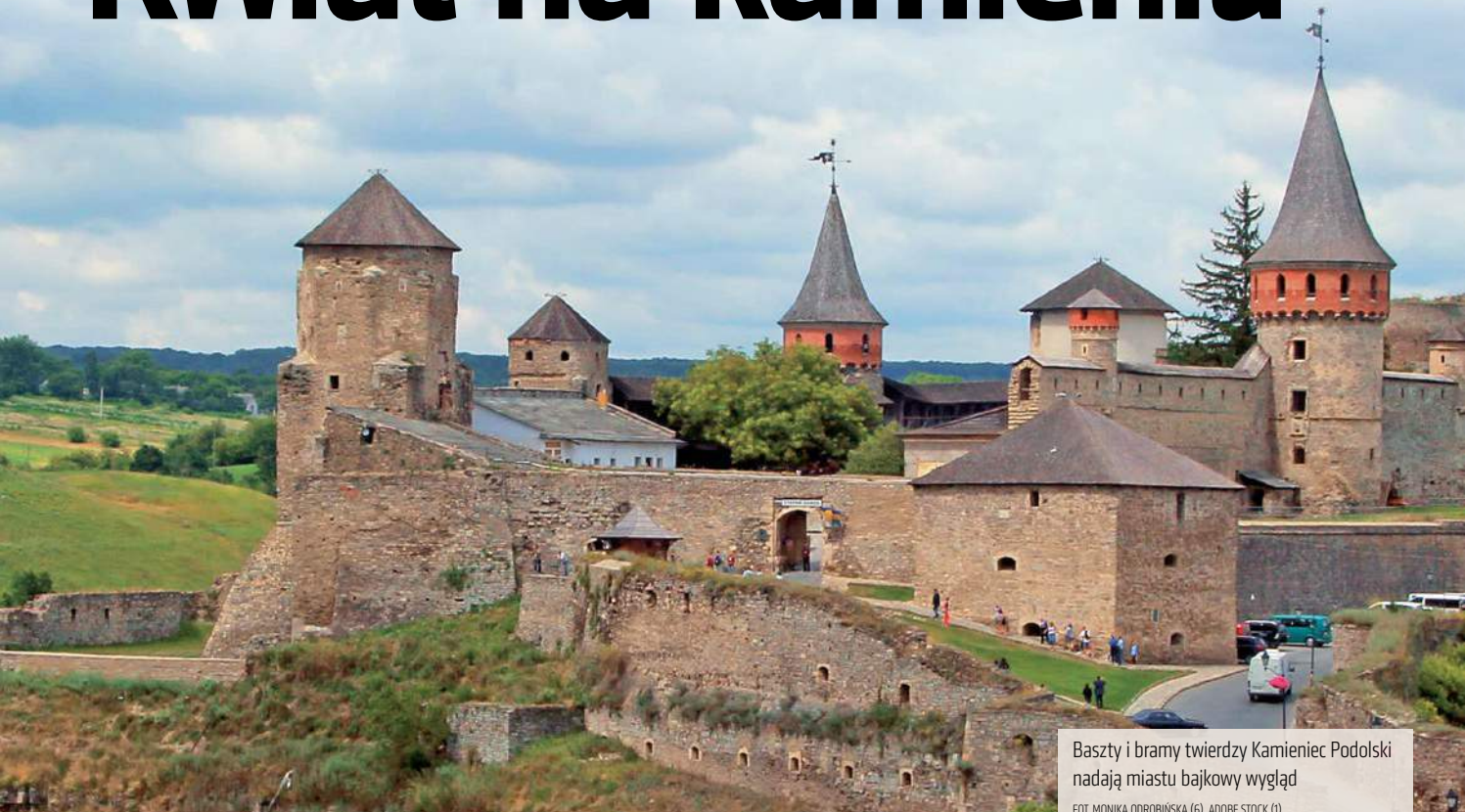
w Polsce wielofunkcyjne wagony COMBO. Ponadto latem br. PKP Intercity podpisały z producentem umowę na modernizację elektrycznych zespołów trakcyjnych, dzięki której 14 jednostek ED74 będzie mogło ponownie zabrać na swój pokład pasażerów. Całkowitą nowością będzie natomiast 12 nowych elektrycznych zespołów trakcyjnych, które wyprodukuje dla przewoźnika Stadler Polska w swojej siedleckiej fabryce. Wartość zamówienia wynosi ponad miliard złotych brutto i stanowi istotną część realizowanego programu taborowego. Nowe pojazdy będą przypominały wyglądem używane obecnie jednostki Flirt i uzupełnią siatkę połączeń oferowanych w ramach kategorii InterCity.

W 2018 r. i w pierwszych trzech kwartałach 2019 r. spółka zrealizowała istotną część tego programu. Wartość dotychczas zakontraktowanych inwestycji w ramach największej w historii spółki strategii taborowej wzrosła do ponad 4 mld zł brutto. PKP Intercity

równolegle dbają o zabezpieczenie zaplecza technicznego. W 2019 r. PKP Intercity prowadzą ponad 76 inwestycji infrastrukturalnych w zakresie stacji postojowych i infrastruktury towarzyszącej, mających na celu wzrost efektywności i komfortu realizowanych przewozów.

W sumie, w ramach strategii do 2023 r., PKP Intercity zmodernizują ponad 700 wagonów i kupią 185 nowych. Pasażerowie skorzystają także z 12 nowych i 14 zmodernizowanych elektrycznych zespołów trakcyjnych. Ponadto przewoźnik kupi 118 i zmodernizuje blisko 200 lokomotyw elektrycznych i spalinowych. Część pojazdów będzie przystosowana do prędkości 200 km/godz. lub wyższej. Tak szeroko zakrojony program inwestycyjny może być realizowany dzięki pozyskanym środkom unijnym w ramach „Programu Operacyjnego Infrastruktura i Środowisko 2014-2020” oraz niedawno udzielonemu spółce kredytowi przez Europejski Bank Inwestycyjny.

Kwiat na kamieniu



Monika Odrobińska

Mija 320 lat od odzyskania z rąk tureckich Kamieńca Podolskiego. Choć od rozbiorów nie należy on już do Polski, to każdy kamień mówi tu albo o chwale, albo o krwi Polaków

Kiedy w 1621 r. pod Kamieniec podjechały wojska tureckie i sułtan Osman II zobaczył skałę, wokół której wiała się rzeka Smotrycz, spytał podwładnych, kto tę twierdzę wybudował. „Sam Allah” – usłyszeli. „Niech więc sam Allah ją zdobywa” – odrzekł i wycofawszy wojska, ruszył na Chocim.

Dzięki naturalnemu położeniu oraz technice leżące w dolinie rzeki jary w czasie oblężeń zamieniały się w trudne do zdobycia jezioro. Wiodące do miasta dwie bramy pełniły m.in. funkcję obronną – były

połączone z urządzeniami hydrologicznymi i umożliwiały spiętrzanie wody oraz odcięcie miasta od napastników. W ten sposób południowo-wschodnia granica RP, a zarazem Europy, była chroniona przed islamskimi i kozackimi zakusami.

Raz jednak – w 1672 r. – wojska polskie poddały zamek. Wtedy to wysadzono w powietrze prochownię – zginął jego komendant Jerzy Wołodyjowski. Miasto dostało się we władanie tureckie. „Choć wydawało się niepodobnym, aby jaka inna ręka prócz boskiej mogła zburzyć to orle gniazdo na szczycie otoczonych pętlą rzeki wiszarów uwię” – pisał Sienkiewicz w „Panu Wołodyjowskim”. Pisarz na Podolu nigdy nie był, choć rozstawił je na cały świat.

– Dzisiaj Kamieniec Podolski stanowi jeden z punktów na mapie Państwa Islamskiego, na której oznaczono miejsca przelanej krwi muzułmańskiej, z tego tytułu rzekomo przynależne ISIS – mówi Aleksander Buczkowski, historyk, dziennikarz, nauczyciel i lokalny aktywista o polskich korzeniach. – Utrata tej „perły

w koronie RP”, jak nazywano Kamieniec, była dla Polski XVII w. ogromną stratą. Wróciła do niej dopiero na mocy traktatu karłowickiego w 1699 r.

Do miasta można było wjechać przez stojące w nim dotąd dwie bramy: ruską i polską oraz mostem tureckim, wyznaczającymi kierunki, z których tu przybywano. Od kiedy Kamieniec uzyskał prawa miejskie (1374 r.), mieszkali tu zgodnie trzy główne grupy etniczne: Polacy, Rusini (czyli Ukraińcy) i Ormianie. Każda miała swoją świątynię, wójta i sądy.

– Wjeżdżającym od strony Lwowa przez bramę polską ukazywała się „ściana” 13 kościołów katolickich, które zdawały się mówić: „To miasto katolickie, a więc polskie” – opowiada Aleksander Buczkowski. Kamieniec Podolski określany był nawet mianem przedmurza chrześcijaństwa i bramą do Polski. Spośród świątyń, m.in. karmelitów, jezuitów, św. Katarzyny, franciszkanów, dominikanek, dominikanów (dziś paulinów) oraz katedry św. Piotra i Pawła, do dziś dotrwały tylko dwie ostatnie. Posługują

w nich głównie polscy księża i w każdym z nich część mszy św. odprawiana jest po polsku.

MARYJA NA MINARECIE

Jednak nie zawsze tak było. Po zdobyciu miasta przez Turków w owym 1672 r. wszystkie kościoły przekształcono w meczety. W niektórych do dziś znajdziemy osobliwe „pamiątki” z tamtych czasów: u dominikanów to ambona z islamskimi inskrypcjami, co ciekawe, wykonana z jednego kawałka marmuru dla tureckiego mułły. Druga to ewenement na skalę światową – przed katedrą św. Piotra i Pawła stoi minaret. Jego zwieńczenie stanowi przywieziona w 1756 r. z Gdańska 4,5-metrowa pozłacana figura Matki Bożej.

Główny plac Starego Miasta to tzw. polski rynek. Mieszkała tu głównie polska społeczność, tu stoi też renesansowo-barokowy ratusz. Kiedy po drugim rozbiore w 1793 r. Podole przeszło we władanie Rosji, 2 maja – po odebraniu twierdzy i budynków, na których zawisły rosyjskie flagi – z zamku oddano 101 salw armatnich.

Polacy na Podolu aktywnie popierali powstanie listopadowe, po nim jednak – i potem po powstaniu styczniowym – zamknięto wszystkie polskie szkoły i klasztory, zakazano języka polskiego. Kamieniec klasztor Dominikanek stał się koszarami, a kościół – salą balową klubu oficerskiego.

Rocznica w tym roku jest jeszcze jedna: w okresie wojny polsko-bolszewickiej od 16 listopada 1919 r. do 12 lipca 1920 r. Kamieniec – jako stolica okręgu podolskiego – pozostawał pod polską administracją. Jak do tego doszło? Kiedy upadł carat, Kamieniec chcieli zdobyć Polacy, Ukraińcy i bolszewicy. – Symon Petlura poprosił wówczas marszałka Piłsudskiego o wojska polskie do obrony miasta. Przesłane oddziały Mieczysława Ludwika Boruty-Spiechowicza nie wpuściły tu ani „czerwonych”, ani „białych” – mówi Aleksander Buczkowski. – Kamieniec mógł być częścią II RP, ale Roman Dmowski odmówił – stał na stanowisku, że im więcej w granicach Polski osób narodowości niepolskiej, tym gorzej. Mimo to w 1939 r., choć od 146 lat Kamieniec nie należał do Polski, 20 proc. jego mieszkańców stanowili Polacy. Dzisiaj Polakiem lub potomkiem Polaków jest co dziesiąty.

W lipcu 1920 r. – w wyniku traktatu ryskiego – Kamieniec dostał się w ręce



Tablice z dawnych polskich cmentarzy

bolszewików. Komuniści zniszczyli wiele zabytków, m.in. wysadzili katedrę ormiańską, w kościele Dominikanek urządzili spichlerz, w trzynitarskim – magazyn garnizonu, a w katedrze św. Piotra i Pawła – muzeum. W klasztorach Dominikanek i Franciszkanów utworzyli więzienia, w których piwnicach do dziś znajdują się szkielety zamęczonych. Powstaje tam muzeum męczenników.

Polacy mieszkający na zdobytych przez bolszewików terenach doznawali wielu prześladowań. Jedną z odpowiedzi m.in. na powstanie polskich chłopów sprzeciwiających się kolektywizacji wsi był wielki głód lat 1932–1933. Ci, których nie zagłodzono, zostali deportowani lub „dobici” w ramach

tzw. operacji polskiej NKWD w latach 1937–1938.

ATEIZM W KATEDRZE

Lekcję polskiej historii można wyczytać także ze ścian i z okolic katedry św. Piotra i Pawła. Prowadzący do niej łuk triumfalny jest pamiątką przybycia tu Stanisława Augusta Poniatowskiego 11 listopada 1781 r. – W miejscu dzisiejszego placu naokoło katedry był cmentarz artyleryjski – mówi Aleksander Buczkowski. – Niektórzy badacze twierdzą, że tu właśnie spoczywały zwłoki płk. Jerzego Wołodyjowskiego. Inni twierdzą, że w podziemiach świątyni franciszkanów.

Przy katedrze znajduje się pomnik poświęcony komendantowi tutejszego zamku: „Pamięci pana pułkownika Jerzego Wołodyjowskiego, hektora kamienieckiego. Życie to szereg poświęceń”. Ma kształt ściętego dębu – symbolu niezłomnych wojowników.

Przechadzając się po placu, napotkamy tablice poświęcone innym zasłużonym Polakom: Zofii Kossak-Szczuckiej – która w Kamieńcu przeżyła początki rewolucji 1917 r.; gen. Mariuszowi Zaruskiemu – „synowi Podola i wychowawcy harcerzy, organizatorowi TOPR-u”; Antoniemu Fedorowiczowi – urodzonemu tu prezydentowi Otwocka, który nie zapomniał o swoich korzeniach i wspierał tutejszych ubogich oraz katedrę.

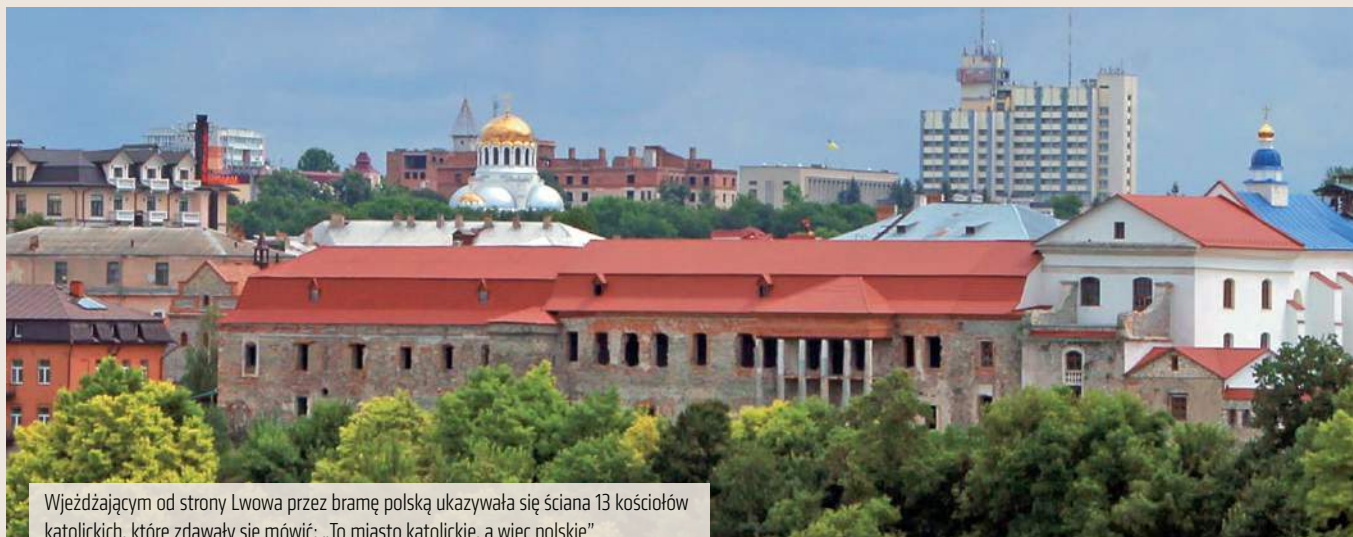
Wewnątrz XIV-wiecznej świątyni – także po polsku – jedna z tablic przypomina o bp. Adamie Stanisławie Krasińskim – współautorze Konstytucji 3 maja; inna – o bp. Piotrze Mańkowskim, który od 1902 r. był proboszczem katedry i biskupem kamienieckim prześladowanym



Pomnik upamiętniający płk. Jerzego Wołodyjowskiego. Henryk Sienkiewicz, który rozstawił Podole na cały świat, tak naprawdę nigdy na nim nie był

PAMIĘCI
PANA PUŁKOWNIKA
JERZEGO
WOŁODYJOWSKIEGO
HEKTORA
KAMIEŃCIECKIEGO

ŻYCIE
TO SZEREK
POŚWIECEN



Wjeżdżając od strony Lwowa przez bramę polską ukazywała się ściana 13 kościołów katolickich, które zdawały się mówić: „To miasto katolickie, a więc polskie”



Łuk triumfalny postawiony na pamiątkę przybycia do Kamieńca Podolskiego króla Stanisława Augusta Poniatowskiego



Ewangelium na skalę światową – przed katedrą św. Piotra i Pawła stoi minaret. Jego zwieńczenie stanowi przywieziona w 1756 r. z Gdańska 4,5-metrowa pozłacana figura Matki Bożej

przez cara i ateistów. Był nieocenionym pasterzem rozproszonych tułaczy.

Innym zasłużonym duchownym, wspominanym w katedrze, jest bp Jan Olszański, o którym Jan Paweł II mówił: „pasterz i twierdza ludu Bożego” – w trudnych czasach komunistycznych represji wobec chrześcijan ukrywany po domach odprawiał msze św. i był z ludźmi. Kolejna wymowna tablica upamiętnia Golgotę Wschodu jednym prostym przesłaniem: „Pomóż przebaczyć”.

Katedra przetrwała dzięki temu, że w czasach sowieckich została zagospodarowana na muzeum... ateizmu. Przypomina o tym gabłota poświęcone prześladowaniom kleru i wiary w czasach rosyjskich i sowieckich. Zobaczymy tu pamiątki z różnych kościołów Podola i rzeczy osobiste bp. Olszańskiego. – Co ciekawe, po upadku komunizmu katedra wcale nie od razu wróciła w ręce Kościoła. Od lat 90. XX w. podlegała mu tylko czę-

ściowo, w drugiej połowie była własnością miasta – za czasów wolnej Ukrainy muzeum ateizmu zastąpiło muzeum religii, jeszcze w 2016 r. byli tam pracownicy placówki; teraz jest już wyłącznie obiektem sakralnym – mówi Aleksander Buczkowski. – Niestety, wiele cennych polskich pamiątek z czasów I RP spłonęło w pożarze budynku archiwum w 2003 r. W okolicy Kamieńca, jak i w wiele miejsc za naszą wschodnią granicą, od 10 lat przybywają wolontariusze skupieni



W Kamieńcu Podolskim znajduje się szkoła, w której uczniowie mogą się uczyć także po polsku

wokół akcji „Mogile pradiada ocal od zapomnienia”. Przez kilkanaście dni porządkują stare polskie cmentarze, którymi nie ma już komu się zająć. To akcja z Dolnego Śląska – mogiły porządkują potomkowie osób urodzonych na Kresach, głównie gimnazjaliści i licealiści. – Do Kamieńca docierają też motocykliści w ramach Rajdu Katyńskiego, w ogóle język polski jest tu wśród przyjezdnych najczęstszy – podsumowuje Aleksander Buczkowski.

Jeśli na Stare Miasto spojrzeć z lotu ptaka, to widać, że układa się w kształt litery omega. – Wynika to z kształtu rzeki Smotrycz, która zatacza krąg wokół wyspy, by znów wpaść do Dniestru – mówi Aleksander Buczkowski. – Na 120 ha Starego Miasta leżą dzielnice: polska w centrum, ormiańska z lewej i ukraińska z prawej strony. Na Kamieniec mówi się też „kwiat na kamieniu”. To od aurinii – żółtych kwiatów porastających skaliste zbocze twierdzy. Jej baszty i bramy nadają miastu bajkowy wygląd. Wielość określeń używanych wobec tego miasta – „przedmurze chrześcijaństwa”, „brama do Polski”, „Jerozolima Wschodu”, o czym niżej, „kwiat na kamieniu”, „orle gniazdo”, „baszta ręką Boga zbudowana” – świadczy o jego bogactwie.

– Latami pokojowo współegzystowało tu wiele narodów i religii, których obecność podkreślały cerkwie, meczety, synagogi i kościoły. – Drugim miejscem takiego przenikania się kultur jest jeszcze Jerozolima, dlatego Kamieniec Podolski nazywany jest także Jerozolimą Wschodu – mówi Aleksander Buczkowski. – To przecież także ziemia święta, na której ludzie oddawali życie za wiarę. Uważam, że jak muzułmanie raz w życiu mają obowiązek pielgrzymować do Mekki, tak Polacy choć raz w życiu powinni zawitać w Kamieńcu Podolskim.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autorka jest dziennikarką tygodnika „Dziemi”.

DRAMATYCZNA HISTORIA POLSKI W UJĘCIU WYBITNYCH AUTORÓW

Najwyższy poziom edytorski

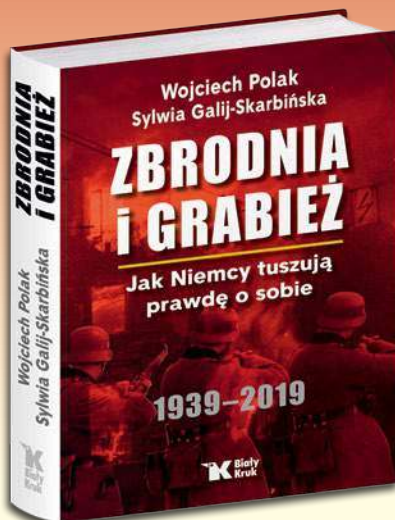


80 ilustracji,
312 str., 16,5 x 23,5 cm,
papier 130 g, twarda oprawa
Cena detal. 59 zł/egz. (z VAT)

Polska w roku 2005 przeżyła reset lewicowych i liberalnych rządów; wydawało się, że postkomuniści przegrali i już nie wrócą. A jednak zaledwie po dwóch latach wszystko się odmieniło i już w 2007 roku III RP znalazła się na drodze do nowej gospodarczej i moralnej targowicy.

Jak do tego mogło dojść i ile zła musiało się jeszcze wydarzyć, nim Polacy w 2015 roku powrócili na patriotyczny szlak, opisuje książka wybitnego intelektualisty i historyka współczesności prof. Wojciecha Roszkowskiego. Jest ona nie tylko ciekawie napisaną, mądrą pracą historyczną, ale też bardzo poważnym ostrzeżeniem.

Afery polityczne, przestępstwa gospodarcze, rabunek VAT-u, brudne transakcje.



170 dokument. ilustracji,
528 str., 16,5 x 23,5 cm,
papier 120 g, twarda oprawa
Cena detal. 72,45 zł/egz. (z VAT)

Dramatyczna panorama trudnych relacji polsko-niemieckich po 1939 roku opowiada o ludobójstwie dokonany przez III Rzeszę – Niemcy wymordowali 6 milionów naszych obywateli, wywozili masowo naszych rodziców i dziadków na roboty przymusowe w głąb Rzeszy, terroryzowali i poniżali Polaków, więzili ich i torturowali w obozach koncentracyjnych, zniszczyli setki polskich miast i tysiące wsi, zrabowali nasze skarby narodowe, dzieła sztuki, aktywa bankowe, zakłady przemysłowe, wywieźli do Rzeszy w celu zniemczenia 200 tysięcy polskich dzieci.

Te zbrodnie i grabieże nigdy nie zostały odpowiednio ukarane. Ponadto opisane są dzisiejsze zakłamane relacje polsko-niemieckie.



170 ilustracji,
312 str., 16,5 x 23,5 cm,
papier 150 g, twarda oprawa
Cena detal. 59 zł/egz. (z VAT)

Dla Polski rok 1939 był rokiem przełomowym; przede wszystkim tragicznym. Zanim jednak doszło do tego wielkiego kataklizmu, Polska dynamicznie się rozwijała! W styczniu pilot Tadeusz Góra został uhonorowany najwyższym odznaczeniem szynobniczym Międzynarodowej Federacji Lotniczej. W lutym w Zakopanem odbyły się Narciarskie Mistrzostwa Świata; w tym samym czasie z wizytą w Polsce przebywał reichsführer SS Heinrich Himmler. W wartkiej narracji autorzy rekonstruują tamten czas, z zapomnienia wyciągają mniej znane fakty. Opisuąc ważne historyczne epizody pozwalają zrozumieć kontekst tamtej epoki, w której Polska odegrała główną rolę. Europa gwałtownie przeszła od beztroski do tragedii.

DLA CZYTELNIKÓW „DO RZECZY” **KSIĄŻKA 35% TANIEJ!** WEJDŹ NA STRONĘ
WWW.BIALYKRUK.PL I WYKORZYSTAJ KOD RABATOWY **DORZECZY35**



Biały Kruk Sp. z o.o., ul. Szwedzka 38, 30–324 Kraków, tel.: 12/260 32 90, 12/254 56 26,
12/254 56 19; e-mail: dystrybucja@bialykruk.pl

Przy zamówieniu na kwotę powyżej 120 zł koszty przesyłki (14 zł) ponosi wydawnictwo.

Alianci pomogli Polsce

Alianci zachodni zwyczajnie nie mieli środków i sił, aby pomóc Polsce bardziej, niż to faktycznie uczynili

Szanowny Panie Redaktorze, z wielką uwagą przeczytałem pański artykuł na temat „matni”, w której znaleźli się Polska i Polacy w 1939 r. („W matni”, „Do Rzeczy” nr 38/2019). Cieszę się, że taki artykuł powstał, zwłaszcza w piśmie, którego dwaj redaktorzy są czołowymi przedstawicielami wizji historycznej „paktu Ribbentrop-Beck”. Zanotowałem wiele celnych spostrzeżeń i wniosków.

Właśnie z tego względu chciałbym zwrócić uwagę na kilka błędów, które pomimo włożonej pracy znalazły się w Pańskim artykule. Na ostatniej stronie stwierdził Pan, że: „dziś wiemy, że ani rząd brytyjski, który w marcu udzielił gwarancji Polsce, a 25 sierpnia zawarł z nią sojusz, ani rząd

francuski, który zgodnie z dawno zawartym układem sojuszniczym obiecywał rozpoczęcie ofensywy na Zachodzie najpóźniej w połowie września, nie zamierzały wywiązać się z militarnych zobowiązań”. Dalsza część akapitu jest odniesieniem do zawartej w powyższym cytacie tezy.

Zarówno Francuzi, jak i Brytyjczycy wywiązali się ze wszystkich zobowiązań traktatowych. 2 września ogłoszono mobilizację. 7 września pierwszych dziewięć dywizji francuskich przekroczyło granicę i wypchnęło Niemców z terytoriów przygranicznych, docierając do głównej linii umocnień, 8 km w głąb Niemiec. Z kolei Brytyjczycy 3 września zrzucili ulotki ostrzegające przed nalotami, które rozpoczęły 4 września, bombardując Cuxhaven, Dortmund i Wilhelmshaven, uszkadzając w trakcie nalotów krążowniki „Admiral Sheer” i „Emden”. 17 września wojska francuskie planowały przeprowadzić zebrany mi siłami trzech armii pierwsze uderzenie

na linię Zygfryda. Jednakże zanim padł rozkaz, dowiedziano się o sowieckiej inwazji na Polskę i przegranej nad Bzurą. W takiej sytuacji jasne się stało, że jakiegokolwiek działania militarne są bezcelowe, a Polska i tak jest przegrana, więc ofensywę odwołano. Postąpiono prawidłowo, bowiem po 17 września nie można było już mówić o jakimkolwiek spójnym froncie armii polskiej, a jedynie o wygaszaniu kolejnych ognisk oporu.

Należy zaznaczyć, że pomimo nieprzygotowania do wojny Francja i Wielka Brytania rzuciły wszystkie dostępne siły do walki i rozpoczęły natychmiastową mobilizację. Ponadto ofensywa ta nie miała w żadnym wypadku „ratować” Polski, a jedynie odciągnąć część wojsk z frontu polskiego, co też miało miejsce. Sam gen. Kutrzeba mówił, że aby odczuć efekty ofensywy, trzeba będzie poczekać od sześciu do ośmiu tygodni. Niemcy po zostawili na zachodniej granicy 42 dywizje

Matnia '39



Maciej Rosalak

Francja nie zamierzała naprawdę odciążyć walczących Polaków

Szanowny Panie, dzięki za uważną, życzliwą lekturę mojego tekstu, a także za krytyczne, ale uzasadniane merytorycznie uwagi. Toteż pozwolę sobie na kilka uwag do uwag. Nie sądzę, aby zmieniały one istotę oceny postawy aliantów zachodnich wobec Polski w 1939 r. Francja nie zamierzała przeprowadzić we wrześniu 1939 r. wielkiej, skutecznej ofensywy, która rzeczywiście odciążyłaby walczących w śmiertelnych zmaganiach Polaków. Ofensywa w Saarze,

przeprowadzona w końcu pierwszej dekady września, została wstrzymana, gdy tylko wojska francuskie, po przebyciu kilku kilometrów, doszły do linii Zygfryda.

O stanowisku francuskim świadczą wypowiedzi miarodajnych wojskowych. Szef brytyjskiego imperialnego sztabu generalnego – gen. Edmund Ironside – zanotował latem 1939 r. w swym dzienniku: „Francuzi okłamują Polaków, mówiąc, że zamierzają przystąpić do ataku. Taka koncepcja w ogóle nie istnieje”.

Szef francuskiej misji wojskowej w Polsce – gen. Loui Faury – po rozmowie, którą 22 sierpnia przeprowadził z szefem sztabu generalnego obrony narodowej, a od września 1939 r. głównodowodzącym wojsk we Francji Maurice'em Gamelinem, wspominał: „Poruszam następnie kwestię, która nie dawała mi spokoju... Jeśli Polska stanie

się przedmiotem agresji, to jedynie ofensywa wojsk francuskich będzie w stanie zmusić Niemców do zelżenia ich duszącego uścisku. W jakim terminie rozpocznie się ta ofensywa? Milczenie. Następnie [uczeszczający w rozmowie] gen. Georges daje do zrozumienia, że armia francuska nie jest zdolna do podjęcia ofensywy i że nie ma możliwości określenia terminu, w którym będzie ona gotowa do działania na wielką skalę. Do tego czasu mogą wchodzić w rachubę jedynie defensywne lub ograniczone działania zaczepne. Gdy nie mogę ukryć mego rozczarowania, gen. Gamelin dorzuca po prostu tych kilka słów: »Trzeba, aby Polska trwała«.

No i trwała dopóty, dopóki armia zdolna była walczyć. Czy to jej wina, że nie mogła wytrzymać dwóch miesięcy, jak przewidywano, co jakby wyrzucał jej Czy-



Wojska francuskie miały uderzyć na Linie Zygfrida. Zanim padł rozkaz, Polacy przegrali nad Bzurą (na fotografii) FOT. FOKA/FORUM

i połowę swojego lotnictwa (dwie z czterech Luftflotten). Ponadto dość szybko zaczęli przerzucać dywizje z Polski właśnie na Zachód. Do 16 września przerzucono ich sześć, z czego pierwszą 12 września. Ponadto Belgia odmówiła prawa przemaszowania wojskom francuskim i w związku z tym Francja zmuszona była uderzać na wąskim odcinku wspólnej granicy z Niemcami – tam, gdzie obrona była najsilniejsza.

Powołał się pan również na protokół z Abbeville. Problem polega na tym, że istnieją cztery wzajemnie sprzeczne wersje tego protokołu, a zachowanie uczestników tej konferencji – zarówno przed nią, jak i po niej – sugeruje, że wcale nie

przekreślili chęci pomocy Polsce. Ponadto konferencja w Abbeville nie była tajna w żaden sposób ani przed Polakami, ani przed kimkolwiek innym. Była jedynie rodzajem forum wymiany poglądów, dyskutowanych wcześniej w cztery czy lub w mniejszym gronie. Informacje o niej były ogólnodostępne w brytyjskiej prasie, a Polaków nie zaproszono głównie ze względu na pośpiech, obrady były robione „na szybko” i nie miały nawet ustalonego porządku dziennego. Konferencja nie była także w żadnym stopniu decyzyjna czy przesądzająca, a jej uczestnicy mieli często sprzeczne poglądy i próbowali ustalić wspólny plan działania.

Alianci zachodni zwyczajnie nie mieli środków i sił, aby pomóc Polsce bardziej, niż to faktycznie uczynili. Zaznaczyć należy, że wypełnili wszystkie zobowiązania sojusznicze i zachowali się zgodnie z traktatami. Można mieć ewentualne pretensje o ostateczne wycofanie ofensywy z 17 września, ale błędnie to w porównaniu z zaniedbaniami strony polskiej. Polska bowiem zobowiązała się do utrzymania przez dwa miesiące, a efekty tych obietnic są nam wszystkim znane.

Jeżeli miałby Pan jakieś wątpliwości co do moich twierdzeń lub był zainteresowany ich rozszerzeniem, proszę o odpowiedź.

Łukasz Skrzyński

telnik? A ile wytrwała Francja w 1940 r., mając pod każdym względem większe siły niż Niemcy i doświadczenia blitzkriegu w Polsce?

Wreszcie szef sztabu dowodzenia OKH (Wehrmacht), gen. Alfred Jodl, na procesie norymberskim stwierdził, że „do roku 1939 byliśmy oczywiście w stanie sami rozbić Polskę. Ale nigdy – ani w roku 1938, ani w 1939 – nie zdołalibyśmy naprawdę sprostać skoncentrowanemu wspólnemu atakowi tych państw [Wielkiej Brytanii, Francji, Polski]. I jeśli nie poznaliśmy klęski już w roku 1939, to należy to przypisać jedynie faktowi, że podczas kampanii polskiej ok. 110 dywizji francuskich i brytyjskich pozostało kompletnie biernych wobec 23 dywizji niemieckich”.

Wyjaśnijmy, że Wehrmacht na początku września dysponował na froncie

zachodnim tylko tymi 23 dywizjami i tylko te były pierwszoliniowymi. Pozostałe dotarły na front w drugiej połowie września, przy czym osiem było drugorzutowych i 11 rezerwowych. W momencie wypowiedzenia wojny przez Sprzymierzonych nadal znajdowały się one na poligonach. Natomiast wypowiadając wojnę, Francuzi dysponowali na tym tylko froncie w pełni zmobilizowanymi 65 dywizjami („Das Deutsche Reich und der Zweite Weltkrieg”, wyd. Militärisches Forschungamt, Stuttgart 1979). Od 4 września granice Belgii obsadzało poza tym 152 tys. żołnierzy Brytyjskiego Korpusu Ekspedycyjnego.

Po konferencji w Abbeville 12 września (bitwa nad Bzurą dopiero się zaczęła) premierzy alianccy zmienili – bez zasięgnięcia zdania Polaków – ustalenia przyjęte

19 maja 1939 r. w aneksie do polsko-francuskiej konwencji wojskowej z 1921 r. oraz w protokole politycznym do konwencji, ratyfikowanym w Paryżu 4 września 1939 r. Po prostu zrezygnowali z uderzenia na Niemcy i już. A Polacy niech się dalej biją i giną... Lotnictwo alianckie nie bombardowało fabryk zbrojeniowych (To przecież własność prywatna! – ostrzegał pewien parlamentarzysta brytyjski) czy linii komunikacyjnych w Niemczech. A Sowieci najprawdopodobniej wbili nam nóż w plecy m.in. dlatego, że alianci na Zachodzie nie natarli.

A tak na marginesie: nie jestem w piśmie przedstawicielem wizji historycznej „paktu Ribbentrop-Beck”. Wręcz przeciwnie – czemu nieraz dawałem wyraz w mowie i w piśmie. Tak jak na przykład w omawianym artykule.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Koszmar dzieci Wołynia

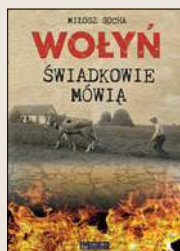
Relacje ocalałych z ludobójstwa na Wołyniu należą do najbardziej wstrząsających dokumentów XX w. Tej najmroczniejszej epoki w dziejach rodzaju ludzkiego. Epoki komór gazowych, łagrów, masowych rozstrzeliwań, a także... siekier i maczet.

Tak, trudno to sobie wyobrazić. Trudno w to uwierzyć. W tym samym stuleciu, w którym człowiek polecał na Księżyc, a ludzkość zrobiła tak niebywały skok technologiczny, w niektórych zakątkach naszej planety ludzie zarzynali swoich bliźnich za pomocą prymitywnych narzędzi rolniczych. I to na masową skalę.

Cały świat wie o przerażającym ludobójstwie, do którego doszło w 1994 r. w Rwandzie. Członkowie plemienia Hutu w morderczym szale zasiekli tam maczetami setki tysięcy swoich sąsiadów z plemienia Tutsi. Mało kto jednak wie, że podobne straszliwe sceny rozegrały się w 1943 r. w sercu Europy. Na terenie Wołynia.

Opowieści ludzi, którzy przeżyli to piekło, rozdzierają serce. Czyta się je niezwykle trudno, ale czytać je trzeba. Ich cierpienie nie może zostać bowiem zapomniane. Dlatego właśnie należy cenić, że na rynku pojawiła się kolejna książka zawierająca świadectwa ocalałych – „Wołyń. Świadkowie mówią” pana Miłosza Sochy.

W niej znajdują państwo pięć wstrząsających wywiadów z ludźmi, którzy byli świadkami banderowskich zbrodni. Czterech kobiet i jednego mężczyzny. Posłuchajmy jednej z nich, pani Ireny Łęckiej z domu Ziętek: „To było straszne, co ja, dziecko, widziałam. On miał dwie ładne, dorosłe siostry. Te siostry chyba były gwałcone, wie pan... Tak leżały na stole, nogi tak porozrywane... Moja siostra leżała na podłodze, tak samo nogi porozrywane. Dziewczynka miała rozdeptaną główkę, a te dzieci były starsze, były całe... posiekane, pokłute. Widziałam to... Jest mi ciężko mówić, ale to było straszne! Zwieźli tam te siedemnaście osób i płonął ten dom. Mamusia płakała strasznie, ja tylko zębami szczekałam, otwarte wszystkie chlewki, wszystkie domy... Ryk zwierząt, pisk ptaków, piękne zboża, wszystko. A my szliśmy do Łucka”. ©©



★★★★★
MIŁOSZ SOCHA
„WOŁYŃ.
ŚWIADKOWIE
MÓWIĄ”
KSIĘŻY MŁYN



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Zapomniany zjednoczyciel

Gdy w Polsce trwało rozbięcie dzielnicowe, Czechy przeżywały okres największej potęgi. Władcy z Pragi z dynastii Przemysławów stali się najważniejszymi członkami Rzeszy Niemieckiej i starali się nawet o cesarską koronę. Wprawdzie ponieśli porażkę, ale w zamian skierowali swoją ekspansję na północ. Król

opanował także Wielkopolskę i Pomorze Gdańskie. Zwierzchnictwo czeskiego króla uznawał też część Piastów śląskich, a jeden z książąt mazowieckich poślubił jego siostrę. Pod berłem Wacława nastąpiło zjednoczenie naszego kraju, po dwóch wiekach rozbięcia dzielnicowego.

Duchowieństwo, rycerstwo i mieszczaństwo popierały czeskiego króla, mając już dosyć różnych Łokietków, Rogatek i całej reszty skłóconych Piastów. Do dynastii zraził się nawet tak gorący patriota jak abp Jakub Świnka, który w 1300 r. koronował w Gnieźnie Wacława na króla Polski.

Jego panowanie przyniosło Polsce upragniony pokój. Król zapewnił sprawną administrację i poszanowanie prawa. Nie przejmując się polskimi tradycjami, wprowadził urząd starostów, na których mianował zaufanych ludzi. O skuteczności pomysłu Wacława świadczy to, że starostowie przetrwali w Polsce do dziś, a mało kto pamięta, że jest to pozostałość panowania Przemysławów w naszym kraju.

Z niewiadomych jednak względów rządów Wacława nie nazywamy zjednoczeniem, lecz raczej okupacją Polski. A przecież obcymi monarchami byli także Ludwik Węgierski oraz sascy Wętynowie, co jednak nikomu nie przeszkadzało. W tych sprawach dużą rolę odgrywają osobiste sympatie i antypatie badaczy, a kłamstwo powtórzone setki razy staje się prawdą historyczną. Dlatego za zjednoczyciela kraju uważa się powszechnie Władysława Łokietka... ©©

Pod berłem Wacława nastąpiło zjednoczenie naszego kraju

Wacław II uzależnił od siebie czterech książąt z Górnego Śląska i wysunął pretensje do Krakowa.

Patrycjat miasta powitał to z radością, wielka bowiem różnica dzieliła potężnego króla Czech od skłóconej ze sobą gromadki Piastów. Pod władzą Wacława mieszczanie mogliby spokojnie prowadzić interesy i nie martwić się najazdami kolejnych rodzimych dynastów. Szlaki handlowe byłyby bezpieczne, a kupcy tłumnie przybywaliby do miasta. To była kusząca perspektywa!

W 1291 r. armia czeska zajęła Kraków i wkrótce Wacław zaatakował Władysława Łokietkę rządzącego ziemią sandomierską. Książę wycofał się do Sieradza, ale Czesi dostali się do Łokietek dostał się do niewoli. 9 października 1292 r. zrzekł się pretensji do Krakowa i Sandomierza oraz złożył hołd ze swoich posiadłości na Kujawach. Po śmierci Przemysła II Wacław

Warszawa: **101 FM, DAB+**

Ostrołęka: **100,8 FM**

Płock: **101,9 FM**

Ostrów Maz.: **87,6 FM**

Radom: **89,1 FM**

Siedlce: **103,4 FM**



www.rdc.pl



facebook.com/radiordc



instagram.com/radiodlaciebie



twitter.com/rdcpolskieradio

Posłuchaj nas: **101 FM**

www.rdc.pl/rdcplayer

Aplikacja **Radio RDC**



W rzeczywistości wybór laureata Pokojowej Nagrody Nobla nie jest ani prosty, ani tym bardziej oczywisty. I to nie tylko z powodu wątpliwości, które budzą poczynania Greta (znaki zapytania dotyczą spraw takich jak rola jej rodziców, źródła inspiracji, sposób organizowania strajków szkolnych i akcji ulicznych w obronie klimatu, które choć robią wrażenie całkiem spontanicznych, wcale nie muszą takie być – i pewnie nie są).

Kandydatura Greta jest wątpliwa ze względów czysto formalnych. Pięciu parlamentarzystów ze Szwecji i z Norwegii wysunęło ją bowiem w połowie marca, a więc półtora miesiąca po terminie zgłaszania kandydatów, który upływa z końcem stycznia. Wtedy lista jest zamykana i Komitet Noblowski przystępuje do pracy. To oznacza, że kandydatura Greta może być brana pod uwagę, tyle że dopiero w przyszłym roku.

Gdyby komitet zechciał uhonorować Gretę już teraz, musiałby nagiąć obowiązujące zasady. I choć do niej jednej jego decyzji można mieć zastrzeżenia – zarówno do tego, kogo nagrodzono (Obama!), jak i tego, kto został pominięty (Mahatma Gandhi, Siergiej Kowalow) – członkom komitetu na pewno nie można zarzucić łamania zasad. Zdarzyło się to raz tylko, w 1961 r., gdy nagrodzony został sekretarz generalny ONZ Dag Hammarskjöld, który dwa tygodnie wcześniej, w drodze na rozmowy pokojowe, zginął w katastrofie lotniczej w Kongu. Nagrodę otrzymał pośmiertnie i było to wbrew zasadom. Jednak terminy, procedura wyboru, szczelna zasłona tajemnicy – tego się w Oslo ściśle przestrzega.

PYTANIE O POKÓJ

Co ochrona środowiska ma wspólnego z walką o pokój? Takie pytanie po raz pierwszy postawiono w 2004 r., gdy Pokojową Nagrodę Nobla otrzymała Kenijka Wangari Maathai, inicjatorka akcji sadzenia drzew we wschodniej Afryce i pierwsza afrykańska noblistka.

Pytanie było zasadne. Gdy w ostatniej dekadzie XIX w. Alfred Nobel przygotowywał testament, którym powołał fundację i określił zasady przyznawania nagród, temat ochrony środowiska nie istniał. Starania o pokój rozumiano najdosłowniej – jako działania kończące wojny, zapobieganie konfliktom czy organizowanie współpracy parlamentów i kongresów na rzecz pokoju. Nagrodę – jak mówi testament Nobla – powinien



Nobel i ekologia



Teresa Stylińska

Gdyby poważnie traktować głosy mediów, można by sądzić, że wybór laureata tegorocznej Pokojowej Nagrody Nobla jest już przesądzony. Nie może nim zostać nikt inny niż Greta Thunberg

otrzymać ten, kto „zrobił najwięcej dla sprawy braterstwa między narodami, dla likwidacji lub zredukowania stałych armii i dla organizowania kongresów na rzecz pokoju”. W latach poprzedzających I wojnę światową takie kongresy były bardzo popularne.

Już wtedy doceniano też aspekty humanitarne. Jednym z dwóch laureatów

pierwszej nagrody, przyznanej w 1901 r., został przecież Henry Dunant, twórca Międzynarodowego Czerwonego Krzyża. Kontekst wojenny był jednak wyraźny. Idea stworzenia organizacji niosącej pomoc rannym i cierpiącym zrodziła się, gdy w 1859 r. Dunant znalazł się na zasłanym tysiącami rannych żołnierzy polu bitwy pod Solferino.



FOT. MICHAEL CARRERA/GETTY IMAGES

człowieka, i o staraniach, by zmianom tym przeciwdziałać”.

Co więcej, komitet, świadomy, że nagradzanie działaczy ekologicznych budzi wątpliwości, postanowił pójść z duchem czasu i *expressis verbis* podkreślić, że Pokojowa Nagroda Nobla ma dzisiaj nowy wymiar. I oto na jego stronie można przeczytać deklarację: „W XXI wieku Komitet Noblowski uznał, że starania o ograniczenie szkód wyrządzonych przez zmiany klimatyczne, będące skutkiem działalności człowieka, oraz zagrożeń dla środowiska mieszczą się w obszarze Nagrody Pokojowej”. Czy Alfred Nobel mógłby się z tym zgodzić?

Dodajmy, że po raz trzeci Nagrodę Nobla za ekologię przyznano w 2018 r., tym razem jednak w dziedzinie ekonomii. Laureatami zostali dwaj amerykańscy badacze, William Nordhaus i Paul Romer, analizujący wieloletni wpływ zmian klimatycznych na stan gospodarki i zachodzące w niej procesy.

Wangari Maathai oprócz pracy w terenie i na uniwersytecie zajęła się też polityką. Została wiceministrem ochrony środowiska, zdobyła mandat w parlamencie, kandydowała, choć bezskutecznie, na urząd prezydenta. Al Gore przeszedł drogę odwrotną: od polityka – wiceprezydenta u boku Billa Clintona, a przedtem kongresmena i senatora – do aktywisty ekologicznego.

Nie jest to jedyna różnica. Podczas gdy nagrodę dla pani Maathai przyjął po prostu ze zdziwieniem, laur dla Gore’a wzbudził mocne uczucia: z jednej strony entuzjazm, z drugiej oburzenie. Byli i tacy, którzy uznali, że komitet w Oslo specjalnie wybrał laureata tak, by zirytować prezydenta George’a W. Busha. Obaj panowie byli przecież rywalami w wyborach prezydenckich z 2000 r.

Al Gore nie jest ani działaczem ekologicznym, ani naukowcem. Nie wzywa do sadzenia drzew, nie mierzy temperatury, nie obserwuje tempa topienia się lodowców ani nie zgłębia skutków możliwego podnoszenia się poziomu mórz i oceanów. Jest popularyzatorem. Jego książki i filmy służą upowszechnianiu informacji o zmianach klimatycznych i ich właściwej interpretacji. „An Inconvenient Truth” („Niewygodna prawda”), film przedstawiający działania Gore’a i w dodatku nagrodzony Oscarem w kategorii filmów dokumentalnych, utrwalił jego pozycję jako światowego aktywisty numer jeden.

Podobne zadanie mają spełniać wykłady, z którymi Gore jeździ po świecie. Jeśli

oddźwięk ich jest znaczący, to właśnie przez osobę prelegenta. Wykład najbardziej nawet kompetentnego przedstawiciela nauki nigdy nie przyciągnie tylu słuchaczy, ile prelekcja ekswiceprezydenta, opromienionego sławą noblisty. Toteż, jak wykazały badania instytutu Pew przeprowadzone wkrótce po prezentacji filmu, ponad połowa Amerykanów nabrała przekonania, że sprawy klimatu idą w złym kierunku.

Wielu wini jednak Gore’a za polaryzację społeczeństwa amerykańskiego: rozdarcie Amerykanów między wiarą w zgubne skutki ocieplenia klimatu a wątpliwościami, czy faktycznie ono zachodzi. „Negacjoniści klimatyczni” – jak się ich nazywa w nowomowie – znajdują oparcie w Partii Republikańskiej i prezydencie Donaldzie Trumpie. Przeświadczeni, że klimat niebezpiecznie się zmienia, ufają demokratom – takim jak właśnie Gore.

SZEŚĆ TO ZA MAŁO

Nieoczekiwanym skutkiem wyróżnienia Gore’a okazały się sugestie, by do nagród Nobla dorzucić kolejną – w dziedzinie ekologii. Przypomnijmy, że Nobel ustanowił pięć nagród: w dziedzinie fizyki, chemii, medycyny z fizjologią, literatury oraz pokoju. A gdy w 1968 r. ustanowiono dodatkową nagrodę w dziedzinie ekonomii, zasad fundatora nie zmieniono i jest ona „Nagrodą imienia Alfreda Nobla” finansowaną z funduszy szwedzkiego banku centralnego.

Czy mogą powstać kolejne takie nagrody? I jakie? Portal naukowy Live Science jakiś czas temu zapytał o to grono naukowców z różnych dziedzin. Okazało się, że na pierwszym miejscu jest matematyka. Wymieniano też: nauki społeczne (taką nagrodą, zdaniem jednego z pytanych, powinna wchłonąć nagrodę ekonomiczną), nauki techniczne i ekologię.

Pomysł nagrody za ekologię nie przebieł się na razie do opinii publicznej, ale szum wokół Greta może to zmienić, zwłaszcza gdyby została nagrodzona. Z Nagrodą Nobla jest jednak trochę jak z konklawą: murowany kandydat rzadko zostaje laureatem, chyba że przemawia za tym konkretne wydarzenie, takie jak zawarcie pokoju. Na sprawy ekologiczne komitet jest bardzo wyczulony i to jest punkt dla Greta. Jednak są też minusy. Szesnaścioletka napomina wszystkich, karcąc i przywódców, i zwykłych ludzi. A tego nikt nie lubi – również komitet w Oslo.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Marcin Makowski

Skala dezinformacji uprawianej przez największe izraelskie oraz amerykańskie media diaspory żydowskiej jest porażająca. Tym razem na celownik wzięto prezydenta Andrzeja Dudę

Jeden ze znajomych dziennikarzy z Tel Awiwu zapytał mnie niedawno, czy wiem coś o tej sprawie, załączając link do tekstu na portalu Jewish Insider, zatytułowanego „Polski prezydent powiedział, że Izrael odpowiada za antysemickie ataki w Polsce”. Rzecz miała dotyczyć spotkania z lokalną społecznością żydowską, które odbyło się w konsulacie w Nowym Jorku, jako wydarzenie towarzyszące wyjazdowi prezydenta na Zgromadzenie Ogólne ONZ. Dziennikarz dorzucił też twitterowy wpis Yaira Lapida, jednego z liderów opozycji: „Panie Duda,

gronie wywołałoby prawdziwą burzę. Dlaczego zatem nie pisze o niej „New York Times”, ale niszowy izraelski portal? Bo nic takiego nie miało miejsca, ale – jak wiele podobnych sytuacji w przeszłości – stanowi modelowy przykład antypolskich fake newsów.

CO POWIEDZIAŁ PREZYDENT?

Autorem lakonicznej relacji ze spotkania, opublikowanej na portalu Jewish Insider, jest nowojorczyk Jacob Kornbluh. Dziennikarz nigdy wcześniej nie zajmował się tematyką polską. Już na wstępie, bez żadnych cytatów, twierdzi, że „zgodnie z relacją kilku osób uczestniczących w debacie Andrzej Duda zasugerował, że słowa szefa izraelskiego MSZ Israela Katza [odnośnie do „antysemityzmu wyssanego przez Polaków z mlekiem matki” – przyp. red.] były »upokarzające« oraz stały się powodem wzrostu antysemickich ataków na Żydów w Polsce”. Kornbluh nie ujawnia żadnych szczegółów, nie przytacza dokładnych słów wypowiedzianych przez prezydenta, nie konfrontuje również swoich doniesień ze stroną polską. Nie zwraca się także

kłamań. Przekonuje, że w 2018 r. „Polska uchwałała prawo, które uczyniło nielegalnym oskarżanie kraju o współudział w Holokauście, zabraniając również komukolwiek wypowiedzania terminu »polskie obozy śmierci«”. Oczywiście nowelizacja ustawy o IPN nie odnosiła się do „polskich obozów”, penalizowała jedynie fałszywe przypisywanie narodowi albo państwu polskiemu udziału w niemieckich zbrodniach przeciwko ludzkości, nie obejmowała swobody twórczej oraz badań naukowych, ale to już detale, które Jewish Insider sobie podarował.

DEKONSTRUKCJA

Czy zatem choćby część historii, o której napisał Jewish Insider, jest prawdziwa? Owszem, niczym w Radiu Erewań. Faktycznie słowa przytoczone w tekście padły, wywiązała się krótka polemika, brały w niej udział przedstawione osoby, ale całe sedno artykułu jest po prostu podręcznikowym przykładem fake newsa.

– Prezydent Andrzej Duda skrytykował wypowiedź Israela Katza, ale z jego ust nie padło nawet słowo oskarżenia, że za antysemityzm w naszym kraju odpowia-

Izraelskie fake newsy

Izrael nie ponosi odpowiedzialności za incydenty antysemickie w Polsce, za nie odpowiadają polscy antysemici. Podobnie jak ci, którzy uczestniczyli w mordach na Żydach podczas Holokaustu osiemdziesiąt lat temu”.

Spotkanie prezydenta, o którym mowa, miało charakter zamknięty. – Prezydent regularnie wychodzi z inicjatywą rozmów z reprezentantami najważniejszych organizacji żydowskich w USA. Nigdy nie doszło podczas nich do kontrowersji – relacjonuje polski dyplomata uczestniczący w wydarzeniu. Spektrum zapraszanych osób jest zazwyczaj szerokie: od rabinów przez społeczników do przedstawicieli jednej z najbardziej wpływowych organizacji lobbujących w Ameryce (AIPCA – American Israel Public Affairs Committee) oraz władz najstarszej organizacji żydowskiej na świecie, założonej w XIX w. w Nowym Jorku (B’nai B’rith). Nic dziwnego, że oskarżenie państwa izraelskiego o „polski antysemityzm” w podobnym

z prośbą o komentarz np. do Macieja Golubiewskiego, konsula generalnego, który organizował wydarzenie. Brnie za to w anonimowe relacje z trzeciej ręki.

UPROSZCZENIA I PRZEKŁAMANIA

Dziennikarz twierdzi, że po słowach polskiej głowy państwa na sali wywiązała się spór pomiędzy ocalałym z Holokaustu Edwardem Mosbergiem a rabinem Shmuleym Boteachem. Autentyczność zajścia miało potwierdzić „dwóch świadków obecnych na miejscu”. Zgodnie z ich relacją „niedawno odznaczony przez polski rząd” Mosberg poparł stwierdzenie Andrzeja Dudy, dodatkowo je wzmacniając, a Boteach „nie mogąc pozostawić oskarżenia Izraela bez polemiki”, ostro się z przedmówcą nie zgodził. Aby zbudować kontekst wokół dwuakapitowego „newsa”, Jacob Kornbluh kreśli tło polityczne napięć pomiędzy obydwojema państwami, korzystając z powtarzanych nagminnie – szczególnie w USA – uproszczeń i prze-

dając Żydzi w Izraelu. To, co się wydarzyło, to drobna kłótnia między starszym już i schorowanym Edwardem Mosbergiem a rabinem Shmuleym Boteachem – mówi „Do Rzeczy” jeden z uczestników spotkania w Nowym Jorku. – To Mosberg stwierdził, że przez takie wypowiedzi jak Katza Izrael sam podsyca antysemityzm w Polsce. W słowo wszedł mu rabin, zaznaczając, że nie godzi się na oskarżanie Żydów o tworzenie antysemityzmu. Mielśmy zupełnie niepotrzebne spięcie dwóch zaproszonych gości na tle bardzo konstruktywnej dyskusji. Duda ani nikt z polskiej delegacji nie brał w tym spięciu udziału – dodaje.

Na potwierdzenie tych słów 27 września oficjalny komunikat wydał rzecznik prezydenta Błażej Sychalski. „Cytat jest nie tylko niedokładny. To po prostu nieprawda. Prezydent Andrzej Duda nigdy nie powiedział, że »Izrael jest odpowiedzialny za ostatnie antysemickie ataki w Polsce«. Wszyscy uczestnicy

wspomnianego spotkania mogą to potwierdzić. Jewish Insider to wymyślił” – mogliśmy przeczytać na Twitterze.

I rzeczywiście: niemal w tym samym czasie swoje teksty napisało dwóch uczestników debaty w konsulacie. Mowa

z rozmówcami żalem dotyczącym słów Israhela Katza na temat »antysemityzmu wyssanego przez Polaków z mlekiem matek«. Komentarz Katza był bigoteryjnym i godnym pożałowania wybuchem agresji” – napisał Goldman na portalu PJ Media. Stwierdził jednak, że Polacy powinni z większą odwagą badać swoją przeszłość, »bez emocji

i minimalizowania skali kolaboracji poszczególnych obywateli z Niemcami”. Swój tekst zakończył opinią, że choć polski rząd nie zawsze robi, co w jego mocy, aby powstrzymać »ataki na społeczność żydowską w Polsce”, prezydent Duda »cehuje się dobrą wolą i chce wzmacniać przyjaźń między dwoma narodami”. Jego słowa i przytoczoną wersję potwierdził również wspomniany w artykule szef B’nai B’rith – Charles Kaufman.

BŁĘDNE KOŁO

Najbardziej wartościowa jest jednak relacja rabina Boteacha. W długim i osobistym tekście na portalu Jerusalem Post przypomniał, że

podobne dyskusje organizowane regularnie przez stronę polską są ważne nie tylko dla amerykańskiej diaspory żydowskiej, lecz pokazują także, jak wiele robi strona polska, aby szukać dialogu i pielegnować na własnych ziemiach dziedzictwo żydowskie. Zaznaczył, że prosił prezydenta o to, aby sprzeciwił się unijnym planom oznaczania izraelskich produktów sprzedawanych na spornych terytoriach

Judei i Samarii. Przechodząc do spięcia z Edwardem Mosbergiem, powtórzył raz jeszcze, że to jego słowa stały się tematem kontrowersji. »Mosberg to wyjątkowy człowiek, ocalały z Holocaustu. Widział piekło, którego nie umiem sobie nawet wyobrazić. Nie mogłem jednak dłużej słuchać kogoś, kto mówił, że antysemityzm jest zawiniony przez Żydów, dlatego wykrzychałem: »Eddie, jesteś bohaterem narodu żydowskiego, ale się mylisz«. My, Żydzi, nie jesteśmy odpowiedzialni za antysemityzm. To antysemita się za niego odpowiedzialni. Czas, aby Polacy i Żydzi byli przyjaciółmi i sojusznikami” – zakończył swoją relację.

Co zrobiły izraelskie i żydowskie media w Ameryce, wiedząc już, że ktoś wprowadził je w błąd? Gremialnie przeprosiły, publikując sprostowania i kasując teksty stworzone na kłamstwach Jewish Insidera? Nic z tych rzeczy. Chociaż Jacob Kornbluh opublikował w artykule sprostowanie strony polskiej, zaprzeczając jego insynuacjom, tekst o »Dudzie oskarżającym Żydów o antysemityzm w Polsce” nadal jest na stronie portalu z niezmienionym tytułem. Portal Algemeiner oraz ten sam Jerusalem Post, który opublikował wyjaśnienie Boteacha, zaprezentował następujące wytłumaczenie całego zajścia. Chociaż opierało się ono na manipulacji, to »zalew sieciowego antysemityzmu w Polsce po relacji na temat napiętego spotkania pomiędzy polskim prezydentem oraz liderami społeczności żydowskich w Ameryce” stanowi realny problem. W dwóch tekstach – z 27 września i 1 października – mogliśmy przeczytać, że choć »według strony polskiej cytowane słowa prezydenta nie padły”, to jednak w polskim Internecie na portalu Wiadomości (bez żadnych linków i wyjaśnienia, o które medium dokładnie chodzi) pojawiły się anonimowe antysemickie komentarze. Ben Cohen z Algemeinera przytacza trzy z nich. Tę samą narrację i te same cytaty powtarza 1 października Hagay Hacohen z Jerusalem Post.

I tak po całkowicie zmyślonym newsie, który sprostowano następnego dnia, powstała historia o polskiej internetowej »nienawiści do Żydów”. Wcześniej w podobny sposób największe media izraelskie zmyśliły w lutym tego roku rewelacje o dewastacji cmentarza żydowskiego w Świdnicy w ramach »odwetu za nieudaną konferencję bliskowschodnią”, we wrześniu zaś podawano masowo historię o pobiciu izraelskich studentów w Warszawie, starannie pomijając, że zrobili to Arabowie. © Wszelkie prawa zastrzeżone



o Davidzie P. Goldman (znanym amerykańskim ekonomistą) oraz Shmuleyu Boteachu, którzy potwierdzili w całej rozciągłości stanowisko strony polskiej dotyczące zmyślenia cytatu prezydenta przez redakcję Jewish Insidera. »Prezydent Andrzej Duda nigdy nie wypowiedział zarzucanych mu słów. Wiem o tym, bo byłem na spotkaniu. [...] Duda zrobił, co w jego mocy, aby uczcić pamięć trzech milionów polskich Żydów pomordowanych przez nazistów, dzieląc się



ZABAWKI URZĘDOWO CENZUROWANE

Francuska minister Pannier-Runacher ogłosiła podpisanie paktu na rzecz zrównoważonej reprezentacji w zabawkach. Chodzi o płęć. Francuskie władze chcą dać światłe wytyczne dla producentów zabawek. Będą musieli dostarczać na rynek m.in. zabawki naukowe przeznaczone dla dziewcząt oraz zabawki związane z pracami domowymi przeznaczone dla chłopców. Ma to poszerzać ich horyzonty i wpływać na lepszą przyszłość. Francuskim chłopcom życzymy wszystkiego dobrego w zabawie odkurzacami, kuchenkami i lalkami.

FOT. ADRIEN STOLCK

HOLANDIA ZWALCZA SEKSIZM

W kwestii zabawek tropem Francji szybko podąża Holandia. Tamtejsza minister edukacji Ingrid van Engelshoven zaapelowała do producentów zabawek w jej kraju, żeby skończyli z propagowaniem stereotypów płciowych. Wcześniej ta sama minister krytykowała przekazy reklamowe. Nie podobało się jej, że mężczyźni częściej pokazywani są przy pracach wymagających siły fizycznej, a kobiety jako gospodynie domowe. Zdaniem pani Engelshoven to może wywierać wpływ na dzieci. I potem rosną takie kobiety, które chcą być żonami, oraz mężczyźni pragnący być ojcami, a co gorsza – tworzą rodziny...

BARBIE BEZ PŁCI

Gdy Francuzi i Holendrzy dopiero chcą zmusić producentów zabawek do skończenia z wytwarzaniem przedmiotów adresowanych do konkretnej płci, Amerykanie są już daleko przed nimi. Firma Mattel wypuszcza na rynek nową wersję słynnych lalek Barbie. To projekt, dzięki któremu w zależności od stroju ta sama lalka może być albo kobietą, albo mężczyzną. Z małym dodatkowym wariantem – może też być „neutralna płciowo”.

CHEERLEADERKI NIEMILE WIDZIANE

Berliński klub koszykarski Alba Berlin (ośmiokrotny mistrz kraju) po 25 latach zrezygnował z występów cheerleaderek. Na parkiecie nie będzie już tańczących dziewcząt, które zdobywały na pokazach w Europie liczne nagrody i wyróżnienia. Szef klubu uznał, że cheerleaderki nie pasują już do dzisiejszych czasów. I zauważył, że wśród kibiców istniało przekonanie, iż w Albie kobiety są głównie odpowiedzialne za rozrywkę, gdy mężczyźni grają w koszykówkę.

GOŚCINNOŚĆ PO WŁOSKU

Dwie turystki z Japonii pojechały do Rzymu. W centrum miasta poszły do restauracji i zamówiły dwie porcje spaghetti z rybą oraz wodę. Na paragonie z lokalu usytuowanego niedaleko Zamku św. Anioła, który opublikowano w Internecie, widniała kwota za posiłek – 349,80 euro – oraz 80 euro napiwku. Po ujawnieniu tego oszustwa zaprotestowali rzymscy przewodnicy. Uważają, że to negatywnie wpłynie na turystykę w ich mieście. ©

Łukasz Zboralski



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Kampania dobra, ale fatalna

To była kampania wcale nie taka zła – i zarazem fatalna. Nie była taka zła, bo po raz pierwszy od lat – ba, może nawet w ogóle pierwszy raz w III RP – pojawiło się w niej coś w rodzaju debaty o konkretnych planach i sporu programowego. To oczywiście było zawsze, ale jako odwalany z obowiązku pozór. Tym razem już się tak nie dało, głównie dlatego, że PiS po 2015 r. robił większość z tego, co zapowiadał.

Teraz było podobnie, nawet już w trakcie kampanii, program przestał być zlepkiem rzucanych na wiatr hasłek, a stał się względnie realny. Inni musieli się dostosować.

Była fatalna, bo większość tego, co proponowały poszczególne ugrupowania, szło tropem obietnic partii rządzącej: rozdawanie pieniędzy, redystrybucja, socjał, mieszanie się państwa w gospodarkę i nie tylko w nią. Można odnieść wrażenie, że główny spór toczą między

sobą frakcje socjalistów. Ci, którzy tego nie akceptują – ułomki Kukiza przyklejone do PSL oraz Konfederacja – byli na słabej pozycji.

Stawką jest mobilizacja elektoratów. Mechanizm jest prosty: im mniej partii przekroczy próg – tym lepiej dla PiS; im niższa frekwencja – tym dla PiS gorzej. A jak będzie – nie sposób przewidzieć.

Chociaż wszystko wydaje się rozstrzygnięte, naprawdę nic rozstrzygnięte nie jest. ©

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski



STRAŻNIK PAMIĘCI

2019

**7 LISTOPADA 2019
GALA WRĘCZENIA NAGRÓD**

Tytuł **STRAŻNIK PAMIĘCI** przyznawany jest corocznie w trzech kategoriach:

TWÓRCA – osoba lub osoby fizyczne, autorzy dzieła, które przyczynia się do odnowienia pamięci

INSTYTUCJA – muzea, stowarzyszenia, fundacje, organizacje, które w minionym roku podjęły nowe inicjatywy służące krzewieniu pamięci historycznej

MECENAS – podmioty publiczne lub komercyjne, które w szczególny sposób materialnie wspierają dbałość o pamięć historyczną

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI



PARTNER STRATEGICZNY:



PARTNER GŁÓWNY:



PARTNERZY:



Trybunał ukarał banksterów



Jacek Przybylski

Posiadacze kredytów „frankowych” mogą żądać uznania umowy za nieważną – orzekł Trybunał Sprawiedliwości UE. Dla wielu Polaków to szansa na wcześniejszą spłatę zadłużenia. Po tym wyroku sektor bankowy czeka zapewne konsolidacja, a klientów podwyżka opłat i prowizji

Czwartek, 3 października 2019 r. Na tę datę czekały tysiące frankowiczów. Zgodnie z przewidywaniami ekspertów – a także z naszymi prognozami, opublikowanymi w tekście „Cud nad frankiem?” w pierwszej połowie września – Trybunał Sprawiedliwości UE wydał korzystny dla nich wyrok.

Trybunał rozpatrywał sprawę małżeństwa Dziubaków, które w listopadzie 2008 r. zawarło z Reiffeisen Bank Polska SA umowę kredytu hipotecznego na 40 lat, zgodnie z którą bank udzielił kredytobiorcom kredytu wyrażonego w złotych polskich, ale indeksowanego do franka szwajcarskiego. Małżeństwo wniosło pozew do Sądu Okręgowego w Warszawie o stwierdzenie nieważności umowy kredytu z uwagi na postanowienia dotyczące mechanizmu indeksowania, które – jak wskazali w pozwie – „były niezgodne z prawem, ponieważ umożliwiały bankowi jednostronne i dowolne określanie kursu walut”.

Orzeczenie TSUE wpłynie jednak na przyszłość tysięcy innych klientów, wobec których bank zastosował w umowie niedozwolone klauzule. Zgodnie z ogłoszonymi w czwartek wytycznymi TSUE polskie sądy mogą anulować umowę kredytu, jeśli zawarte były w niej klauzule abuzywne. W takim wypadku klient musi oddać bankowi otrzymaną kwotę kredytu, a bank wpłacać przez klienta raty (banki mogą również

zażądać dodatkowej opłaty za korzystanie z kapitału od momentu wypłaty do unieważnienia spornej umowy kredytowej).

Zyskają zatem głównie te osoby, które mają oszczędności i mogą pozwolić sobie na unieważnienie umowy i wcześniejszą spłatę całego kredytu. W takiej sytuacji sądy uwolnią ich od garbu ryzyka kursowego, co w konsekwencji w wielu przypadkach oznaczać będzie, że ponieważ przez lata spłacali raty wyższe, niż powinni, to zaciągnięty kredyt został już przez nich niemal w całości spłacony lub że do spłaty jest jeszcze np. 20–50 tys. zł (niekiedy powstaje nawet roszczenie wobec banku o zwrot nadpłaconej kwoty). Wartość „redukcji zadłużenia” w takim scenariuszu zależeć będzie od kursu franka w dniu zaciągnięcia kredytu i w niektórych przypadkach może być wyższa nawet niż 50 proc.

Unijny trybunał stwierdził także, że niedozwolone klauzule nie mogą być zastępowane ogólnymi przepisami prawa cywilnego. To bardzo ważne: polskie sądy nie powinny więc np. dodawać do umowy kompromisowego rozwiązania, mówiącego np. o rozliczeniu według średniego kursu NBP, które zastąpiłoby zapisy abuzywne.

Sędziowie będą mogli nakazać przekształcenie umowy o kredyt indeksowany do franka szwajcarskiego na kredyt w złotych, który nadal będzie oprocentowany według niezwykle atrakcyjnej stopy LIBOR

(obecnie stawka ta jest ujemna i wynosi ok. -0,75 proc., w niektórych przypadkach oprocentowanie mogłoby więc wynosić nawet 0,2 proc., czyli istotnie mniej niż wiele banków wypłaca obecnie posiadaczom lokat). I chociaż takie wyroki zdarzały się w Polsce jeszcze przed orzeczeniem TSUE, to nie jest powiedziane, że sądy będą podejmować podobną decyzję. Trybunał podkreślił bowiem, że polski sąd będzie musiał każdorazowo ocenić stan faktyczny konkretnej sprawy i rozstrzygnąć ją w oparciu o przepisy prawa krajowego. Dany sędzia może więc uznać, że występowanie kredytu w złotym oprocentowanym na podstawie stawki LIBOR nie jest zgodne z polskim prawem. W takiej sytuacji kredyt będzie mógł zostać jedynie unieważniony.

Oczywiście zanim sąd podejmie taką decyzję, będzie musiał też zapytać samego klienta, czy ten na pewno życzy sobie anulowania spornej umowy. Zdecydowanie łatwiej będzie więc unieważnić całą umowę kredytową niż dokonać konwersji kredytu na złotowy ze stawką LIBOR.

Orzeczenie Trybunału nie oznacza jednak szybkiego kompleksowego i automatycznego przewalutowania kredytów „frankowych” na korzystnych dla klientów warunkach. Każdy kredytobiorca musi sam złożyć pozew i poczekać na wyrok. Orzeczenie TSUE nie daje zaś 100-procentowej gwarancji powodzenia. Wszystko zależeć będzie od jego interpretacji przez dany sąd.

GORĄCO NA GIEŁDACH

Zaskakująca była reakcja rynków. Wbrew oczekiwaniom wielu analityków w czwartek złoty zamiast się osłabiać, rósł w siłę, a taniał za to frank szwajcarski. Najprawdopodobniej wynikało to z trzech powodów. Po pierwsze rynek już wcześniej zdyskontował czwartkowe orzeczenie TSUE – np. euro z 4,25 podrożało nawet do 4,40 zł, więc po ogłoszeniu wyroku na rynku nie było już wielkiej nerwowości.



Po drugie część analityków mogła uznać, że liczba klientów, którzy mają wystarczające oszczędności, aby anulować umowę i natychmiast spłacić kredyt, nie jest aż tak wielka, co ogranicza ryzyko banków. Dodatkowo wyrok TSUE dotyczył kredytów indeksowanych do franka szwajcarskiego i nie odnosił się wprost do tzw. kredytów denominowanych. Część sądów może mieć więc wątpliwości, w jakim zakresie orzeczenie trybunału przekłada się na drugi typ spornych kredytów.

Po trzecie z Polski wycofał się kapitał spekulacyjny, który w ostatnich miesiącach, a zwłaszcza w ostatnich tygodniach grał na osłabienie złotego.

O tym, jak trudno było ocenić wpływ wyroku na instytucje finansowe, świadczy to, jak zachowywały się kursy akcji banków notowanych na warszawskiej giełdzie. Początkowo zaskakująco szybko rosły, potem gwałtownie spadały, aby znów odbić w górę i kolejny raz mocno zanurkować. Ostatecznie pod koniec dnia na liście notowań banków zdecydowanie dominowała jednak czerwień. Po zamknięciu notowań okazało się, że Millennium stracił 7,83 proc., Santander 6,91 proc., BNP Paribas 5,92 proc., a Santander Bank Polska 4,77 proc. Traciły też UniCredit, Alior, ING, PKO BP i Bank Handlowy. Cały indeks WIG-banki był ostatecznie 1,13 proc. na minusie.

Ten giełdowy rollercoaster pokazuje, jak wielką trudność mają analitycy oraz inwestorzy z oszacowaniem realnych skutków orzeczenia TSUE. Bankierzy, eksperci oraz giełdowi gracze na ten wyrok przygotowywali się już od maja, gdy swoją opinię w tej sprawie wygłosił rzecznik TSUE. Najbardziej mała wartość akcji tych banków, które należą do grona z największym udziałem kredytów indeksowanych kursem waluty. Od 3 lipca do 3 października wartość jednej akcji Millennium stopniała o ponad 43 proc., Santander Bank Polska o ponad 22 proc., a mBanku o 18,7 proc. Giełdowi gracze obawiają się bowiem, że korzystny dla frankowiczów wyrok TSUE dla banków mających w swoim portfelu wiele kredytów „frankowych” okaże się bardzo kosztowny.

Według szacunków Bloombergu wartość kredytów walutowych w Polsce wynosi ok. 120 mld zł. Związek Banków Polskich jeszcze przed ogłoszeniem wyroku TSUE

szacował, że przekształcenie kredytów frankowych w złotowe kosztowałoby sektor finansowy ok. 60 mld zł, czyli mniej więcej czterokrotność rocznych zysków netto sektora bankowego. Koszty te byłyby jeszcze wyższe, gdyby pozwy w sądach zaczęły też składać osoby, które spłaciły już swoje kredyty we frankach. Wówczas w grę mogłoby wchodzić nawet 80–90 mld zł.

Łagodniej skutki wyroku oszacowali analitycy agencji ratingowej Moody's. Ich zdaniem przekształcenie umów o kredyt indeksowany do franka szwajcarskiego w kredyt złotówkowy, ale oprocentowany według o wiele korzystniejszej stopy LIBOR, kosztowałoby polskie banki ok. 20 mld zł, czyli równowartość ponad półtorarocznych zysków (według Komisji Nadzoru Finansowego zysk netto sektora bankowego w ubiegłym roku wyniósł ok. 13 mld zł).

Jak zauważa agencja Moody's w raporcie z 16 września konieczność konwersji kredytów na złotowe przy jednoczesnym utrzymaniu stopy LIBOR „byłaby kontrolerska, ponieważ stawiałoby to kredytobiorców frankowych w uprzywilejowanej pozycji w stosunku do kredytobiorców, którzy zaciągali wówczas kredyt hipoteczny denominowany w złotych”.

CO CZEKA BANKI?

Zdaniem wielu frankowiczów i reprezentujących ich prawników to zaskazana kara dla bankierów, którzy wpisali do swych umów z klientami klauzule niedozwolone. Ostateczna wartość tej „kary” będzie zależała od tego, ilu kredytobiorców zdecyduje się wnieść pozew do polskich sądów i ilu z nich rzeczywiście swoją sprawę wygra.

Przy założeniu, że sprawy założy i wygra co czwarty frankowicz, koszt konwersji kredytów „frankowych” zamknąłby się za pewne w 15 mld zł, co stanowi równowartość rocznego zysku netto. Paweł Borys, prezes PFR, podczas niedawnej rozmowy z „Do Rzeczy” ostrzegał wprost: wyrok TSUE ws. kredytów frankowych może wywołać w Polsce kryzys gospodarczy. Ostateczne skutki dla sektora bankowego i dla polskiej gospodarki zależą też będą od czasu, który będzie potrzebny polskim sądom na wydanie wyroków.

Jeśli spełni się czarny scenariusz dla banków, to co najmniej kilka z nich będzie wymagało dokapitalizowania, co wpłynie na wzrost kosztu świadczonych przez nie usług, a także może prowadzić do ograniczenia prowadzonej przez nie akcji kredytowej.

Dzięki temu, że sprawy w polskich sądach mogą być prowadzone przez wiele miesięcy, a nawet przez kilka lat, wyrok TSUE nie powinien spowodować nagłego załamania polskiego sektora finansowego. Bankierzy zyskają bowiem czas na zwiększenie buforów kapitałowych. Tworzenie wyższych rezerw oznacza wyższe koszty. Zaś scenariusz, w ramach którego tysiące kredytobiorców mogłoby się cieszyć z dostępu do pieniądza po cenie niższej, niż płać same banki, może doprowadzić do obniżenia zdolności do kredytowania gospodarki oraz zmniejszenia szans na rozwój wielu polskich przedsiębiorców. Dodatkowe pieniądze, które zostaną w kieszeniach „frankowiczów”, mogą być przeznaczone na konsumpcję, co podobnie jak socjalne programy rządu typu „500+”, miałoby istotny wpływ na popyt wewnętrzny i wzrost gospodarczy.

Szkoda, że bankowcy, których stosunek do klientów przypominał czasy postkolonializmu, zmarnowali tak wiele lat, przez które można było znaleźć kompromisowe rozwiązanie problemu kredytów frankowych. Nie trzeba było czekać na werdykt trybunału, aby dostrzec, że stworzenie toksycznych, spekulacyjnych produktów, jednostronne narzucanie kursów walut i przerzucenie całości ryzyka kursowego związanego z kredytami „frankowymi” na kredytobiorców, nie przypominał sposobu działania uczciwego przedsiębiorcy w cywilizowanym europejskim kraju. Tym bardziej nieuczciwe było traktowanie klientów niczym niewolników, którzy nie mogą zrzucić z siebie garbu długu, bo ich mieszkankę po latach spłat warto jest mniej niż dopisane zadłużenie, ale mimo że kredyt jest „hipoteczny”, to nie można oddać kluczy bankowi i zacząć życia od zera.

Niewykluczone, że orzeczenie unijnego trybunału ułatwi wreszcie podjęcie działań politykom w celu ostatecznego i kompleksowego rozbrojenia „frankowej bomby”. Jeśli taki scenariusz się nie zrealizuje, to pewne są trzy rzeczy. Po pierwsze, fortuny na orzeczeniu TSUE zrobią prawnicy, audytorzy i wszelkiej maści biegli zaangażowani w kwestię kredytów „walutowych”. Po drugie, sektor bankowy w Polsce czeka dalsza konsolidacja, prowadząca do niekorzystnego dla klientów zmniejszenia konkurencji na rynku. I po trzecie, ze względu na dobro akcjonariuszy i wysokość swoich premii bankierzy będą chcieli szybko odrobić straty. Spadnie więc zatrudnienie w bankach, a wzrosną opłaty i prowizje.



Stefan Sękowski

Jeśli rząd nie zadba o rekompensatę dla samorządów, a gminy o dyscyplinę swoich finansów, to może im zabraknąć pieniędzy

Pod koniec tej kadencji rząd PiS obniżył podatek dochodowy od osób fizycznych (PIT). Największa ulga objęła pracujące osoby poniżej 26. roku życia, które zostały całkowicie zwolnione z płacenia tej daniny. Druga dotyczy wszystkich: dolna stawka podatku została obniżona z 18 do 17 proc. Dla osoby zarabiającej 4,2 tys. zł, czyli w okolicach mediany wynagrodzeń, oznacza to oszczędność rzędu 71 zł miesięcznie. Ponadto wzrosły roczne koszty uzyskania przychodu, co oznacza, że podatek będzie liczony od niższej kwoty niż wcześniej.

Z punktu widzenia kieszeni podatnika to lepiej. I nie jest to szczególnie duże wyrzeczenie dla rządu. W tym roku pieniądze z PIT stanowią zaledwie 16,5 proc. całych dochodów budżetowych – z punktu widzenia finansów publicznych PIT jest znacznie mniej istotny niż VAT, który odpowiada za prawie połowę dochodów budżetowych. Jednak dla samorządów PIT stanowi jedno z głównych źródeł dochodów.

POWAŻNY PROBLEM

Obniżenie PIT poważnie wpłynie na kondycję finansową samorządów. Na przykład do kasy Lublina jeszcze w tym roku wpłynie o ok. 15 mln zł mniej, niż planowano. Prezydent miasta Krzysztof Żuk rozesłał do dyrektorów podległych mu instytucji list, w którym pisze, że wstrzymuje „do odwołania zawieranie umów w zakresie wydatków bieżących poza tymi, które są niezbędne do zapewnienia ciągłości działania jednostki, oraz wydatków majątkowych skutkujących nowymi zobowiązaniami finansowymi”. W praktyce znaczy to, jak dowiedzieliśmy się w ratuszu, że zrezygnowano m.in. z rozbudowy Systemu Zarządzania Ruchem i Komunikacją w mieście. „Decyzje co do innych zadań inwestycyjnych, z których miasto mogłoby ewentualnie zrezygnować, mogą zapaść pod koniec roku” – pisze



Bolesny mniejszy PIT

w odpowiedzi na pytanie „Do Rzeczy” rzecznik prasowy magistratu Katarzyna Duma.

Podobne pismo wysłał do swoich podwładnych prezydent Białegostoku Tadeusz Truskolaski, szacujący ubytki w budżecie miasta na ok. 150 mln zł rocznie. Z kolei Maja Wysocka z biura prasowego UM we Wrocławiu podała „Do Rzeczy”, że obniżki mogą uszczuplić wpływy do budżetu tego miasta o ok. 156 mln zł w skali roku.

Do tej pory gminy miały udział w PIT rządu 38,08 proc. (a wszystkie samorządy łącznie – 49,93 proc.). W przyszłym roku udział ten wzrośnie o 0,08 proc., co stanowi bardzo symboliczne podzielenie się tortem z gminami, nierekompensującym innych strat. Obniżka PIT spowoduje, że do kasy gmin wpłynie ok. 5,5 mlrd zł mniej, niż planowano. Na pierwszy rzut oka nie jest to problem, skoro dochody jednostek samorządu terytorialnego miały planowo wynieść w 2019 r. łącznie ponad



chcą korzystać z unijnych dotacji, to potrzebują pieniędzy na wkład własny. To zupełnie naturalne, że funkcjonują na zasadzie sinusoidy: najpierw przez trzy- pięć lat inwestują, a potem zwracają te pieniądze – dodaje.

Tak zresztą tłumaczą to przedstawiciele samorządów. Dług np. Lublina wzrósł w ciągu ostatnich 10 lat z 550 mln do prawie 1,5 mld. W tym samym czasie na inwestycje wydano łącznie 3,8 mld zł. „Każda pożyczona złotówka dała możliwość sięgnięcia po blisko dwa złote bezzwrotnych środków europejskich (1,67 mld zł) i umożliwiła wytworzenie 3,52 zł majątku miasta” – pisze rzecznik magistratu. Z kolei „poziom zadłużenia Wrocławia jest skutkiem realizowanego od wielu lat wysokiego planu inwestycyjnego, w ramach którego w latach 2009–2018 wydrukowano środki łącznej wysokości 7,2 mld zł. Ponadto w ostatnich dwóch latach Wrocław zmniejszył poziom posiadanego zadłużenia o 225 mln zł, co było możliwe m.in. dzięki wysokiej dynamice dochodów z tytułu PIT”.

Jak można przeczytać w raporcie „Stan finansów jednostek samorządu terytorialnego” Związku Miast Polskich, „każde zmniejszenie nadwyżki operacyjnej podsektora samorządowego będzie oznaczało przeszło dwuipółkrotne zmniejszenie poziomu inwestycji JST (mniej środków na udziały własne i mniejsza zdolność kredytowa). Spowoduje to także spadek wpływów podatkowych państwa (w tym zwłaszcza z podatku VAT)”.

PŁYNNE PIENIĄDZE

Inwestować można mądrze lub głupio. Na przykład wydając pieniądze na rzeczy drogie i generujące wysokie koszty, ale nie przynoszące zwrotów. Sztandarowym przykładem mogą być baseny, które po wejściu Polski do UE zaczęły rosnąć jak grzyby po deszczu. Nierzadko w miejscach, gdzie nie ma zbyt wielu chętnych do korzystania, czy blisko gmin, które już mają podobne obiekty. Jak mówi Grybionko, nie zna on w Polsce basenu samorządowego, który sam by się finansował. Jednak można inaczej. Tak jak np. w Tarnowie Podgórnym pod Poznaniem. – Najpierw inwestowali w tereny i ściągali firmy. W tej gminie autobusy produkuje firma MAN, centrum logistyczne ma Amazon. Potem inwestowali w sprawy społeczne: szkoły, przedszkola. Dopiero

na końcu postawili sobie basen. Teraz nie dostają prawie dotacji, bo są za bogaci – opowiada Grybionko.

Nawet zadłużać można się mniej lub bardziej mądrze. Wiceprezes INC Rating za przykład dobrego zarządzania długiem podaje Leszno w pierwszej dekadzie XXI w. – W każdym roku patrzyli, jakie są stawki. Czasem zadłużali się bardziej, ale na niższy procent, by spłacić droższy kredyt zaciągnięty wcześniej. Podobnie robi Kluczbork – tłumaczy Grybionko.

Z czasem możliwości zadłużania będą maleć, ponieważ stopniowo zakręcany jest kurek z unijnymi pieniędzmi. Samorządy starają się o kolejne środki dopłaty, dopóki można. Malejące w związku ze zmianami podatkowymi wpływy będą zwiększać pokusę dodatkowego zadłużania. Dlatego prezydent Lublina postuluje zamrożenie zapisu w ustawie o finansach publicznych, zakładającego, że przy wyliczaniu limitu zadłużenia danej jednostki samorządu terytorialnego brać się będzie pod uwagę niestandardowe instrumenty finansowe, takie jak leasing czy faktoring. To zwiększyłoby możliwości dalszego zaciągania długów przez gminy.

POTRZEBNA REKOMPENSATA

Z dodatkowym długiem czy bez niego samorządy potrzebują od rządu jakiejś rekompensaty strat związanych z obniżką PIT. Tym bardziej że straty mogą im przynieść także planowane rozwiązania dotyczące systemu emerytalnego. Jak wskazuje Unia Metropolii Polskich, zniesienie górnego limitu składek zmniejszy podstawę, od której będzie się liczył PIT (i w ten sposób zmniejszy wpływy z tego podatku), przeniesienie zaś środków z OFE do IKE także ograniczy dochody podatkowe samorządów z tytułu PIT. Dlatego też UMP proponuje znacząco podnieść udział samorządów w tym podatku. Chce tego także Związek Miast Polskich, dodając także, że państwo powinno zwiększyć wydatki na edukację i ochronę zdrowia, do których gminy muszą dokładać.

Jeśli samorządy będą miały problemy z wykonywaniem swoich zadań, to winni będą zarówno ich włodarze biorący za dużo kredytów, jak i rząd odbierający im możliwości uzyskania pieniędzy z PIT. O to, by nie zabrakło na szkoły czy szpitale, o rozwoju nie mówiąc, powinni zadbać wspólnie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

270 mld zł. Jednak o możliwościach gmin decyduje ich nadwyżka operacyjna, czyli różnica między wpływami a wydatkami stałymi. To, co zostanie, może być rozdysponowane np. na inwestycje lub na spłatę długów. A ta wyniosła – jak wynika z raportu polskiej agencji ratingowej specjalizującej się w budżetach samorządów INC Rating – w 2017 r. łącznie we wszystkich gminach i miastach na prawach powiatu ok. 16,7 mld zł. Można więc szacować, że samorządy muszą liczyć się z koniecznością ograniczenia swoich możliwości finansowych o blisko jedną trzecią.

W przypadku jednych gmin oznacza to zamrożenie planów rozwojowych, a w innych wręcz zagrożenie sporym zadłużeniem. Już dziś zdecydowana większość z nich jest „pod kreską”. – Niezadłużone gminy to skrajne przypadki. Albo są to samorządy bardzo bogate, bo na ich terenie znajduje się np. kopalnia, albo bardzo małe, które i tak nie miałyby czego budować – mówi „Do Rzeczy” wiceprezes zarządu INC Rating Krzysztof Grybionko. – Zadłużenie wynika w dużej mierze z planów inwestycyjnych. Samorządy nie generują takich nadwyżek, by móc inwestować za swoje. A jeśli

MACIEJ PIECZYŃSKI: Rok temu Sejm przegłosował ustawę o wsparciu dla kół gospodyń wiejskich. Jak podkreśla pani w wywiadach, dziś mamy do czynienia z prawdziwym renesansem tego typu aktywności.

ANNA GEMBICKA: Ustawa była przełomem. Nowe regulacje pozwoliły niezwykle zaktywizować społeczność wiejską. Z jednej strony, nowy impuls do działania otrzymały istniejące od dziesięcioleci koła z bogatą tradycją. Z drugiej zaś strony, powstało prawie 5 tys. nowych kół gospodyń wiejskich. Koła gospodyń wiejskich miały do niedawna wizerunek małych grupiek starszych pań zajmujących się darcie pierza. To mit. W kołach działają obecnie przede wszystkim niezwykle energiczne kobiety, niezależnie od wieku. Mamy do czynienia z pewną naturalną wymianą pokoleniową.

Dlaczego także młode kobiety chcą się angażować w działalność kół gospodyń wiejskich?

Przed wszystkim dlatego, że ktoś przypomniał o tej formie działania i zaczął ją propagować. Wcześniej koła również prężnie funkcjonowały, jednak jeśli w ogóle się o nich mówiło, to najczęściej w takim kontekście, że odchodzą do lamusa. My zaś pokazaliśmy, że może to być bardzo atrakcyjna forma aktywności dla kobiet na wsi. Duże znaczenie ma również wsparcie rządowe. Koła dostają od 3 do 5 tys. zł dotacji, w zależności od liczby członków. Kiedyś działalność była finansowana ze składek członkowskich, co nie zawsze pozwalało zrealizować wszystkie plany.

Po co finansować z budżetu państwa taką działalność?

Pochodzę ze wsi i wiem, jak bardzo potrzebne są mieszkańcom małych miejscowości różne formy aktywności. Poza tym dzięki nowej ustawie koła gospodyń wiejskich mogą funkcjonować jak swego rodzaju inkubatory przedsiębiorczości dla kobiet. Mogą promować swoje gminy na różnych targach, sprzedawać tam owoce swojej działalności. Rośnie moda na rękodzieło, ale również na produkty regionalne, naturalną, zdrową żywność... Obecnie jednak produkty te są często bardzo drogie, ponieważ jest ich niewiele. Koła mogą prowadzić działalność gospodarczą. W przypadku przeznaczania dochodów na działalność statutową nie płacą podatku CIT, są zwolnione z VAT do 200 tys. zł, nie mają obowiązku posiadania kas fiskalnych. Mają ponadto uproszczoną ewidencję przychodów



Z Anną Gembicką, wiceminister inwestycji i rozwoju rozmawia Maciej Pieczyński

PSL uznało, że nie trzeba pomagać wsi

FOT. TOMASZ CZELIŃSKI

i kosztów. Dzięki nowej ustawie, aby z tych wszystkich preferencji skorzystać, nie muszą działać przy kółkach rolniczych czy stowarzyszeniach – mogą działać samodzielnie. Warunkiem jest wpis do rejestru.

Na ile wsparcie tego typu inicjatyw pozwala wam w walce z PSL o „rząd dusz” na wsi?

Nie mamy zamiaru licytować się z konkurencją. Jako PiS staramy się docierać do obszarów, które wcześniej były w jakiś sposób pomijane czy wykluczone. Za czasów PO-PSL większość środków, przeznaczonych na działalność organizacji pozarządowych, trafiała do największych miast. Co najgorsze, na wieś

nie trafiały nawet informacje dotyczące możliwości ubiegania się o konkretne wsparcie. To bardzo istotna kwestia. Można tworzyć programy, oferować granty, ale jeśli w ślad za tym nie pójdzie odpowiednia kampania informacyjna, a także szkolenia dla zainteresowanych, to środki nie zostaną wydane tak, jak powinny. My zaś daliśmy mieszkańcom najmniejszych miejscowości odpowiednie narzędzia do ubiegania się o środki finansowe przeznaczone na działalność społeczną, kulturalną i edukacyjną.

Jednak dlaczego PSL nie zadbało o odpowiednią pomoc dla obszarów wiejskich? Może nie było takich możliwości?

Działacze PSL najwyraźniej uznali, że z politycznego punktu widzenia nie trzeba pomagać wsi – wystarczy być partią kojarzoną z rolnikami, aby utrzymać swoją pozycję. Okazuje się, że wyborcy nie są tak naiwni, jak się ludowcom wydaje. Wyniki wyborów samorządowych pokazały, że elektorat wiejski częściowo odwrócił się od PSL. Wyborcy zrozumieli, że partia ta, wbrew szumnym deklaracjom, wcale nie działa na ich korzyść. Poza tym, niestety, samorządowcy PSL zaczęli rzucać kłody pod nogi rolnikom korzystającym ze wsparcia rządowego. Znam parę przypadków, w których pochodzący z nadania PSL władze gmin czy powiatów wprost informowali przedstawicieli kół gospodyń wiejskich, które zdecydowały się skorzystać z pomocy rządowej, że nie otrzymają dodatkowych funduszy od samorządu, że nie będą zapraszane na dożynki, będą wykluczane z życia regionu. To zemsta za korzystanie z rządowego wsparcia. Bardzo przykra i niezrozumiała dla mnie praktyka. Można się ze sobą nie zgadzać, ale nie można karać ludzi za to, że korzystają z dotacji z budżetu państwa, którym obecnie rządzi konkurencja polityczna. Nie mieści mi się to w głowie.

Kolejna rzecz, którą PiS szumnie zapowiedział, jako inwestycję w rozwój wsi, to przywracanie połączeń autobusowych. Dlaczego to tak ważne?

To jedna z kluczowych kwestii dla inwestycji i rozwoju. Powtórzę za ministrem Kwiecińskim: „Rozwój jest tam, gdzie da się dojechać”. Gdy w trakcie kampanii wyborczej mieliśmy spotkania w terenie, pytania o przywrócenie konkretnych połączeń autobusowych były jednymi z najczęściej zadawanych. Ewentualnie, jako alternatywę, proszono o wytyczenie ścieżki rowerowej. Z punktu widzenia rozwoju gospodarczego rola połączeń autobusowych jest nie do przecenienia. Jeśli największy w gminie zakład pracy zlokalizowany jest na obrzeżach miasta, to przecież pracownicy muszą jakoś do niego dojechać, i to na konkretną godzinę. Będziemy zatem namawiać samorządowców do składania wniosków o dofinansowanie połączeń. Niektórzy zapewnili, że chcieliby złożyć, ale obawiali się, czy aby na pewno po wyborach dalej będzie zapewnione finansowanie. Jednak minister Adamczyk złożył jasną deklarację – o ile nie zmieni się władza, o tyle finansowanie będzie kontynuowane.

Niektórzy komentatorzy sugerują, że przywracanie połączeń to trochę powrót do minionej epoki.

Tego typu głosy to kpina z mieszkańców małych miejscowości. Nie przywracamy PRL, tylko lokalne połączenia. Tę inicjatywę krytykują z reguły mieszkańcy dużych miast, gdzie problem z dostępem do komunikacji praktycznie nie istnieje, ponieważ autobus czy tramwaj przyjeżdża co pięć minut.

A może z gospodarczego punktu widzenia lepiej byłoby postawić na prywatnych przewoźników? Może to powinien regulować rynek?

Rzeczywiście, np. w moim regionie jest sporo firm transportowych, organizujących przewóz osób. To jednak nie wystarczy. Celem przywracania połączeń jest dotowanie właśnie tych linii autobusowych, które z biznesowego punktu widzenia niekoniecznie są opłacalne dla samego przewoźnika. To jest zadanie publiczne, świadczone na rzecz mieszkańców. Ważne, by prywatni przewoźnicy zarabiali, jednak celem podstawowym jest możliwość transportu dla zwykłych mieszkańców małych miejscowości. Wielu samorządowców podnosiło argument, w myśl którego i tak nikt nie będzie jeździł dofinansowanymi liniami. Oczywiście przez pierwsze tygodnie pewnie nie, bo ludzie przyzwyczajeni są, że muszą radzić sobie inaczej. Jednak po niedługim czasie, gdy zorientują się, że transport zbiorowy powrócił do ich miejscowości, zaczną z niego chętnie korzystać. Poza tym jest jeszcze dodatkowy aspekt – dbałość o środowisko. Transport zbiorowy jest bardziej ekologiczny niż transport prywatny.

To powinno spodobać się lewicy, która przecież tak często krytykuje was za brak empatii dla zagadnień ekologii.

Mam wrażenie, że lewicy politycy nie rozumieją znaczenia lokalnych połączeń autobusowych, ponieważ większość z nich to mieszkańcy wielkich ośrodków. Na pasażerów PKS patrzą oni z góry. Uważam, że jeśli ktoś ma poglądy proekologiczne, jeśli ktoś ma wrażliwość na wykluczenie społeczne, to powinien popierać nasze programy.

Dlaczego rząd PO-PSL raczej likwidował, niż przywracał lokalne połączenia? Z braku pieniędzy?

Nasi poprzednicy twierdzili, że nie ma na to pieniędzy. Szkoda, że nie wzięto się na poważnie za uszczelnienie systemu

podatkowego. Poza tym koalicja PO-PSL miała inne priorytety. My wprowadzamy w życie ideę zrównoważonego rozwoju. Poprzednicy stawiali na rozwój polaryzacyjno-dyfuzyjny. Oznaczał on wsparcie rozwoju przede wszystkim wielkich ośrodków, które w konsekwencji miały niejako „zarazić” swoim rozwojem mniejsze ośrodki. To jednak okazało się nieskuteczne. Pomysł na Fundusz Rozwoju Przewozów Autobusowych wziął się z rozmów z wyborcami z małych miejscowości. Znamy ich potrzeby i odpowiadamy na nie.

Ministerstwo Inwestycji i Rozwoju realizuje program pod nazwą „Pakiet dla miast średnich”, przewidujący – realizowane ze środków unijnych – wsparcie rozwoju firm i miejskiej infrastruktury...

To część realizacji wspomnianej wizji zrównoważonego rozwoju. Zarówno dla gospodarki, jak i dla społeczeństwa byłoby niekorzystne, gdyby tylko największe ośrodki otrzymywały wsparcie. Przedsiębiorcy często potrzebują, po pierwsze, odpowiednio dużego terenu do realizacji swojej inwestycji, po drugie zaś – ręk do pracy. Jedno i drugie łatwiej znaleźć na terenie mniejszych ośrodków. Dlatego zachęcamy do inwestowania w takich miejscach, oferując preferencje w ramach Polskiej Strefy Inwestycji. Małe i średnie miasta muszą być atrakcyjnym miejscem do życia. Nie wystarczy miejsca pracy, aby skutecznie zatrzymać mieszkańców wyjeżdżających do większych ośrodków. Dlatego staramy się zapewniać rozwój infrastruktury, kultury, dostęp do edukacji, środki na rewitalizację, wreszcie – wspomniany transport zbiorowy. Do rozwoju średnich miast podchodzimy kompleksowo. Skupiliśmy się na tych miastach, które pełnią funkcję stolic swoich regionów, stanowią swego rodzaju punkty odniesienia dla mniejszych miejscowości. Jeśli miasto powiatowe się nie rozwija, to trudno o rozwój zależnych od powiatowego centrum wsi i miasteczek. Średnie miasta narażone są na wyludnianie, przez co tracą swoje funkcje społeczne i gospodarcze. Dlatego też, definiując miasta średnie, przyjęliśmy, że są to miasta powyżej 20 tys. mieszkańców oraz miasta powiatowe od 15 tys. mieszkańców. Mamy nadzieję, że pakiet dla miast średnich pomoże stworzyć równe szanse dla wszystkich, niezależnie od miejsca zamieszkania.



Jacek Przybylski z Londynu

W Pekinie otwarto największy terminal lotniskowy na świecie. Z kolei Turcy próbują pokonać Chiny i USA w obsłudze rekordowej liczby podróżnych. Do budowy polskiego megalotniska zgłosiło się już 130 firm z całego świata

Pod koniec września w Chinach otwarto lotnisko zaprojektowane przez biuro Zaha Hadid Architects. Sam terminal portu lotniczego Pekin-Daxing, którego kształt przypomina rozgwiazdę, zajmuje aż 700 tys. m kw. Po doliczeniu dodatkowych obiektów lotniskowych całkowita powierzchnia przekracza 1 mln m kw. Sprawna obsługa podróżnych mają gwarantować m.in. specjalnie zaprogramowane roboty, a także elementy „inteligentnego lotniska”, w tym nowoczesne systemy rozpoznawania twarzy. Daxing może obsłużyć rocznie nawet 45 mln pasażerów. Projektanci przewidzieli dla samolotów aż 268 miejsc postojowych. Budowa trwała niespełna sześć lat i kosztowała mniej więcej ok. 25 mld funtów (ok. 100 mld zł). Przepustowość lotniska oznaczonego kodem PKX – którego powstanie ma się przyczynić do stworzenia 200 tys. miejsc pracy – ma jednak systematycznie rosnąć: w 2025 r. do 72 mln, a w 2040 r. do 100 mln pasażerów rocznie. Obecnie lotnisko Pekin-Daxing ma do dyspozycji cztery pasy startowe, a kolejne dwa są w trakcie budowy. Nowy port jest położony 46 km od Pekinu. Podróż do centrum chińskiej stolicy szybką koleją zajmuje ok. 20 minut. Port PKX zbudowano, aby odciążyć główne lotnisko w Pekinie (PEK), które w 2018 r. obsługiwało 101 mln pasażerów.

PODNEBNY WYŚCIG

I chociaż według prognoz analityków Chiny odbiorą Stanom Zjednoczonym tytuł największego rynku lotniczego świata już w roku 2022, to ambicje stworzenia największego portu lotniczego mają Turcy. Obecnie największy pasażerów obsługuje lotnisko Hartsfield-Jackson w Atlancie, które od 21 lat zajmuje pierwsze miejsce wśród najruchliwszych na świecie (w 2018 r. obsługiwało 107 mln pasażerów). W Stambule – na granicy Europy



FOT. VCG/GETTY IMAGES

Walka o

i Azji – w kwietniu obecnego roku ruszyło megalotnisko, które do 2030 r. ma być największym portem lotniczym na świecie. Sześć pasów startowych, cztery terminale pasażerskie i 165 rękawów mają wówczas pozwolić Turkom obsłużyć nawet 200 mln pasażerów rocznie. To ambitne plany, ale zważywszy na to, że ruch lotniczy w Turcji rośnie o ponad 10 proc. rocznie, nie są one niemożliwe do zrealizowania. Wielu Turków było jednak przeciwnych budowie megalotniska, wskazując na wielkie koszty projektu, który stał się oczkiem w głowie prezydenta Recepta Tayyipa Erdoğan. Tylko pierwszy etap rozpoczętej w 2014 r. budowy pochłonął ponad 10 mld dol. (równowartość 40 mld zł). Port w Stambule czeka zaś kosztowna rozbudowa. Lotnisko ma na razie „tylko” cztery pasy startowe: dwa o długości 3750 m i dwa o długości 4100 m. Trzeba też dobudować nowe terminale.

Prognozowany rozwój megalotnisk idzie w parze ze strategią wzrostu narodowych przewoźników stawiających m.in. na ruch tranzytowy w swoich macierzystych hubach. Port lotniczy w Atlancie zyskał taką popularność dzięki bazie amerykańskiej linii Delta Air Lines (druga linia lotnicza świata), na lotnisko w Dubaju dużą część pasażerów przywożą dubajskie Emirates Airlines, a na lotnisku w Stambule bazę mają Turkish Airlines (dotychczasowy port lotniczy obsługuje rejsy cargo i VIP).

MEGALOTNISKO W BARANOWIE

W Polsce Port Lotniczy Solidarność ma zostać wybudowany na obszarze

ok. 3 tys. ha w okolicach Baranowa pod Warszawą. W pierwszym etapie funkcjonowania Centralny Port Komunikacyjny obsługiwałby rocznie 45 mln pasażerów. Lotnisko z dwoma pasami startowymi ma zostać uruchomione pod koniec 2027 r. Zdaniem części ekspertów oficjalna data będzie jednak trudna do dotrzymania.

– Otwarcie w roku 2027 to bardzo ambitny cel. Dotrzymanie tego terminu będzie wymagało wiele skupienia i zaangażowania. Do sukcesu będzie potrzebne też konsekwentne wsparcie polityczne, którego w przypadku rozbudowy Heathrow w pewnym momencie zabrakło – przekonuje w rozmowie z „Do Rzeczy” Mike Forster, prezes British Aviation Group. – Nie skupiałbym się jednak na samym terminie. Lepiej bowiem poświęcić więcej czasu na planowanie i dobre przygotowanie, aby uniknąć poważnych wpadek – dodaje.

Chodzi między innymi o błędy popełnione przez Niemców przy budowie lotniska Berlin-Brandenburg (datę otwarcia lotniska przekładano już 11 razy – najnowszą to październik 2020) czy też spektakularną klęskę lotniska Montreal-Mirabel, które w momencie otwarcia w latach 70. XX w. było największym pod względem powierzchni portem lotniczym na świecie. Duża odległość od centrum miasta, słaba komunikacja i przeszacowanie wzrostu ruchu pasażerskiego sprawiły, że inwestycja stała się symbolem marnotrawstwa publicznych pieniędzy.

Aby dostosować koncepcję lotniska do biznesowych realiów, władze powstającego



niebo

CPK zaprosiły do rozmów podmioty, które chcą wziąć udział w procesie konsultacji szczegółowego, 350-stronicowego briefu strategicznego. Firmy i instytucje zainteresowane wzięciem udziału w konsultacjach mogą się zgłaszać do końca października.

– Dotychczas weryfikację przeszło pozytywnie 130 firm i instytucji – mówi „Do Rzeczy” Konrad Majczyk, dyrektor komunikacji i PR w CPK. Wśród podmiotów, które wezmą udział w procesie uzgodnień strategicznych, znalazły się m.in. Polska Grupa Lotnicza (wraz z LOT-em), Międzynarodowe Zrzeszenie Przewoźników Lotniczych (IATA), największy sojusz linii lotniczych na świecie Star Alliance oraz zarządcy portów lotniczych: lotnisko Changi w Singapurze, lotnisko Incheon w Seulu oraz Aéroports de Paris.

Jeden z zarządców tych lotnisk na przełomie obecnego i przyszłego roku może zostać wskazany jako doradca strategiczno-techniczny. – Chodzi nam o wybór międzynarodowego partnera, który wie, jak się duży lotniczy port przesiadkowy projektuje, buduje i na nim zarabia – podkreśla Majczyk i dodaje, że podmioty, które chciały zaproponować zmiany i nowe rozwiązania, mogą zgłaszać się do końca października.

Na początku 2020 r. CPK zleci opracowanie planu generalnego portu lotniczego, który będzie zawierał m.in. dokładną lokalizację lotniska, szczegóły dotyczące poszczególnych etapów budowy, prognozy ruchu lotniczego na ponad 10 lat, a także ostateczny model biznesowy nowego por-

tu. Jeden z branych pod uwagę wariantów to wejście spółki CPK jako udziałowca do spółki joint venture z inwestorem zewnętrznym. Opracowanie tzw. masterplanu może zająć od roku do dwóch lat.

Na tworzenie analiz i niezbędnej do budowy dokumentacji spółka CPK otrzymała w lipcu od rządu 300 mln zł. Koszt realizacji całej inwestycji – zarówno części kolejowej, jak i lotniskowej – ma jednak wynieść kilkadziesiąt miliardów złotych. Rządowi Mateusza Morawieckiego zależy jednak na realizacji tej inwestycji, bo – zdaniem premiera – nowe lotnisko może być „biznesowym sercem Polski”.

Ta gigantyczna inwestycja ma się jednak zwrócić. Przeprowadzony przez firmę EY Test Prywatnego Inwestora pokazał, że przewidywana rentowność części lotniskowej wynosi 10,2 proc. Według wstępnych szacunków powstanie CPK mogłoby stworzyć nawet 150 tys. miejsc pracy i zwiększyć PKB.

POWTÓRZYĆ SUKCES TURCJI

Zdaniem ekspertów, np. autorów analizy rynku lotniczego opublikowanej w tym roku przez PwC, liczba pasażerów na polskich lotniskach tylko w tym roku powinna wzrosnąć o ponad 10 proc. Według Urzędu Lotnictwa Cywilnego ruch lotniczy w Polsce w roku 2028 powinien wynosić ok. 80 mln pasażerów, z czego prawdopodobnie ok. 40 proc. przypadnie na Warszawę. Lotnisko w Baranowie może też skorzystać na dynamicznie rozwijającym się rynku lotnictwa pasażerskiego w całym regionie Europy Środkowo-Wschodniej.

Już 18 października odbędzie się więc druga runda konsultacji dotyczących wyglądu przyszłego lotniska, prowadzonych z przedstawicielami przewoźników lotniczych w ramach Komitetu Konsultacyjnego, powołanego pod koniec maja przez Międzynarodowe Zrzeszenie Przewoźników Lotniczych (IATA) we współpracy z CPK. Wśród zainteresowanych linii poza LOT-em znaleźli się m.in. tacy giganci jak Emirates czy Qatar Airways oraz grupy lotnicze IAG (z British Airways) i Lufthansa. Głos przewoźników jest ważny, bo ostatecznie to właśnie oni będą musieli złożyć się na realizację inwestycji w formie opłat, które ponoszą za korzystanie z hubu.

Wśród podmiotów, które są zainteresowane udziałem w projekcie budowy polskiego megalotniska, są także brytyjskie firmy zrzeszone w British Aviation Group (BAG), które mają ogromne

doświadczenie w budowie największych lotnisk na świecie, np. w Stambule, Seulu, Singapurze i Pekinie.

– Lotnisko w Baranowie podobnie jak port w Stambule może czerpać wiele korzyści ze swego położenia geograficznego. Polski hub, zwłaszcza jeśli zostanie tak zaprojektowany, aby łatwo można się było po nim poruszać, może być też świetną bazą dla szybko rozwijającego się LOT-u i przyciągać pasażerów, którzy chcą korzystać z nowoczesnej floty – mówi „Do Rzeczy” Graham Bolton z czołowej brytyjskiej firmy konsultingowej Mott MacDonald, który był zaangażowany w projekt tworzenia nowego lotniska w Stambule. – Na przykładzie Turcji widać wyraźnie, że dobra wizja, przy odpowiednim wsparciu politycznym, rozbudowie floty narodowego przewoźnika i w połączeniu z budową hubu może przynieść sukces – dodaje.

Polski hub ma mieć docelowo cztery pasy startowe i obsługiwać nawet 100 mln pasażerów rocznie. Aby CPK był rentowny, Lotnisko Chopina musi zostać zamknięte, a LOT powinien przewozić co najmniej 15 mln pasażerów rocznie. To ambitne zadanie. LOT planuje jednak, że do czasu otwarcia hubu w Baranowie będzie przewoził 25 mln pasażerów, czyli ponad 2,5 raza więcej niż obecnie.

Projekt budowy CPK będzie tym bardziej skomplikowany, że tworzenie megalotniska będzie połączone z potężnymi inwestycjami kolejowymi łączącymi port lotniczy z największymi polskimi miastami (powstanie 1,6 tys. km linii), w tym linie kolei dużych prędkości łączące Warszawę, CPK, Łódź, Poznań i Wrocław. Przedstawiciele polskiej spółki w ubiegłym tygodniu wzięli udział w dwudniowych warsztatach zorganizowanych przez BAG w Londynie, podczas których Brytyjczycy opowiadali o swoich doświadczeniach dotyczących budowy największych lotnisk w Azji, a także rozbudowy londyńskiego Heathrow, najbardziej zatłoczonego lotniska Europy.

Zainteresowane zaprojektowaniem polskiego megalotniska są najbardziej prestiżowe pracownie architektoniczne: Woods Bagot, londyński Populous, KPF, Zaha Hadid Architects, Foster+Partners, Chapman Taylor, Gimshaw, Benoy oraz Paskall+Watson. Niektóre wstępne koncepcje zakładają, że pasażerowie przed podróżą z Baranowa będą mogli skorzystać nie tylko z saloników biznesowych, lecz także np. ze spa, z masażu, siłowni czy basenu.

Motor polskiego przemysłu

– Przemysł motoryzacyjny w Polsce w ostatnich kilkunastu latach rósł w tempie 6,5 proc. rocznie. Branża ta jest niekwestionowanym liderem wśród polskich eksporterów – podkreśla autor najnowszego raportu Banku Pekao SA

W 2018 r. polski przemysł motoryzacyjny wytworzył dobra o łącznej wartości aż 145 mld zł – wynika z raportu „Nowa era motoryzacji. Jak odnajdzie się w niej polski przemysł?”, opublikowanego przez Bank Pekao SA. Głównym motorem rozwojowym stał się segment części, w którym Polska wyrosła na jednego z europejskich liderów. Branża zalicza się do ekskluzywnego grona największych sektorów przemysłowych Polski, posiadając niemal 13-procentowy udział w krajowym przetwórstwie (większą wartość ma jedynie przemysł spożywczy, który ma 17 proc. udziału w produkcji przemysłowej Polski). Jak zauważa autor wspomnianego raportu, wartość eksportu sektora wyniosła w ubiegłym roku aż 32,3 mld euro. Wśród eksporterów autobusów i autokarów Polska zajmuje drugie miejsce w Unii Europejskiej i piąte na świecie, wśród eksporterów przyczep na odpowiednio trzecie i szóste miejsce, a wśród eksporterów części

samochodowych – czwarte miejsce w Unii Europejskiej i dziewiąte miejsce na świecie.

SOLIDNE FUNDAMENTY, WYSOKIE PŁACE

Sektor wyróżnia się wysokim zaangażowaniem kapitału zagranicznego. Międzynarodowe koncerny współpracują jednak ściśle z polskimi firmami, tworząc rozległy ekosystem. Kiedy więc w Europie Zachodniej produkcja w segmencie motoryzacyjnym w ostatnich 10 latach wzrosła jedynie o 18 proc., w Polsce przyrost był niemal dwukrotny.

Sektor zatrudnia w naszym kraju łącznie nawet 225 tys. osób, generując zaawansowane miejsca pracy. Przeciętna miesięczna płaca jest wyższa o 8 proc. od średniej w gospodarce i wynosi aż 5,6 tys. zł. Mimo wysokich płac branży brakuje rąk do pracy, silna jest również presja na kolejne podwyżki płac. Sytuacja na rynku pracy jest jednym z trzech głównych wyzwań krótkoterminowych. Wśród

pozostałych autor raportu wskazuje na napięte otoczenie geopolityczne (wciąż nierozstrzygniętą kwestię brexitu oraz wojny handlowe, w tym widmo wprowadzenia ceł przez Stany Zjednoczone na import europejskich aut i części samochodowych), a także na spowolnienie gospodarcze, a zwłaszcza spowolnienie w Niemczech (nastroje przedsiębiorców i konsumentów w krajach Unii Europejskiej są najsłabsze od sześciu lat). Krótkoterminowe wyzwania mogą przynieść przejściowe spowolnienie w branży, ale nie zmieniają generalnie optymistycznych perspektyw – podkreśla raport.

– Branża motoryzacyjna to jeden z fundamentów polskiej gospodarki, dlatego przyglądamy się jej ze wzmoczoną uwagą. Mimo wyzwań w krótkim terminie, takich jak spowolnienie gospodarcze w UE czy konflikty handlowe, perspektywy rysują się optymistycznie – podkreśla Kamil Zduniuk, ekspert z Zespołu Analiz Sektorowych Banku Pekao SA, autor raportu. – Branża stoi na solidnych fun-



damentach i rozwija się w wielu wymiarach, dzięki czemu jak dotąd skutecznie opierała się schłodzeniu niemieckiej gospodarki. Nawet jeśli kolejne kwartały przyniosą spowolnienie, to powinno ono być tymczasowe – dodaje Kamil Zduniuk.

NIEODWRACALNE ZMIANY

Autor raportu Banku Pekao SA zauważa, że przemysł motoryzacyjny na całym świecie wchodzi w nową erę, definiowaną przez megatrendy, takie jak nowe rodzaje napędów (w tym elektromobilność), inteligentne rozwiązania dla samochodów (w tym samochody autonomiczne) czy współdzielenie pojazdów. Skala zmian jest tak wielka, że rodzi potrzebę ogromnych inwestycji w badania i rozwój. Obecnie produkcja motoryzacyjna – tak na świecie, jak w Polsce – jest niemal w całości dostosowana do obsługi pojazdów spalinywych. Jak jednak czytamy w dokumencie, „nowe rozdanie”, z którym mamy do czynienia w przypadku produkcji pojazdów elektrycznych, to szansa dla Polski na

przyciągnięcie dużych inwestycji w modernizację i nowe fabryki aut oraz części.

– Główne megatrendy przyniosą nieodwracalne zmiany we wszystkich elementach łańcucha wartości i nie inaczej będzie w Polsce. Przed sektorem staną poważne wyzwania, ale też niepowtarzalne szanse. Skala jego adaptacji do tych zmian będzie determinowała przyszłe tempo rozwoju. Dla przykładu: oceniamy, że nawet połowę udziału w krajowym przemyśle części mają obszary wrażliwe na wzrost roli napędów elektrycznych – przekonuje Kamil Zduniuk.

Według raportu kluczem będzie zdolność Polski do absorpcji nowych inwestycji, a więc zachęcenie dotychczasowych i zupełnie nowych inwestorów do rozwoju krajowej motoryzacji w kierunku zgodnym ze światowymi trendami. Jednocześnie proaktywnie w te nowe łańcuchy wartości muszą włączać się również krajowe przedsiębiorstwa.

– Widzimy wiele szans dla polskiej motoryzacji. Wykreowana specjalizacja w obszarze części daje doskonały fun-

dament do tego, abyśmy w przyszłości stali się optymalnym miejscem w Europie do lokowania produkcji w zakresie nowoczesnych rozwiązań, np. elektromobilności. Takie inwestycje już zaczynają napływać, a po stronie polskich firm widoczne jest coraz większe zaangażowanie w tych obszarach. Nasz kraj może być też zagłębiem kapitału intelektualnego, umożliwiającego tworzenie hubów rozwiązań dla samochodów inteligentnych i autonomicznych. Mamy tu znaczącą przewagę konkurencyjną nawet wobec bogatych państw zachodnich – zauważa autor raportu.

OPTYMISTYCZNY CEL: PONAD 300 MLD

Jak zauważa Kamil Zduniuk, Polska może być beneficjentem dalszego optymalizowania produkcji tradycyjnych aut spalinowych i części do nich. – Napędy spalinowe nie znikną z dnia na dzień, a stopniowa transformacja motoryzacji to ważna informacja dla branży. Pozwala na „okres przejściowy”, który będzie trwał jeszcze kilkanaście lat. W tym czasie można rozwijać się dzięki dotychczasowym motorom wzrostu, jednocześnie budując drugą już gałąź działalności, ukierunkowaną na motoryzację przyszłości – mówi autor raportu. Ogromną szansę stanowi budowa przemysłu nowej generacji, opartego na rosnących w siłę globalnych megatrendach, takich jak napędy elektryczne czy inteligentne samochody.

Pośród trzech zaproponowanych scenariuszy scenariusz bazowy zakłada, że branża do 2030 r. osiąga wartość produkcji 245 mld zł, przy średnim tempie rozwojowym 4,5 proc. rocznie (łącznie wzrost o prawie 70 proc.). Szybkość adaptacji nowych technologii mogłaby jednak pozwolić na osiągnięcie nawet 305 mld zł (ponad dwukrotny wzrost względem 2018 r.). Wariant pesymistyczny, zakładający zaprzepaszczenie szans i trwałe pozostanie przy kurczących się segmentach tradycyjnych, przewiduje długoterminową stagnację branży i średnie tempo wzrostu nieprzekraczające 1 proc. rocznie.

– Aby wykorzystać otwierające się szanse, potrzebne są działania zarówno samych firm, jak i instytucji państwowych. Wykreowanie wizerunku Polski jako atrakcyjnej lokalizacji dla nowoczesnych rozwiązań motoryzacyjnych przyniesie długotrwałe korzyści dla sektora i całej gospodarki – podsumowuje Kamil Zduniuk.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

O czym uparcie milczymy

Zdawałoby się, że okres poprzedzający wybory to najlepszy, wprost wymierzony czas do debatowania o najważniejszych – tych naprawdę kluczowych – sprawach, które wciąż czekają na załatwienie. A zwłaszcza o tych, które czekają – i czekają, i czekają – i doczekać się nie mogą.

A zatem że kampania przed wyborami to świetna okazja, by zająć się rozstrzygnięciem, co musimy – i to bezwzględnie natychmiast – zrobić, żeby w XXII w. Polacy nie wymarli, a nasze terytorium nie zostało zajęte przez te narody, które lepiej sobie radzą z demografią. Przewidywania są bowiem dramatyczne – w 2100 r. ma nas być już tylko 21 mln, i to w wariancie średnim, a nie najgorszym.

Kampania przedwyborcza to doskonała okazja, by zająć się szukaniem rozwiązań, jak ma wyglądać nieodległa przyszłość naszej energetyki – jeśli bowiem nie zamierzamy wyjść z UE ani nie chcemy za kilka, kilkanaście lat zbankrutować z powodu karnych opłat za emitowanie CO₂, które wykończą nas niebotycznymi cenami prądu, to nasza energetyka po prostu nie może w 80 proc. zależeć od węgla. No, chyba że liderzy tej czy owej partii ani myślą dokonywać w tej materii zmian, lecz w takim przypadku powinni niezwłocznie przystąpić do innej debaty – nad tym, czy Polska nadal ma należeć do UE, bo przynależność do Unii i nasza energetyka w obecnym kształcie już są nie do pogodzenia.

Innym kluczowym problemem, wciąż nierozwiązanym – i to tak bardzo nierozwiązanym, że poza Polską zdążyły go rozwiać już WSZYSTKIE POZOSTAŁE państwa Europy Środkowej – o którym powinno się zażarcie debatować przed wyborami, jest kwestia zwrotu – właścicielom lub ich prawnym spadkobiercom, w naturze lub za odszkodowaniem, w całości lub ustalonej w ustawie części – mienia zagrabionego w PRL. I to tak debatować, by jak najszybciej tę sprawę załatwić, bo niezadowolona nie pozwala mierzyć się z innymi wyzwaniem, a nadto raz za razem sprowadza na nas ataki a to z USA, a to z Izraela, a to z innych regionów świata, co niepotrzebnie drogo kosztuje. I ułatwia ataki na Polskę w sprawie nienależnych odszkodowań za mienie bezspadkowe.

A to oczywiście dalece nie wszystkie ze spraw najważniejszych i niezadowolonych, o które powinniśmy się teraz zażarcie wadzić – ich lista jest długa; weźmy choćby tak fatalny stan służby zdrowia, że już niewielu Polaków ma nadzieję na jakąkolwiek poprawę.

Otym wszystkim jednak, zamiast się spierać – po to, by znaleźć i wybrać jak najlepsze rozwiązanie – politycy albo uparcie milczą, albo obrzucają się rytualnymi zarzutami, że żaden z nich wcześniej niczego w tej (czy innej) kwestii nie zrobił. A o czym „dyskutują” – łatwo się przekonać, obserwując programy telewizyjne czy portale społecznościowe. Jeśli ktoś ma jeszcze na to siłę. ©©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Ceny regulowane

Większość parlamentarna rządzi, stosując trzy podstawowe metody. Po pierwsze, tworzy prawo i egzekwuje jego przestrzeganie. Po drugie, zarządza finansami państwa, a w szczególności sposobem wydawania pieniędzy publicznych. Po trzecie, zarządza mieniem Skarbu Państwa, w tym firmami i nieruchomościami państwowymi. Można by dodać jeszcze czwarty, tzw. miękki, mechanizm rządzenia, czyli tworzenie norm kulturowych, narracji oraz budowanie oczekiwań społecznych, które wpływają na zachowania obywateli.

O ile w słusznie minionym okresie socjalizmu jednym z kluczowych sposobów rządzenia było ustalanie cen, o tyle w kapitalizmie rząd bardzo rzadko sięga po ten rodzaj polityki. Może właśnie dlatego, że to źle się kojarzy. Jednak osiągnięcie celów polityki rządu za pomocą określania cen powinno być postrzegane przez obywateli jako lepsze niż wdrażanie restrykcyjnego prawa, ponieważ zostawia większy margines wolności. Ponadto właściwie ustalone ceny mogą znacząco zmieniać zachowania ludzi zgodnie z preferencjami społecznymi lub celami programowymi rządu, co w demokracji powinno być tożsame.

Spójrzmy na kilka oczywistych przykładów, które jednak nie są wdrażane z pewnych powodów. Wszyscy narzekamy na smog i korki w każdym większym mieście. A wystarczy ustawowo

wprowadzić cenę minimalną za godzinę parkowania w szerokim centrum, np. w mieście powyżej 1 mln mieszkańców – 12 zł za godzinę, od 500 tys. do 1 mln mieszkańców – 10 zł za godzinę, a w pozostałych – 8 zł. Mieszkańcom centrum przysługiwałoby jedno darmowe miejsce parkingowe na jedno mieszkanie. Po wprowadzeniu tego rozwiązania korki i smog uległyby zmniejszeniu.

Inny przykład. Wszystkich bardzo niepokoi wpływ plastiku na środowisko, co w szczególności dotyczy plastikowych toreb. Wystarczy ustawowo wprowadzić cenę minimalną na torbę foliową w wysokości 5 zł, a następnego dnia te torby znikną ze wszystkich sklepów.

Bardzo niepokojące są słabe wyniki młodego pokolenia na maturze z matematyki, ponieważ kompetencje matematyczne są kluczowe w stuleciu sztucznej inteligencji, robotyzacji i algorytmizacji życia. A gdyby nauczyciel w klasie maturalnej, w której wszyscy maturzyści zdali maturę z matematyki, dostał ustawową premię, w szkołach z czołówki rankingów symboliczne 100 zł, ale np. w szkołach z końcowych miejsc w rankingach 5 tys. zł albo więcej. Być może wówczas nauczyciele matematyki o bardzo dobrych umiejętnościach pedagogicznych wybieraliby gorzej kształcące szkoły i mielibyśmy bardziej egalitarne, a mniej elitarne szkolnictwo średnie.

Polityka cenowa może być bardzo skuteczna. ©©

Autor pełni funkcję chief ideatora w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

TEST „DO RZECZY”: MOTOROLA ONE VISION

Duży ekran, niemal „czysty” Android i niezła wydajność – to największe zalety telefonu ze średniej półki od Motoroli.

Ciekawy design przykuwa oko. Dobrze leżąca w dłoni obudowa w zależności od kąta padania światła mieni się różnymi kolorami: od jasnoniebieskiego do ciemnogrnatowego (są też oczywiście dostępne inne wersje kolorystyczne). Do smartfona dołączone jest silikonowe przezroczyste etui.

Duży wyświetlacz IPS o przekątnej 6,3 cala ma rozdzielczość 2520 x 1080 pikseli. Proporcje 21:9 nie wydają się jednak dobrym pomysłem. Co prawda łatwiejsza jest obsługa dwóch aplikacji jednocześnie, ale często duża część ekranu pozostaje niewykorzystana, gdy wiele programów nie jest dostosowanych do proporcji 21:9. Ostrość jest na dobrym poziomie. Gorzej z kolorami, które wyglądają nieco blado.

Za niezłą wydajność – jak na tę półkę cenową – odpowiada ośmiordzeniowy procesor Exynos 9609 2,2 GHz oraz 4 GB pamięci RAM. Chociaż niektóre aplikacje mogłyby otwierać się nieco szybciej, to nie jest źle. Niemal czysty Android 9.0, bez miliona zbędnych bajerów, sprawia też, że smartfon działa bardzo płynnie i stabilnie. Na pochwałę zasługuje też duża ilość wbudowanej pamięci (w teorii to 128 GB, ale do dyspozycji

użytkownika zostaje ok. 110 GB), którą można dodatkowo rozszerzyć za pomocą kart microSD.

Po stronie plusów można też wpisać: niezbędny do smartfonowych płatności moduł NFC,

dual-SIM, skaner linii papilarnych, nowoczesne wejście USB-C oraz bardzo rzadko dziś spotykane radio FM. Bateria o pojemności 3500 mAh pozwala bezstresowo przetrwać cały dzień pracy, ale na cały drugi dzień już na pewno nie wystarczy. Niestety, nie ma tu opcji bezprzewodowego ładowania.

Największą wadą testowanego smartfona jest słaby aparat fotograficzny. W teorii powinno być niezłe: do dyspozycji jest 48-megapikselowy sensor z obiektywem o niezłej jasności (f/1.7) oraz 5-megapikselowym sensorem głębi. W praktyce jakość wykonywanych zdjęć w dzień jest co prawda przyzwoita, ale większość fotografii robionych przy słabym oświetleniu nadaje się do kosza. Przedni aparat jest jeszcze gorszy.

Po stronie minusów można też wpisać: brak diody powiadomień, wystający moduł aparatu fotograficznego oraz głośnik mono zamiast stereo (choć pozytywnie zaskakuje on maksymalnym poziomem głośności). Dobrze więc, że producent zostawił gniazdo 3,5 mm jack.

Podsumowując, testowany model to ciekawa propozycja dla tych, którym bardziej zależy na stabilności działania niż na smartfonowej fotografii. Cena: 1199 zł. ©© **Jacek Przybylski**



LEPIEJ NIŻ STEPPER

Coraz trudniej zmusić się do wychodzenia i spacerów w jesenną aurę. Jednak o zdrowie warto dbać, bo później rozciąganie, otwieranie mięśni kosztuje sporo, nie tylko bólu. Teraz można pochodzić, nie ruszając się z fotela, a The Scoop – kompaktowy trener cardio – pozwala ćwiczyć mięśnie i wzmacniać nogi w znacznie większym stopniu niż zwykły stepper. Dlaczego? Bo pozwala na spalanie w tym samym czasie większej liczby kalorii i ćwiczenia większej liczby mięśni niż stepper czy rower tradycyjny, pozwalając na kompletny 360-stopniowy trening dolnego odcinka ciała.

Cena niestety jest dość wysoka, wystarczyłaby na wykupienie całorocznego karnetu w większości dobrych siłowni w Polsce. Na portalu Indiegogo trzeba za The Scoop zapłacić ok. 800 zł, a dostawa w grudniu.



EDUKACYJNE KLOCKI

Powoli zbliżają się święta, na które szczególnie cieszą się najmłodsi, bo to przecież do nich przychodzi najpierw Święty Mikołaj, wreszcie gwiazdor. A jak najmłodsi, to można też pomyśleć – oprócz nieodzownej stawy duchowej – o małych przyjemnościach dla nich. Takich jak np. Miao Kids – interaktywne zabawki uczące języka angielskiego oraz matematyki przeznaczone dla dzieci w wieku od dwóch do ośmiu lat. Zasada funkcjonowania Miao Kids jest dość prosta, a zabawka składa się z trzech elementów. Aplikacji, skorelowanej z nią podkładki, na której układamy specjalne klocki. Te z kolei służą do gry w edukacyjne projekty wyświetlane na ekranie. Sposób układania klocków na podkładce automatycznie odzwierciedlany jest w grze.

Podstawowy zestaw służący do nauki słówek w języku angielskim i elementów matematyki można zamawiać na portalu Indiegogo już za ok. 400 zł. Dostawa pod koniec listopada. ©©

Wojciech Wybranowski





FOT. ADRIAN STOK



**Z prof. Witoldem Tłustochowiczem,
reumatologiem**
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Skazani na osteoporozę?

KATARZYNA PINKOSZ: O tej chorobie mówi się „cichy zabójca” i, niestety, to prawdziwe określenie, patrząc na liczbę zgonów spowodowanych powikłaniami osteoporozy. Tylko na skutek złamania szyjki kości udowej w 2017 r. zmarło ponad 4 tys. osób, czyli dwa razy więcej niż w wyniku wypadków drogowych. Jesteśmy skazani na osteoporozę? Dlaczego nasze kości z wiekiem słabną?

PROF. WITOLD TŁUSTOCHOWICZ: Niestety, jesteśmy na nią skazani. Osteoporoza jest związana z wiekiem, a żyjemy coraz dłużej. Każdemu z nas wraz z wiekiem ubywa masy kostnej, choć nie jest to widoczne. Oczywiście, ma na to wpływ nasz styl życia: mała ilość ruchu, niedobory wapnia, związane często z dietą niedoborową w ten pierwiastek niedobory witaminy D (ma je ok. 95 proc. osób w naszej strefie klimatycznej zimą). Niekorzystne jest też palenie papierosów, picie alkoholu, kawy. Kobiety po 50.-55. roku życia, a mężczyźni po 65. roku życia powinni wykonać badanie densytometryczne, sprawdzające gęstość mineralną kości. Takie badanie jest wprost konieczne, gdy doszło do złamania, szczególnie kręgosłupa, biodra, przedramienia. Niestety, z przykrością muszę powiedzieć, że te badania wciąż jeszcze często nie są zalecane przez leka-

rzy, nawet po złamaniach. Także dostęp do odpowiedniej aparatury jest w Polsce bardzo ograniczony i trudny.

Czy osteoporozie można zapobiec?

W pewnej mierze tak, eliminując czynniki ryzyka, dbając o aktywność fizyczną, dietę bogatą w wapń, suplementując witaminę D. Jednak najpoważniejszym czynnikiem ryzyka jest wiek, a u kobiet także menopauza i związane z nią zmiany hormonalne. Dzisiaj w Polsce jest ok. 1,5 mln kobiet chorych na osteoporozę i ok. 400 tys. mężczyzn, czyli w sumie prawie 2 mln osób.

Mniejsza masa kostna oznacza większe ryzyko złamań?

Tak, tzw. złamań niskoenergetycznych, na skutek zwykłego potknięcia się, czyli upadku z wysokości ciała. Szacuje się, że ok. 40 proc. kobiet i 20 proc. mężczyzn będzie miało w ciągu życia przynajmniej jedno złamanie osteoporotyczne. Każde takie złamanie pogarsza jakość życia, pacjent staje się mniej sprawny, co prowadzi do powikłań, także śmiertelnych. Gdy ma się złamany kręgosłup, często dochodzi do zapalenia płuc, złamanie

szyjki kości udowej może powodować zakrzepicę. Śmiertelność w ciągu roku po tego typu złamaniu wynosi ok. 20 proc. u kobiet i aż ok. 37 proc. u mężczyzn.

Dobre leczenie może zapobiec złamaniom?

Oczywiście. Dobre leczenie to przede wszystkim leczenie kompleksowe. Po pierwsze konieczne jest wyeliminowanie czynników ryzyka złamania, w tym poprawienie ogólnej sprawności fizycznej i usunięcie z domu wszelkich przeszkód, o które starsza osoba może się potknąć, przewrócić, przez co dochodzi do złamania. Newralgicznym miejscem jest łazienka, gdzie powinny być maty przeciwpoślizgowe. Zamiast wanny lepiej używać brodzika. Ważne jest też to, żeby starsze osoby nie stosowały leków pogarszających ogólną sprawność, czyli np. leków nasennych, zwłaszcza benzodwiazepin. Trzeba też uważać na leki gwałtownie obniżające ciśnienie i pogarszające ogólną orientację (np. przeciwwymiotne). Ważna jest też dieta bogata w wapń, czyli należy spożywać mleko i jego przetwory.

Wiele osób uważa, że wapń nie przyswaja się dobrze z mleka i jego przetworów.



złamań o 60–70 proc. – pod warunkiem że chory rzeczywiście przyjmuje je regularnie. Niestety, tak nie jest – pacjenci zapominają o przyjmowaniu leków, a często świadomie z nich rezygnują z powodu skutków ubocznych. Po roku już tylko co dziesiąty pacjent przyjmuje leki, a powinny one być stosowane trzy–pięć lat.

Dlatego obecnie coraz częściej zaleca się stosowanie leku biologicznego, podawanego podskórnie raz na pół roku. Jest wygodniejszy i ma mniej skutków ubocznych. Początkowo wszędzie na świecie najpierw stosowano bisfosfoniary, dopiero gdy chory ich nie tolerował albo miał złamanie, to dostawał lek biologiczny. Jednak obecnie, ze względu na wygodę stosowania, zaleca się już rozpoczynanie leczenia osteoporozy właśnie od denosumabu, czyli leku podawanego podskórnie.

W Polsce ten lek jest dostępny tylko dla niewielkiej grupy kobiet...

Tak, w ramach listy dla seniorów może go otrzymać bezpłatnie kobieta, która miała złamanie, ma potwierdzoną osteoporozę w badaniu densytometrycznym, a także nietolerancję bisfosfoniarów lub nie były one skuteczne. Kobieta po skończeniu 60 lat może kupić ten lek z odpłatnością 30 proc., ale też pod warunkiem spełnienia wszystkich tych kryteriów.

A gdy ma np. 55 lat i złamanie?

To nie ma żadnej refundacji, nawet jeśli doszło do złamania i stwierdzono u niej osteoporozę.

To absurd, podobnie jak to, że musi dojść do złamania, żeby dostać skuteczny lek. Takie zapisy mają jakieś uzasadnienie medyczne?

Oczywiście, że nie. Ten lek działa tak że bardzo dobrze u osób z osteoporozą, u których jeszcze nie doszło do złamania. Chodzi przecież o to, żeby temu zapobiec.

A co z mężczyznami? To prawda, że lek nie jest refundowany dla mężczyzn?

Tak, w Polsce kryteria refundacyjne uwzględniają tylko kobiety.

Lek działa zależnie od płci?

Oczywiście, że nie. Wcześniej nie dysponowaliśmy badaniami potwierdzającymi działanie leku u mężczyzn. Gdy kiedyś robiono badania u kobiet, trwały one co najmniej trzy lata. Ich celem było ocenie, czy lek zmniejsza ryzyko złamań,

Około 40 proc. kobiet i 20 proc. mężczyzn będzie miało w ciągu życia przynajmniej jedno złamanie osteoporotyczne

a przy okazji sprawdzano, jak wpływa na densytometrię: czy zwiększa masę kostną. Stwierdzono ścisłą zależność między wzrostem masy kostnej a zmniejszeniem ryzyka złamania. Dlatego u mężczyzn badania uproszczono: trwały dwa lata i miały na celu sprawdzenie, czy wzrasta masa kostna. Założono, że jeśli u kobiet wzrost masy kostnej zapobiega złamaniom, to tak samo będzie u mężczyzn. Skoro badania wykazały, że u mężczyzn, którzy przyjmowali lek, masa kostna rośnie, to należy zakładać, że ryzyko złamań też będzie mniejsze. Dlatego zarówno FDA (amerykańska Agencja ds. Żywności i Leków), jak i EMA (Europejska Agencja Leków) zarejestrowały denosumab także do leczenia osteoporozy u mężczyzn. W Polsce zaś Agencja Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji, oceniając lek, stwierdziła, że jest on „niedobadany”. Skoro jednak FDA i EMA zarejestrowały lek u mężczyzn, to nie sądzę, by był sens kolejnych badań. Kto miałby je zrobić?

Mężczyźni powinni więc też móc ten lek stosować?

Tak, zresztą jest on od dawna stosowany u mężczyzn przy przerzutach raka prostaty do kości. I jest bardzo skuteczny.

Niedawno uczestniczył pan w debacie na temat osteoporozy wspólnie z wiceministrem Maciejem Miłkowskim. Czy są nadzieje, że lek wkrótce będzie szerzej dostępny dla pacjentów?

Minister podkreślał, że temat osteoporozy dla niego jest bardzo ważny; ja też starałem się go przekonać argumentami merytorycznymi, które przytaczałem.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



prof. Witold Tlustochowicz

– pracuje w Klinice Chorób Wewnętrznych i Reumatologii Wojskowego Instytutu Medycznego w Warszawie, przez wiele lat był konsultantem krajowym w dziedzinie reumatologii.

Rzeczywiście, u osób starszych często dochodzi do zaniku laktazy – enzymu pomagającego w trawieniu laktozy, czyli cukru mlecznego, dlatego gdy piją mleko, pojawiają się biegunki. Lepsze są przetwory mleczne: kefiry, jogurty, sery. Osoby, które mają uczulenie na białko mleka krowiego, powinny przyjmować preparaty wapnia – co najmniej 1 g dziennie. Przy okazji dementuję jeszcze jeden mit: przyjmowanie w takiej ilości wapnia nie grozi miażdżycą. Ważna jest też suplementacja witaminy D3. Nawet 95 proc. osób w Polsce ma zimą niedobór witaminy D3. Kiedyś uważało się, że wystarczą małe dawki, dziś wiemy, że powinno to być 2–4 tys. jednostek witaminy D3 dziennie.

Kiedy konieczne jest już przyjmowanie leków?

Jeśli badanie densytometryczne wykazuje obniżoną masę kostną, trzeba podawać leki, które hamują jej dalsze obniżanie, a często także ją podwyższają. Zwykle terapię zaczyna się od podawania bisfosfoniarów. Problemem jest to, że organizm trudno je przyswaja. Optymalnie byłoby, żeby pacjent przyjmował je na czczo, pół godziny przed jedzeniem, w pozycji stojącej lub siedzącej i popijał przegotowaną wodą. Czemu przegotowaną? Bo inaczej bisfosfoniary łączą się z wapniem i nie wchłaniają (gotowanie wody wytrąca z niej wapń). Leki przyjmuje się najczęściej raz na tydzień, czasem raz na miesiąc. Są skuteczne, zmniejszają ryzyko



Katarzyna Pinkosz

Na liście leków refundowanych od września znalazła się nowa terapia dla chorych na łuszczycę. Jak zmieni ona ich sytuację?

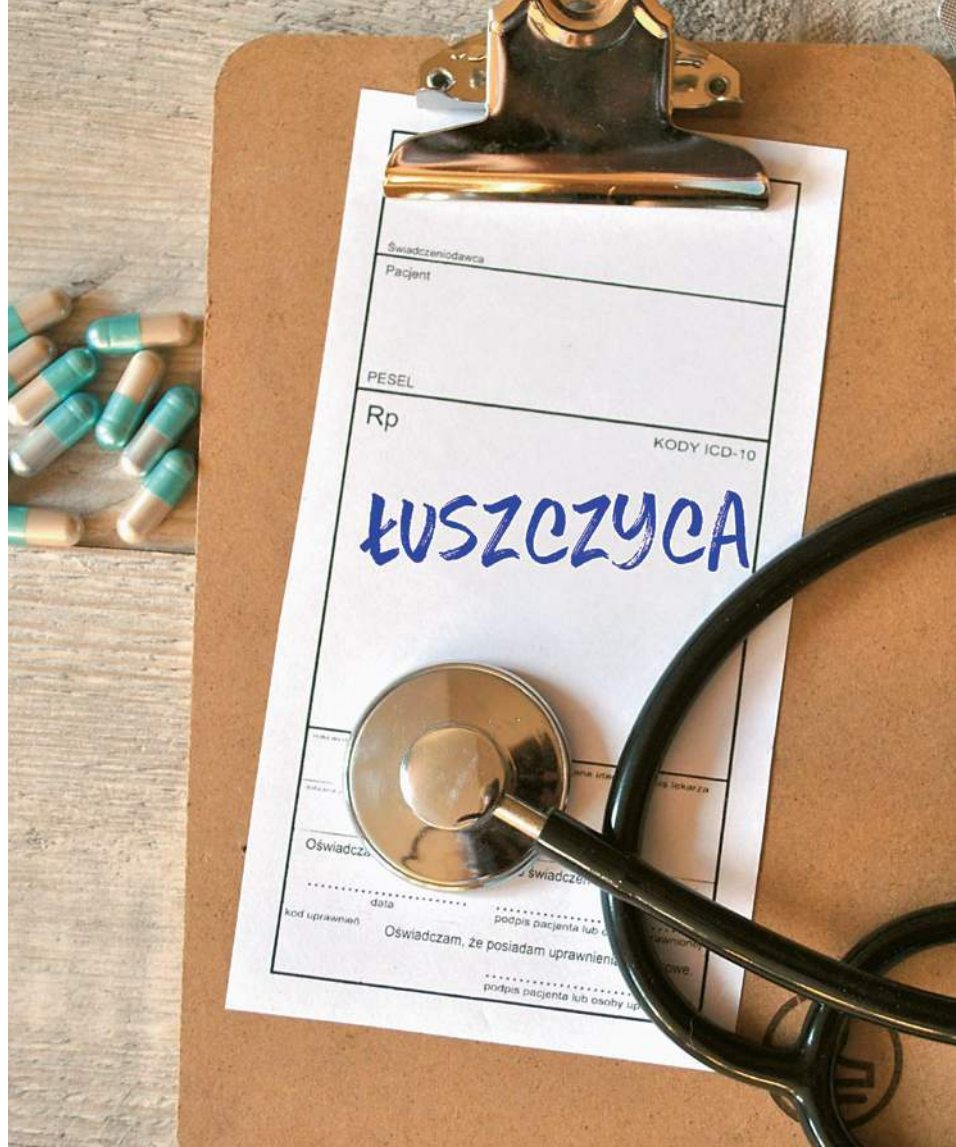
O nowocześnie leki najczęściej walczą chorzy onkologicznie: nowe terapie ratują życie lub je wydłużają. W przypadku cukrzycy czy hipercholesterolemii nowocześnie terapie mogą zapobiec groźnym powikłaniom. A czy jest sens walczyć o nowe leki w łuszczycy, skoro to „tylko choroba skóry”?

Takiego pytania nigdy nie zada ktoś, kto ma łuszczycę lub w kogo rodzinie choruje bliska osoba. Łuszczycę potrafi zniszczyć życie: powoduje mniejszą wiarę w siebie, wstyd, unikanie kontaktów z innymi, niepodjęcie wyzwań, zamykanie się w sobie. – Jednak przede wszystkim to nie jest tylko choroba skóry, to jeden z wciąż pokutujących mitów – mówi zdecydowanie prof. Joanna Narbutt, krajowa konsultantka w dziedzinie dermatologii i wenerologii. Chociaż zmiany widać przede wszystkim na skórze, to proces zapalny, który je wywołuje, toczy się w całym organizmie. – U 30–40 proc. chorych rozwija się dodatkowo łuszczycowa choroba stawów. Osoby z łuszczycą częściej chorują na nadciśnienie, cukrzycę, otyłość, zespół metaboliczny, nieswoiste choroby zapalne jelit. Wszystkie te problemy mają wspólne podłoże zapalne – przekonuje prof. Narbutt.

GORSZY WYGLĄD

Na łuszczycę choruje ok. 1 mln Polaków. Objawy mogą pojawić się w każdym wieku, nawet u dzieci, jednak szczyt zachorowań to 20.–40. rok życia: czas, kiedy realizuje się ambicje rodzinne i zawodowe. O zachorowaniu decydują czynniki genetyczne, zwykle jednak musi zaistnieć dodatkowy czynnik, który wywoła chorobę, np. infekcja wirusowa lub bakteryjna, silny lub przewlekły stres.

U 80–90 proc. chorych występuje łuszczycowa plackowata. Na skórze widać czerwone, pogrubione zmiany skórne, pokryte białą lub srebrzystą łuską. Mogą pojawiać się na twarzy, owłosionej skórze głowy, rękach, nogach, klatce piersiowej, a także na paznokciach czy



Choruje nie tylko skóra

w jamie ustnej. Zmiany swędzą, pieką, bołą, mogą krwawić, łuszczyć się. Około 80 proc. chorych ma tzw. łagodną postać łuszczycy: zmiany obejmują mniej niż 10 proc. ciała i wystarcza stosować leki działające miejscowo. Nie znaczy to, że leczenie jest proste: często całymi dniami trzeba nakładać kolejne preparaty i wypróbować wiele środków, by stan skóry się poprawił. Odbijają się na niej każdy

stres, infekcja, przemęczenie, dlatego leczenie nie jest łatwe.

Jeśli zmiany są widoczne na twarzy, skórze głowy, dłoniach, to chorzy unikają kontaktów z innymi. Zwłaszcza że wciąż zdarzają się nieprzyjemne reakcje: odsuwanie się, niepodawanie ręki, nieprzyjemne komentarze, np. na basenie, plaży, w sklepie. – Mimo że organizujemy wiele kampanii mających na celu budo-



chorujących na łuszczycę. – Tam problem może być jeszcze większy. Po pierwsze, przyczyną jest wygląd, którego chory się wstydzi. Po drugie, sam stan zapalny toczący się w organizmie również generuje depresję – mówi Dagmara Samselska. Opublikowany przed kilkoma laty „Globalny raport WHO na temat łuszczycy” potwierdził, że w wielu przypadkach jest to choroba wyniszczająca psychicznie; prawie 10 proc. osób deklarowało, że chciałoby umrzeć.

DOBRE WIADOMOŚCI

Łuszczycza to też ogromne koszty społeczne. Instytut INNOWO opracował niedawno raport, w którym wyszczególniono m.in. koszty opieki nad chorymi, zwolnień lekarskich, prezenteizmu, czyli nieefektywności w pracy, porad specjalistycznych, pobyków w szpitalu z powodu powikłań. Wynika z niego, że w 2017 r. koszty finansowania leczenia wynosiły 129,4 mln zł, a koszty pośrednie, rozumiane jako wartość niewytworzonego PKB na skutek łuszczycy, łuszczycowego zapalenia stawów i ich powikłań, wyniosły łącznie aż 8,4 mld zł! Już z samego porównania tych liczb widać, jak ważne jest skuteczne leczenie tej choroby, jeśli to tylko możliwe.

Dlatego zarówno eksperci, jak i pacjenci tak cieszyli się z wiadomości ogłoszonej początkowo przez wiceministra Macieja Miłkowskiego na Twitterze o refundacji od września nowego leku do stosowania miejscowego. – Jest bardzo ważny i potrzebny; to najnowocześniejsza terapia miejscowa ze wszystkich dostępnych obecnie. Działa szybciej niż inne preparaty miejscowe, ma wyższą skuteczność. Dla pacjentów z łagodnymi postaciami łuszczycy (to nawet 80 proc. chorych, którzy nie wymagają terapii ogólnych) to bez wątpienia wielka zmiana – nie kryje entuzjazmu prof. Narbutt, dodając, że dzięki tej decyzji leczenie w Polsce łuszczycy preparatami miejscowymi to już standard europejski. Nowy lek jest w wygodnej dla chorych postaci piana, dzięki czemu łatwiej przenika przez barierę skórną, stąd m.in. jego wyższa skuteczność. – Dzięki tej decyzji polscy pacjenci mają dziś dostęp do pełnego portfolio leków miejscowych: na razie nic bardziej nowoczesnego nie ma – dodaje prof. Narbutt.

Decyzja o refundacji ucieszyła też pacjentów. – Cieszymy się z każdego nowego leku na liście refundacyjnej, jeśli chodzi

o leczenie miejscowe, bo leki nowej generacji są bardzo drogie, to koszt kilkuset złotych miesięcznie. Taki lek na liście refundacyjnej to dla naszych pacjentów ogromna ulga finansowa, ale i nadzieja, że dzięki coraz nowszym i skuteczniejszym lekom jakość życia zmieni się na lepsze – dodaje Dagmara Samselska.

CZEKANIE NA DALSZY CIĄG

Pojawiają się wciąż nowe metody leczenia, pacjenci mają nadzieję, że możliwości ich zastosowania w Polsce będą coraz lepsze, a zwłaszcza że poprawi się dostęp do leczenia biologicznego dla osób z łuszczycą umiarkowaną i ciężką, u których stosowanie leków miejscowych nie przynosi efektu ani nie pomagają również klasyczne leki przeciwzapalne. – Mamy kilka barier, które musimy pokonać: Polska jest chyba jedynym krajem, w którym leczenie biologiczne jest przerywane mimo skuteczności. Niedawno byliśmy na rozmowie z wiceministrem Maciejem Miłkowskim, cieszymy się, że jest otwarty na rozmowy na temat wydłużenia czasu leczenia biologicznego, dlatego czekamy z niecierpliwością na listopadową listę refundacyjną. Pojawiają się też nowe terapie biologiczne, które mogą stosować także kobiety w czasie ciąży i karmienia piersią – dodaje Dagmara Samselska. Pacjenci czekają także na możliwość korzystania z fototerapii: niedostateczna wycena świadczenia powoduje, że jest dostępne tylko dla chorych w większych ośrodkach.

Dużym problemem jest też trudny dostęp do lekarzy. – Lekkie postaci łuszczycy mogą leczyć wszyscy dermatolodzy, jednak umiarkowane i ciężkie stanowią duże wyzwanie. Dlatego zależy nam na powstaniu ośrodków, w których pracowałby lekarze doświadczeni w leczeniu ciężkich przypadków łuszczycy – przekonuje prof. Narbutt. Chorzy powinni mieć tam także możliwość konsultacji z innymi specjalistami, np. z kardiologiem, reumatologiem, diabetologiem, dietetykiem, psychologiem czy psychiatrą. – To problem szczególnie w mniejszych miejscowościach, ponieważ osoby z łuszczycą są często wycofane, ze względu na stan psychofizyczny mają trudności w dostępie do lekarza. Przewlekły charakter łuszczycy sprawia, że chory wymaga stałej opieki i kontroli specjalisty – dodaje Dagmara Samselska.

wanie świadomości, cały czas wiele osób pyta, czy łuszczycą można się zarazić. Niedawno mieliśmy wystawę związaną z kampanią „Planujemy nowe życie”. Jedna z pań, która podeszła obejrzeć zdjęcia, powiedziała, że nie życzy sobie, żeby na basen przychodziły osoby chorujące na łuszczycę, gdyż to nieestetyczne – mówi Dagmara Samselska, przewodnicząca Unii Stowarzyszeń Chorych na Łuszczycę i Łuszczycowe Zapalenie Stawów. Gdy takie słowa słyszy osoba, która i tak z powodu wyglądu ma obniżone poczucie własnej wartości, jeszcze bardziej zamyka się w sobie: zostaje w domu, idzie na zwolnienie lekarskie, rezygnuje z pracy. – Często chorzy unikają aktywności z samej obawy, że mogliby zostać źle potraktowani – dodaje Dagmara Samselska. Potwierdza to prof. Narbutt: pacjenci mają poczucie stygmatyzacji. Wiele osób chorych na łuszczycę czuje się tak, jakby były poza nawiasem społeczeństwa.

Stąd już tylko krok do depresji: stwierdza się ją u ponad 60 proc. osób



JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Ostatni lisowczyk

Twórcą oddziałów sławnej lekkiej jazdy polskiej, które w 1619 r. dokonały pierwszej odsieczy Wiednia, był Aleksander Józef Lisowski. Od jego imienia wzięły zresztą nazwę – zwano je bowiem lisowczykami. Ostatnim sławnym ich pułkownikiem był Mikołaj Moczarski lub Mocarski herbu Łada, człowiek, który poświęcił całe życie wojnie.

Jego pochodzenie było typowe dla większości lisowczyków. Urodził się ok. 1590 r. na ziemi wiskiej. Ojciec był typowym zaściankowym szlachcicem – szaraczkiem – posiadał bowiem części wsi Mocarze Budne i Mocarze Zabłotne nad Biebrzą. Zapewne z biedy w 1607 r. jego syn zaciągnął się do chorągwi Lisowskiego w Moskwie i przeszedł cały ich szlak bojowy, uczestnicząc w wielkim zagonie 1616 r., a potem biorąc udział w wyprawie królewicza Władysława po carski tron. W 1619 r. znalazł się w oddziałach elearów, jak zwano lisowczyków, zaciągniętych do walki z Bethlenem Gaborem, księciem siedmiogrodzким, który zaatakował i obległ Wiedeń. Równoczesny najazd lisowczyków na Siedmiogród spowodował wycofanie się Siedmiogrodzian spod stolicy, co zyskało w polskiej historiografii miano pierwszej odsieczy wiedeńskiej.

Moczarski żył wojną i z wojny się utrzymywał. W 1620 r. walczył w Czechach z protestantami, biorąc udział w bitwie pod Białą Górą. Rok później wrócił do Rzeczypospolitej, aby wraz z lisowczykami wziąć udział w obronie Chocimia na czele własnej chorągwi lekkiej jazdy. W 1622 r. pod dowództwem Stanisława Strojnowskiego poszedł na Śląsk, na pomoc armiom cesarskim walczącym w wojnie trzydziestoletniej. Na jesieni wrócił do kraju, prawdopodobnie w 1623 r. lub rok później otrzymał, tak jak zresztą wszyscy elearzy, wyrok banicji za łupiestwa.



FOT. WIKIPEDIA

Moczarski wrócił jednak z chorągwią do Polski we wrześniu 1624 r., starając się o przebaczenie. W obliczu zbliżającej się wojny ze Szwecją Sejm zdjął zeń banicję, a w lipcu 1626 r. otrzymał on list przypowiadni na chorągiew kozacką. Zaciągał do niej przede wszystkim dawnych lisowczyków. Na czele pułku lekkiej jazdy, będącym ostatnią formacją składającą się z elearów, wyruszył pod Gdańsk, zagrożony atakiem wojsk króla Szwecji Gustawa Adolfa. Moczarski pobił pod Oliwą straż przednią wroga, zdobywając języków i szarpiąc podjazdami wroga. Lisowczycy dokonywali cudów waleczności, przedzierając się 19 września do Gdańska. Kilka dni później zaskoczyli w Białej Karczmie pod Puckiem pijanych rajtarów, otoczyli ich i wybili, rozbili też nadciągające z odsieczą dwie kompanie jazdy szwedzkiej.

Na czele ostatnich lisowczyków Moczarski wziął udział w bitwie pod Gniwem niesłusznie nazwanej porażką husarii. W bitwie wyróżnił się, podpalając Gronowo na tyłach Szwedów, urządził na nich zasadzkę i odbił wieś, podczas odwrotu dowodził tylną strażą armii.

Były to jednak ostatnie wojenne sukcesy formacji znanej nie tylko z bitewnej sprawności, lecz także okrucieństwa. W listopadzie 1626 r. na kole rycerskim usunięto ze stanowiska dawnego pułkownika, Idziego Kalinowskiego, za gwałty, rabunki i samowolę. Z poparciem hetmana Koniecpolskiego wybrano na tę godność Moczarskiego. Jedno-

ześnie przyjęto chorągwie elearów na regularną służbę, zmieniając je po prostu w zwykłe rotty kozackie, czyli oddziały lekkiej jazdy, składające się z Polaków i niemające nic wspólnego z kozakami zaporoskimi.

Okolejnych czynach Moczarskiego można by napisać epopeję. Brał udział w bitwie pod Czarnem w następnym roku, organizował podjazdy i zasadzki na Szwedów, odbijając im konie i jeńców, pod koniec kampanii dowodził już pułkiem złożonym z husarzy, kozaków, rajtarów i piechoty – swoistymi siłami specjalnymi armii polskiej do wykonywania ryzykownych zadań. Najślawniejszą jego akcją było odzyskanie w 1628 r. przeprawy przez Wisłę w Nowym, gdzie wywabił w pole załogę, po czym wziął ją do niewoli razem z gubernatorem Nilsem Kaggem.

Znamienne, że w czasie pokoju Moczarski nie różnił się od pozostałych bohaterów i rycerzy polskolitewskich, gnębiąc i obdzierając łycków oraz chłopów. W 1630 r. jego chorągwie łupiły Wielkopolskę, obległy Szydłów, domagając się okupu, a ponieważ miejscowy starosta stawiał opór – podpaliły przedmieścia, zamek i kościół. Zapewne dlatego kolejny cel byłych lisowczyków – Raków – wypłacił okup bez żadnych kłopotów.

Do końca życia Moczarski nie opuścił żadnej kampanii wojennej, walcząc z kozakami Tarasa Fedorowicza, w wojnie pod Smoleńskiem i w starciach na Pomorzu w 1635 r. Zmarł w 1638 r., kiedy otrzymał postrzał w kolano w bitwie z kozakami pod Kumejkami; po długim leczeniu w Lublinie został pochowany w tamtejszym kościele oo. Karmelitów Bosych. Tak jak większość podobnych mu zawodowych żołnierzy, w ich liczbie Charles de Batz de Castelmorze znany jako D'Artagnan i Hieronim Chrystian Holsten, nie pozostawił po sobie żadnego majątku ani potomstwa. ©

NALEWKI MINISTRA ARDANOWSKIEGO

Nalewki towarzyszą Polakom od setek lat. Kiedyś były ozdobą domów, nie tylko szlacheckich. Produkcja nalewek, które zamknięte w sobie smak i aromat owoców, kwiatów i innych części roślin, była domeną kobiet. To gospodyni zarządzała tzw. apoteczką, w której przechowywane były butelki z tymi specjami, i ona wydalała mężowi oraz jego kolegom odpowiednią ilość trunku.

Receptury były pieczętowane przechowywaną tajemnicą, przekazywaną przez matkę do-rastającej córce. Jedną z niedocenionych, a wspaniałych roślin jest powszechny w całej Polsce czarny bez. Silne właściwości lecznicze mają zarówno owoce, jak i kwiaty czarnego bzu.

Białe kwiatki rosnące w postaci baldachów są powszechnym widokiem na polskiej wsi, głównie w maju. Z kwiatków przez wieki wytwarzano lemoniadę, zalewając osłodzoną wodą odpowiednią ilość kwiatków. Po kilku dniach rozpoczynała się fermentacja, a bukiet zapachu i smaku z kwiatków przechodził do roztworu.

Otrzymywaliśmy smaczny musujący napój gazowany.

Z kwiatków uzyskuje się również znakomitą nalewkę. Zebrane razem z pyłkiem kwiatki przekładamy w szerokim słoju warstwami z wyszorowanymi, wyparzonymi i pokrojonymi w plasterki cytrynami.

Zalewamy to wszystko ostudzonym roztworem wody i cukru. Po kilku dniach

rozpoczyna się proces fermentacji, który, jeżeli trwałby zbyt długo, popsułby smak nalewki. Dlatego krótko po rozpoczęciu „bąbelkowania” zlewamy roztwór, wyciskając również z kwiatków i cytryn cudowny bukiet w nich zawarty. Roztwór zalewamy odpowiednią ilością spirytusu. Dodajemy trochę arcydzięgla i sok z kilku limonek. Wszystko musi trochę (kilka miesięcy) postać, chociaż czekanie nie jest łatwe... Dobrze wykonana nalewka, zwana w Wielkopolsce, podobnie jak czarny bez, „hyka”, może być ozdobą każdego stołu. Jest jednocześnie silnie związana z naszą tradycją.

Kwiatki można również jeść, najlepsze są zanurzone w cieście naleśnikowym i usmażone w głębokim tłuszczu. Posypane cukrem pudrem – palce liżać!

oprac. raw

**Jan Krzysztof
Ardanowski
jest ministrem
rolnictwa
i rozwoju wsi.**



FOT. GREGOR CZAJKA/VEST NEWS



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Czosnek made in...

Samochód powinien być niemiecki, buty włoskie, a perfumy francuskie. To wiadomo.

A marchewka? Oczywiście marchewka obowiązkowo ma być polska. Takie mamy głębokie przekonanie, zresztą poparte wiedzą, że żywność powinna być wyprodukowana jak najbliżej miejsca, gdzie będzie zjadana.

Na targu nie oczekujemy, że na ziemniakach będzie metka „made in Poland”, ale w dużych sieciach oznakowanie kraju pochodzenia świeżych warzyw i owoców jest obowiązkowe. Czy to wszystko czytamy – jest osobną kwestią.

Zakładając nawet, że tak, to czy to, co tam piszą, jest wiarygodne?

Sprawdził to UOKiK. I okazało się, że niezupełnie.

Skontrowano 31 sklepów dużych sieci, takich jak: Dino, Biedronka, Auchan, Hipermarket Bi1, Intermarche, Lewiatan, Lidl, Netto, Polo Market, Stokrotka i Tesco. W jednej trzeciej sklepów informacje były nieprawdziwe lub wprowadzające w błąd. Na przykład cebula doznała iście czarodziejskiego rozmnożenia. Pochodziła jednocześnie z Polski, Holandii, Francji i ze Słowacji. Rzekomo polski seler przyjechał do nas z Holandii. Czosnek, niby-polski, a urosł w Egipcie.

W Polsce wymagane jest podawanie kraju pochodzenia: mięsa, ryb, owoców morza, miodu, wina, oliwy z oliwek,

jajek. Nietrudno jednak zauważyć, że na oliwach zamiast oczekiwanej „made in Spain/Greece/France” mamy informację: „mieszanka oliw z krajów EU i pozaunijnych”. Czytaj: zlewka różnych, co brzmi (i smakuje) mało zachęcająco. Oznakowanie produktu informacją „Produkt polski” jest dobrowolne, jeśli użyje się w nim nie więcej niż 25 proc. składników importowanych, które nie są produkowane w Polsce, np. rodzynki. Wszystko to jest dość mętne i nic dziwnego, że nie dowierzając tym informacjom, nie chcemy ich sprawdzać.

Czyżby? „Polacy coraz częściej zwracają na to uwagę, starają się wybierać produkty polskie” – mówi Tomasz Chróstny, wiceprezes UOKiK. Kto jednak nam da gwarancję, że kartofel



FOT. ADRIAN STOK

jest prawdziwym Polakiem, a nie podróbką z Egiptu? „Ziemniaki, zarówno te oferowane na wagę, jak i paczkowane, muszą mieć informację o kraju pochodzenia wraz z wizerunkiem flagi tego kraju” – mówi przepis. Koń by się uśmieł z tych zaleceń.

Do tego, że supermarkety nie mówią prawdy, jesteśmy przyzwyczajeni i wcale nas to nie zaskakuje. Tylko ubłocona skrzynka na targu może być materialnym dowodem na rodzimość, ale najpewniejszy jest po prostu brak jakiejkolwiek informacji o pochodzeniu. Gdy kupujemy u znajomego pana Mariana na bazarze oczywiście. ©

NAJSZYBSZY SPRINTER NA ŚWIECIE



W co się bawić, gdy jest się bardzo bogatym chłopcem, który ma już wszystko? Jedną z dyscyplin dla osób, które naprawdę nie mają pojęcia, co robić z pieniędzmi, jest sprint do 400 km/godz. i nagłe zatrzymanie samochodu. Początkowo najlepszym w tym prestiżowym sporcie był

Pablo Montoya za kierownicą bugatti chiron. Dwa lata temu rozpędzenie superauta od zera do 400 km/godz. i wyhamowanie do zera zajęło mu 41,96 s. Nieźle? Niby od tego czasu już trzy razy udało się ten rekord poprawić. Szwedzcy kierowcy z Koenigsegga, siedząc za kółkiem modelu Agera RS, szybko zrobili to samo

w ciągu 36,44 s, a po miesiącu poprawili własny rekord, schodząc do 33,29 s. Niedawno zmienili brykę na model Regea – auto, które pod maską skrywa 5-litrowy silnik benzynowy V8 o mocy 1115 KM, a także trzy silniki elektryczne o łącznej mocy 714 KM. Tak duża liczba koników sprawia, że ważąca nieco ponad 1,4 tony regea od zera do 400 km/godz. przyspiesza w zaledwie 22,8 s.

W konkurencji sprintu i hamowania Szwedom udało się zaś zejść do zaledwie 31,49 s. Teraz czas na odpowiedź chłopaków z Bugatti. Może być ciekawie, zwłaszcza że model Chiron pobił ostatnio rekord świata, rozpędzając się do 490 km/godz.

NOWE MITSUBISHI ASX I L200 WJECHAŁY DO POLSKI

Główny face lifting przeszedł crossover oraz pick-up spod znaku „trzech diamentów”. ASX po stylistycznych zmianach upodobił się do najbardziej muskularnego modelu japońskiej firmy, czyli do Eclipse Crossa.

Zyskał także dwulitrowy silnik o mocy 150

KM, który potrafi rozpędzić ten mały SUV od zera do 100 km/godz. w 10,2 s. Odświeżony pick-up L200 zyskał zaś m.in. nowy pas przedni, błotniki i tylne reflektory. L200 zyskało także m.in. system ostrzegający o ruchu poprzecznym podczas cofania na parkingu oraz zestaw kamer 360 stopni. Wewnątrz w obu modelach zmiany są tylko kosmetyczne. Cena ASX waha się od 74,5 tys. zł do niemal 116 tys. zł, a L200 od 135,9 do 167,2 tys. zł.



KOBIETY SKUPIONE NA DRODZE

Niebezpieczne zabawy dużych chłopców nie zawsze wymagają ogromnych pieniędzy.

Z badania przeprowadzonego przez Smith's Lawyers w USA wynika, że aż 70 proc. mężczyzn za kierownicą podczas jazdy angażuje się w czynności, które mocno ich rozpraszają. Panowie o 22 proc. chętniej niż panie używają

np. smartfonów podczas jazdy. Jeszcze gorzej wypadamy w kategorii próba prowadzenia samochodu z kierownicą między kolanami – prawdopodobieństwo, że takiej odważnej głupoty spróbuje facet, jest aż o 74 proc. wyższe. O 70 proc. rzadziej kierujące autami kobiety oglądają też filmy wideo. Prowadzący samo-

chody panowie są też aż o 260 proc. bardziej skłonni do oglądania się za seksownymi kobietami niż kierujące panie za atrakcyjnymi przechodniami. Obie płcie przyznają za to, że uwielbiają jeść za kółkiem gorące posiłki lub pić gorące napoje (58,9 proc. mężczyzn i 58,2 proc. kobiet). ©©

Jacek Przybylski

Mistrzostwa świata w Pekinie przyniosły ogromne emocje i sukcesy – polska reprezentacja koszykarzy awansowała do ćwierćfinałów, a po mundialu w rankingach FIBA podskoczyła w górę o 12 pozycji na 13. miejsce! A wszystko to wydarzyło się od momentu, gdy Grupa Energa postanowiła wesprzeć polską koszykówkę.

GRZEGORZ KSEPKO: Zgadza się, nasi koszykarze mogą pochwalić się doskonałymi osiągnięciami. Rozpiera nas duma, ponieważ to, co zrobili, było dla wielu osób niewyobrażalne. Biało-Czerwoni pokazali nie tylko bardzo dobrą grę, lecz także niesamowitą wolę walki i zaangażowanie. Udowodnili, że warto ich wspierać, warto sponsorować polską koszykówkę. Tuż po mistrzostwach reprezentanci odwiedzili nas w siedzibie Grupy Energa w Gdańsku, przywieźli własnoręcznie podpisaną, pamiątkową koszulkę. Po Pekinie byli jeszcze pełni emocji, a więc ich opowieści o mistrzostwach były bardzo energetyczne. Cieszę się, że mogłem uściśnąć im dłonie – po 52 latach nasza kadra narodowa otworzyła zupełnie nowy rozdział w historii polskiej koszykówki.

Jak dalej będzie wyglądać wasza współpraca? Bo rozumiem, że to raczej początek niż koniec wspólnej przygody...

Jeszcze przed mundialem w Chinach przedłużyliśmy współpracę z PZKosz. Nowa umowa zakłada, że przez najbliższe dwa lata będziemy partnerami. Teraz widać, jak bardzo trafiona była to decyzja. Nasze zaangażowanie w koszykówkę obejmuje też wsparcie Polskiej Ligi Koszykówki – Energa Basket Ligi Mężczyzn i Energa Basket Ligi Kobiet, reprezentacji 3 x 3 i koszykarzy na wózkach. Umowa z PZKosz to także współpraca w ramach akademii koszykarskich dla

Nowy rozdział w historii polskiego „kosza”

Rozmowa z kierującym Grupą Energa prezesem Grzegorzem Ksepko



Kierujący Grupą Energa Grzegorz Ksepko i reprezentanci Polski: Karol Gruszecki, Aaron Cel, Adam Waczyński, Adam Hrycianiuk FOT. MATERIAŁY PRASOWE

najmłodszych. I przyznam, że zachęcanie najmłodszych do uprawiania sportu to jeden z naszych priorytetów. Przecież to właśnie najmłodszy będą kiedyś wypełniać koszykarskie parkiety i reprezentować Polskę, tak jak teraz robi to nasza wspaniąca drużyna.

No właśnie, skoro o najmłodszych mowa... Dlaczego właśnie koszykówka? Dlaczego sport pańskim zdaniem jest tak ważny już w młodym wieku?

Wychowanie poprzez sport, zachowania i postawy, których uczy sport, są dla młodego człowieka niezwykle ważne. Gra zespołowa i rywalizacja w duchu fair play, dążenie do celu, determinacja – to wszystko kształtuje się w młodym wieku i bardzo przydaje

dialu nie zabraknie miłośników tego sportu wśród najmłodszych. Teraz pewnie każdy młody koszykarz będzie chciał być jak Waczyński, Ponitka czy Hrycianiuk.

Wsparcie talentów to jedno. Jednak przecież zaangażowanie w sport to także biznes, doskonały sposób na promocję. Zwłaszcza teraz, po tak spektakularnych osiągnięciach naszej reprezentacji.

Po tym, czego dokonali Biało-Czerwoni w Chinach, media na całym świecie rozpięły się o naszych koszykarzach, o „chłopakach z polskiej ligi”, którzy pokonali drużynę Chin czy Rosji. A my, jako dumny sponsor polskiej koszykówki, bo należy przypomnieć, że jesteśmy także sponsorem Polskiej Ligi Koszykówki, możemy się z tego tylko cieszyć. Czy zaangażowanie w sport to biznes? Warto spojrzeć na to inaczej. Zaangażowanie, czy to w sport, czy to w inne ważne społeczne inicjatywy, jest obowiązkiem biznesu. Na tym polega jego społeczna odpowiedzialność. I my, jako Grupa Energa, jako spółka Skarbu Państwa, mamy świadomość swojej odpowiedzialności i staramy się, jak najlepiej wypełniać nasze obowiązki wobec Polaków. Tego rodzaju zaangażowanie to część naszej misji. Silny sport, silna reprezentacja to wizytówka silnej Polski. Angażując się w rozwój i promocję sportu, angażujemy się w promocję Polski. Mistrzostwa świata w Chinach są tego idealnym przykładem – tylko tam, na miejscu, mecz gospodarzy z naszą reprezentacją narodową oglądało ponad 300 mln widzów. Jeżeli wśród tych milionów był ktoś, kto o Polsce wcześniej niewiele słyszał, to dzięki naszej drużynie i jej osiągnięciom już na pewno wie, że trzeba się z nami liczyć.

w dorosłym życiu. A dlaczego koszykówka? To sport budzący bardzo pozytywne emocje, a przede wszystkim sport dostępny dla każdego. Mam tu na myśli osiedlowe czy szkolne boiska. Kosz do rzucania można znaleźć niemal wszędzie, wystarczy piłka i można zaczynać.

A co później, jak Grupa Energa wspiera młode talenty, kiedy boisko to już za mało?

Angażujemy się w koszykówkę na każdym polu – czy to zawodową, czy amatorską. Wspieramy regularnie akademie koszykarskie, bo to właśnie tam kształcą się kolejni utalentowani zawodnicy. A mam nadzieję, że po tak spektakularnym udziale naszej reprezentacji w mun-



ANDRZEJ NOWAK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Hamulce i motory

Jak używać przeszłości, żeby z hamulca niepozwalającego nam ruszyć naprzód przekształciła się w motor postępowych zmian w naszym myśleniu i działaniu „tu i teraz”?

Jedną z najbardziej zasłużonych polskich scen teatralnych zaprosiła mnie do dyskusji nad tak właśnie sformułowanym pytaniem. Uderzyły mnie w nim najpierw te metafory, nieco wyświechtane, jakby z końca XIX w.: motor i hamulec. W każdym razie jasno wskazany został cel: mamy „ruszyć naprzód”, w kierunku „postępowych zmian”. Historia, rozumiana tutaj jako pamięć prze-

nej podpowiedzi organizatorów debaty wskazywał jednoznacznie: takiej, która nie jest używana, a już zwłaszcza używana przez władzę, przez państwo, przez polityczną wspólnotę. Historia jako nauka została tu przeciwstawiona wszelkiemu używaniu, uznanemu za potencjalnie niebezpieczną manipulację. A więc: używać historii czy nie używać?

Moi koledzy-dyskutanci z Lublina potępiali stanowczo politykę pamięci, która miałaby podtrzymywać poczucie wspólnoty kulturowo-historycznej, nazywanej także tożsamością narodową. Tutaj wskazywali niebezpieczny „hamulec” postępu. Zdecydowanie bronili jednocześnie wizji historii „krytycznej”, „zaangażowanej” – takiej, która „dekonstruuje mity”, „zadaje trudne pytania”. A więc jednak trzeba używać historii – do rozbijania „narodowych mitów”. Czy tylko w imię prawdy historycznej? Czy raczej w imię ideologicznego celu: swoistej wizji postępu jako wyzwolenia z narodowych ograniczeń, wyzwolenia człowieka z Polaka, wyzwolenia kobiety z matki Polki?

Odniosłem wrażenie, że chyba jednak chodzi tu o to drugie, o swoisty sposób używania historii – żeby Polaka zawstydzić, matkę Polkę ośmieszyć. Moi znakomici współpaneliści podkreślali konieczność stałego pogłębiania wiedzy o takich aspektach polskiej historii, której symbolem jest zbrodnia w Jedwabnem albo zbrodnia w Sahryniu, popełniona na ludności ukraińskiej przez partyzantów AK i BCH. Zgadzam się z tym postulatem: powinniśmy lepiej, dokładniej poznawać każdy aspekt naszej historii, zwłaszcza taki, gdzie pojawiają się ludzkie ofiary. Zapytałem jednak, czy nie powinniśmy z tego samego względu zająć się na przykład dokładniej sprawą ludobójstwa dokonanego

na Polakach w ZSRS w latach 1937–1938. Przypominałem, że na podstawie jednego tylko rozkazu o tzw. operacji polskiej NKWD, wydanego w sierpniu 1937 r., rozstrzelano 111 091 osób, to jest więcej, niż zginęło Amerykanów w wojnie koreańskiej i wietnamskiej razem wziętych. Są tysiące filmów fabularnych, które utrwalają pamięć tragedii tamtych dwóch wojen – i nie ma ani jednego, który przypominałby los Polaków – tropionej zwierzyny w państwie Stalina. Czy to dobrze? Usłyszałem wtedy od kolegi dyskutanta, żeby nie przesadzać, bo wśród owych niespełna 112 tys. rozstrzelanych tylko (sic!) ok. 70–80 tys. było etnicznymi Polakami. Mój polemista zapomniał, że w tym samym czasie w kilku innych operacjach oprawcy Stalina wytopili i zamordowali jeszcze co najmniej drugie tyle Polaków. Uderzyła mnie jednak przede wszystkim pasja, z którą podkreślił, że w losie polskich ofiar nie było nic szczególnego, zasługującego na specjalną także pamięć... Nie wspominajmy polskich ofiar – bo to niebezpieczne! Jeśli je wspominamy, badamy – to podobno pograżamy się w mitach, które trzeba koniecznie zdekonstruować.

No cóż, można i tak. Tylko że taki wybór nie jest wyborem „czystej historii”, ale jej używania w służbie swoiście rozumianego postępu. Historia ma być paliwem napędzającym „motor” tegoż postępu. Ma pomóc zapomnieć, że byliśmy Polakami. Historia ma być koszmarem, z którego wyzwoli nas przyszłość. Chyba o taką odpowiedź wołają metafory z zaproszenia do dyskusji, którą zapowiada Narodowy Stary Teatr w Krakowie.

Wybiorę się na tę dyskusję, by sprawdzić, czy chodzi tylko o to, żeby pozbyć się tej strasznej nazwy: Narodowy? ©©

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE



szłości, zidentyfikowana została w owym „ruchu” jako problem. Żeby go rozwiązać, proponuje się – od razu, bez wahania, już w drugim słowie – „używać” przeszłości, oczywiście używać do przyspieszenia postępu.

Wróciłem akurat z XX Powszechnego Zjazdu Historyków Polskich w Lublinie, gdzie miałem okazję uczestniczyć w zamykającym obrady panelu, poświęconym odpowiedzi na podobne w gruncie rzeczy pytanie: „Jakiej historii potrzebują Polacy?”. Ton wprost formułowa-

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

OKIEM JASTRZĘBIA

Kozy a wizje Goldinga

Całe zło świata pochodzi od sztuki, idealistów i innych czynników. Decydują autorytarnie, że nie będziemy się tu zajmować innymi czynnikami. Kozami się zajmiemy i muchami.

Wydawało się, że dzieci są niewinne, że przecież społeczeństwo przez nie utworzone to będzie raj. Lecz William Golding przyjrzał się temu okiem artysty. We „Władcy much” opisał takie mikrospołeczeństwo chłopców na bezludnej wyspie. To ważne, na wyspie. Mówiłem już, że na wyspie? No właśnie, na wyspie. Bezludnej. Ci chłopcy się tam znajdują niewinni ze swoim chłopięctwem i dobrymi wzorcami z domu i z wychowania. I niewinnie zaczyna się rzeź. Rzeź straszną między chłopcami. Nie będę tu zdradzał fabuły antyutopii, bo jak ktoś nie zna, to nieuk i nie chcę z kimś takim na żadną wyspę.

Mówiłem już, że akcja toczy się na wyspie? No właśnie, na wyspie. To ważne. Bezludnej. Cóż może być niewinniejszego od chłopców? Kozy. Oczywiście kozy. We wszystkich rankingach niewinności kozy stoją ponad chłopcami. Twórca tego pomysłu, który miał miejsce naprawdę na wyspie na Wiśle w Warszawie, z pewnością czytał Goldinga. Dam sobie za to kozę wydoić. Jak kupię. I ten twórca postanowił umieścić na tej wyspie kozy. Naprawdę. Teraz, niedawno, za błogosławieństwem Unii Europejskiej i Warszawy.

Na bezludnej wyspie na Wiśle w Warszawie umieszczono 60 kóz. Serio. Pretekst

był taki, że niby ekologicznie będą żreć trawę zamiast kosiarek. To znaczy kozy nie żrą kosiarek oczywiście, żrą trawę. Teraz ludzie mają fiołka na punkcie ekologii i są z tego same nieszczęścia, jak ze sztuki czy z tych idealistów. Jestem pewien, że twórca idealista tego postępowego pomysłu umieszczenia kóz na bezludnej wyspie zainspirowany był Goldingiem i na przekór postanowił pokazać, że kozy to nie chłopcy i utworzą harmonijne społeczeństwo wegetariańskie żrące rośliny. Skończyło się jak zawsze z tymi idealistami. Kozy pochorowały się, powyzydchały, a truchła popłynęły Wisłą. Czy powstanie z tego „Władca kóz”? Czy dzieło pokaże upadek mitu, czy nawiąże do Belzebuba i much? Zobaczymy. Wielu jest pisarzy w Warszawie, w tym sporo idealistów, więc może coś skrobną.

Ja ze swojego niemiłego przyglądania się światu to na koniec postawię tezę, że ci wszyscy moi stołeczni i postępowi, którzy pozwolili na umieszczenie tych kóz na tej wyspie, to mogli mieć lub być może mieli w tych głowach to, co ci elitarni członkowie oddziału z książki Jona Ronsona „Człowiek, który gapił się na kozy”, sfilmowanej zresztą. Tak z grubsza chodzi o to, że postępową eksperymentalną jednostką wojskową miała walczyć o lepszą przyszłość świata m.in. w ten sposób, że jedli LSD w jajecznicę i mieli wiele pozytywnych wibracji. Moim zdaniem ekolodzy jedzą jajecznicę. I ich wibracje są bardzo niebezpieczne. ©©

MARCIN
MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Socjologia antenowa

Mam dla państwa następujący eksperyment. Jeśli siedzą państwo w domu, to proszę wyjrzeć za okno i sprawdzić, jaką antenę telewizyjną państwo posiadają. Dzięki temu w chwilach politycznego kryzysu tożsamości oraz hamletyzowania w stylu: „Na kogo głosować?” – wszelkie wątpliwości miną.

Oto Bogdan Zdrojewski, były minister kultury i dziedzictwa narodowego, kandydat KO do Senatu, zaproponował przełomową teorię socjologiczną, która stała się prawdziwym „gejmczendżem”, podważającym sens istnienia pracowni badań opinii publicznej. „Dziś wizyta m.in. w gminie Międzybórz. Wcześniej niewielkie osiedle przed Bierutowem. Spotykam sympatyczną rodzinę. Pytam o preferencje wyborcze. Pokazują okazały blok i wskazują na balkony: tam, gdzie anteny nc+ (wyższe piętra), koalicja, partery bez anten: PiS” – napisał na Twitterze polityk. Po chwili teorię wzbogacił o symetrystów: „W środku sporo anten Polsatu. Tu interpretacja niezwykle precyzyjna: »będzie różnie«. Byłem pod wrażeniem. To jak wyjątkowo profesjonalny sondaż socjologiczny” – dodał.

Rozwiązanie proste, klarowne, tłumaczące całe zawiłości ludzkich światopoglądów, decyzji i motywacji zgrabnym kluczem antenowym. Wysoko, z widokiem na miasto, mieszkają bogaci wyborcy opozycji z pakietem nc+. Oni wiedzą, co dobre, swoje gusta opierają na kanałach filmowych premium,

przeplatanych programami na National Geographic i remontach mieszkań na Domo+. W wolnej chwili oglądają wernisaże na programie Arte, a spragnieni sportu – snooke- ra, curling, ewentualnie Premier League. Na hałaśliwych parterach – bez anten i szerokiego horyzontu – gnieźdzą się wyborcy PiS. Do nich docierają tylko: propaganda TVPiS, koncerty disco polo, filmy i serie patriotyczne oraz transmisje sportów dla mas: siatkówki, skoków narciarskich i jeden mecz Ligi Mistrzów na tydzień.

I teraz, co ciekawe, twardy orzech do zgryzienia z widzami Cyfrowego Polsatu. U nich „nie wiadomo”, bo trochę za reżimem, trochę za blichtrem wielkomiejskiego życia. Mówi im się i o sukcesach, i o porażkach rządu, więc wybrać muszą samodzielnie, a to – jak wiemy – kłopotliwe i wprowadzające chaos poznawczy. I gdy już chciałem ministrowi Zdrojewskiemu pogratulować celnej analizy, opublikował następujący wpis: „Proszę pamiętać o tym, że to jedynie cytaty, że są osoby, które tak myślą. Jeżeli ktoś odebrał to bezpośrednio lub poczuł się urażony – przepraszam. Nie to było moją intencją”. A szkoda, bo świetnie wpisywało się to wszystko w inną świeżą teorię, tym razem Jerzego Stuhra, który u Tomasza Lisa ocenił, że wyborcy PiS to potomkowie chłopów pańszczyźnianych, którzy „mszczą się za wielowiekowe ciemnienie”. Szkoda, że nie dodał, kim w takim razie są zwolennicy drugiej strony. To pozostawiam państwu wyobraźni. ©©



KATARYNA

OKIEM BLOGERKI

Dawid idzie na wojnę

JAROSŁAW KURSKI: *Te wybory to walka Dawida z Goliatem. Naszym obowiązkiem jest pomóc Dawidowi. Ludzie muszą dowiedzieć się tego, co władza próbuje przed nimi ukryć! W miastach poniżej 100 tys. mieszkańców rozdamy 1 mln egzemplarzy gazety przedwyborczej. To Dawid pokonał Goliata.*

Abstrahując od tego, że Jarosław Kurski, podobnie jak jego brat Jacek, ma fundamentalny problem ze zrozumieniem, że rolą mediów nie jest pomaganie komukolwiek wygrać wybory, to jednak wzruszające, że po tych wszystkich latach ciągle jeszcze wierzy

innym mediom oraz internetowi „starzy, gorzej wykształceni, z małych ośrodków” świetnie wiedzą, co Jarosław Kurski ma im do powiedzenia. Tylko to już nie działa.

Jeśli więc pomysł Kurskiego polega na pojechaniu na propiowską prowincję z tym, co ma o niej do powiedzenia w każdym innym numerze swojej gazety, to będą to pieniądze koncertowo zmarnowane, kto wie – może nawet zmobilizują elektorat partii Jarosława Kaczyńskiego. Komentując najnowszy pomysł brata prezesa TVP, Rafał A. Ziemkiewicz tak skomentował na Twitterze najnowszą inicjatywę „Gazety Wyborczej”: „Potoczne przekonanie, że jeden Kurski kieruje propagandą PiS, a drugi liberalnej lewicy, jest całkowicie mylne. Obaj bracia pracują dla PiS, tylko jeden jawnie, a drugi jako tajnos agentos”. I naprawdę czasami trudno się z nim nie zgodzić. Czekam z niecierpliwością na najnowsze dzieło gazety znowu faktycznie wyborczej, spodziewając się kolejnego dowodu na to, że środowisko od 1989 r. nieprzerwanie komunikujące się z „ciemnym ludem” z pozycji mentora bezpowrotnie straciło wpływ na

tych, którymi – mniej lub bardziej ostentacyjnie – pogardza.

Próbuję sobie wyobrazić, co gazeta Jarosława Kurskiego wybierze do specjalnego wydania mającego skutecznie obrzydzić PiS „zwykłemu” człowiekowi, którego redaktorzy z Czerskiej nie rozumieją i zrozumieć nie chcą. Może, wzorem Platformy, pójdą na łatwiznę i postraszą imigrantami? Tak, tak, ta sama Platforma, która chciała przyjmować narzuconych unijnymi kwotami imigrantów i oburzała się na straszenie nimi, dzisiaj intensywnie promuje serwis „100 afer PiS”, w którym jako afery nr 97 wymieniona jest „afery imigrancka” polegająca z grubsza na tym, że „rząd Mateusza Morawieckiego ściągnął rekordową liczbę muzułmanów do Polski, bo aż 17 tys.”. Bo kiedy już nic na wyborców nie działa, Platformy nie brzydzi nawet straszenie ich muzułmanami i powoływanie się przy tym na serwisy prawy.pl i wieści24.pl, na które wstydzi się powoływać niejednego prawicowca. Ciekawe, czy „afery imigracyjną” Jarosław Kurski wrzuci do przygotowanego pod czytelnika z prowincji wydania swojej gazety. I jak bardzo się potem będzie dziwił, że znowu nie podziało. ©©

Co gazeta Jarosława Kurskiego wybierze do specjalnego wydania, mającego skutecznie obrzydzić PiS „zwykłemu” człowiekowi

w moc sprawczą tego, co jego gazeta ma ludziom do przekazania. Jeszcze nie zrozumiał, że problemem jego środowiska nie jest wcale to, że nie dociera do faktycznych i potencjalnych wyborców PiS ze swoim przekazem, ale to, że po prostu nie ma im nic do przekazania. Dzięki

PODSŁUCHANE

Inteligentny ocean

Jarku, czy ty jednak nie przesadziłeś z tym przywoływaniem Cyrankiewicza? Komuś się jeszcze skojarzyło o odrąbywaniu ręki podniesionej na władzę albo coś... Poza tym – Mateusz 21 lat u władzy?

Rysiek, ty nie rozumiesz. Towarzystwo Józef nie był demokratycz-

nie wybierany, a w sumie rządził ponad dwie dekady. Nas będą wybierać demokratycznie i zobaczysz, że jeszcze wiele razy.

Ale Mateusz?

To była pewna metafora. Użyłem w sensie figuratywnym. Nie dosłownie, że on akurat, ale że my. Czytałeś „Solaris” Lema?

No wiesz?! Ja Lema nie tyka!

Ile tam u niego było pochwalania komunizmu! I w „Astronautach”, i w „Opowieściach o pilocie Pirxie” się zdarzało...

Skąd wiesz, skoro nie czytasz?

No... Opowiadali mi.

Kto?

Z Platformy ludzie. Oni czytają.

To ty z nimi rozmawiasz?

O książkach?

Ja...

No dobrze już, dobrze. Coś tak zbladł? Więc w „Solarisie” jest ten inteligentny ocean. Taka wielka zbiorowa świadomość. I u nas też tak ma być, jeśli jeszcze nie jest. Partia ma być jak ten ocean.

A czy tam będzie Mateusz, czy kto inny – jakie to ma znaczenie. ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Jeszcze raz szacunek dla polityków opozycji. Poza absolutnymi wyjątkami naprawdę nie atakują się wzajemnie – krytykują władzę i pokazują swoje pomysły dla Polski”.

TOMASZ LIS, publicysta, na Twitterze



Politycy (2)

Tydzień temu cały tekst poświęciłem krętańskiej nieuczciwości polityków, dziś natomiast rozpatrzę inne paskudne cechy tej profesji. Zaczynając od trywializowania patriotyzmu, którym każdy polityk wyciera sobie gębę (jest to ich stała, można rzec: rytualna/obowiązkowa mantra), lecz ten estradowy patriotyzm ma charakter mocno szemrany na skutek tzw. „czeskiego błędu”, czyli pomyłkowego przedstawienia dwóch liter sąsiadujących ze sobą w jednym wyrazie: notorycznie mylą termin „patria” z terminem „partia”. Rzecz jasna publicznie wielu polityków wykrzykuje to samo co znany „ludowiec” Artur Balazs: „— *Interes partyjny nigdy nie może być ważniejszy od interesu państwa!*” (2019), w praktyce jednak bywa zazwyczaj na odwrót — „*racja stanu*” przestaje być dominującym imperatywem pod presją gierki bądź wojenek międzypartyjnych.

Kolejnym rytualnym/notorycznym grzechem polityków są szczodre „*obiecanki-cacanki*” przedelekcyjne. Tzw. „*kielbasa wyborcza*”. Pewien dowcip o rozmawiających dwóch paniach ujmując to bez błędu:

— Cieszysz się chyba, że wyszłaś za tego polityka, kochanie?

— Niezbyt. On umie tylko stać przy łóżku i zapewniać jak wkrótce będzie mi dobrze.

Dobrze ma być ludziom i ludzkości, krajowi i całemu światu, co wykipił Julian Tuwim dwuzwrotkowcem o polityku pełnym zalet:

„*Jakiż to uroczy działacz,
Kulturalny, familijny,
Jakiż on ma program piękny,
Śluszny i prostolinijny!*”

*Ma być tak: Cywilizacja,
Demokracja, Wolność Słowa,
Sprawiedliwość, Pokój Wieczny,
Świat wspaniały i bajeczny.*”

Według jednych: w tym wieszczaniu rażą przeważają naiwne „*dobre chęci*”, zaś według drugich: cyniczne kłamstwa. Doświadczony węgierski polityk László Sipos: „— *Myślę, że dużo ludzi jest już zmęczonych obietnikowymi kłamstwami polityków. Polityczne elity łąg nieustannie*” (2019). Do Sípósa jeszcze wróć, teraz tylko chcę zauważyć, iż to polityk prawnicowy z gruntu. A tak się jakoś składa (przynajmniej ostatnio), że prawica, a nie lewica dotrzymuje wyborczych obietnic, po obu stronach oceanu. W Polsce koalicja PO–PSL złamała wszelkie przyrzeczenia podatkowe oraz społeczne (np. 3 × 15; prof. Ryszard Bugaj, Instytut Nauk Ekonomicznych PAN: „— *Cóż, po prostu cynicznie oszukali wyborców*”, 2014), zaś PiS prawie wszystkie swoje obietnice (prócz ulżenia „*frankowiczom*”) realizuje. Podobnie we Włoszech: prawnicowie Salvini, który zastąpił lewaków u steru państwa, „*wywiązywał się*”. A Stany Zjednoczone

Ameryki? Obrany tam na prezydenta gładki/przymilny Murzyn, którego głównym hasłem wyborczym była „*Zmiana*”, nic nie zmienił, gdyż był politpoprawnym produktem salonowego establishmentu. Tymczasem gruboskórny/obcesowy „*bialas*”, prawnicowy biznesmen, wybrany przez „*lud*” w kontrze do Salonu — „*ruszył z posad*” całą amerykańską politykę (tak wewnętrzną, jak i zewnętrzną) plus gospodarke (tę ze skutkiem wprost fenomenalnym).

Kolejna słaba strona polityków to ich niewolnicze uzależnienie od sondaży. Znowu László Sipos: „— *Politycy demonizują wyniki sondaży, bo pragną się dowiedzieć co mają ludziom mówić — i to im mówią. Nawet jeśli każdego dnia będą to sprzeczne rzeczy*” (2019). Wśród tych sondaży czołową rolę grają przedelekcyjne, nad Wisłą będące nie tyle instrumentem dokumentowania preferencji wyborczych, ile manipulowania nimi. Nie była to wyłącznie priwiślińska specjalność, lecz w pewnych państwach (Anglia, Włochy i in.) wyeliminowano ją stosując drakońskie środki, które odsyłały na śmietnik nierzetelne firmy badawcze i mo-



Platon (IV wiek B.C.): „Mądrzy ludzie nie parają się polityką, i dlatego są rządzani przez głupców”



cno waliły po kieszeni kuglarskich sondażowców. Takie hucpy, jak przeszacowanie płacącej za sondaż partii o 18% (firma Homo Homini w 2013 roku), czy też o 10%, 9% i 7% (firmy Pentor, CBOS, IPSOS, OBOP — w 2001 roku na rzecz koalicji SLD–UP), dezawuuują wykonawców; podobnie było z przeszacowaniem szans. Nowocześniejszy w 2015 o 13% (firma IBRIS) czy

z dziwnymi wynikami sondaży Millward Brown w wyborach prezydenckich 2015. Słowem — jak mówi rosyjskie porzekadło — „*Orkiestra grają takie melodie, za jakie klient płaci*”. Wszelako nawet opłacony sondaż nie zmniejsza nerwowej drżączki polityków czekających na otwarcie urn — o nich (o politykach) musiał myśleć kolumbijski mędrzec Nicolás Gómez Dávila, mówiąc: „*W najdalszym kącie labiryntu duszy piszczy przestraszona małpa*” (1986).

Tym cytatem doszliśmy do „*małpiego rozumu*”, który zarzucany jest politykom, choć gdy idzie o zwierzęta — na ogół porównuje się ich z osłami, nie z małpami. Satyryk Marian Józefowicz: „*Spytała mucha osła czy kandyduje na posła. / Osioł wypalił orację i spytał o orientację*”. Żadna orientacja partyjna nie chroni przed głupotą. Znowu dowcip — rozmowa dwóch dziennikarzy na sejmowym korytarzu:

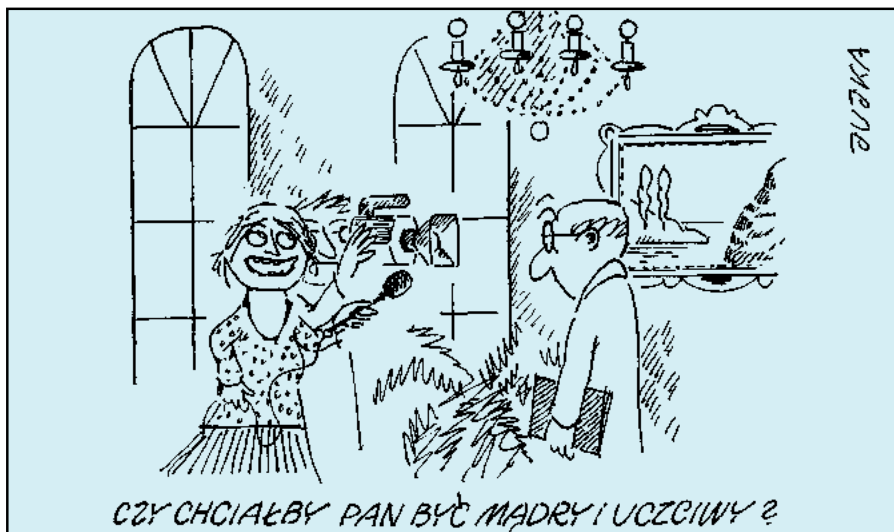
— Coś ty taki zamyślony?

— Bo kombinuję sobie, że skoro istnieje kawa bez kofeiny, herbata bez teiny, piwo bez alkoholu, papieros bez nikotyny i mleko bez laktozy — to może doczekamy parlamentu bez idiotów...

K. Przerwa Tetmajer: „*Prawie każdy polityk jest na tyle głupi, że nie widzi jaki jest śmieszny, i na tyle śmieszny, że nie widzi jaki jest głupi*” (1918). To kwestia niedostatku myślenia. Pewien „*humor zeszytów*” brzmi tak: „*Konradowi dlatego nie udał się zamach na cara, bo podczas skradania się zbyt dużo myślał*”. Z naszymi politykami zazwyczaj jest odwrotnie — wiele rzeczy nie udaje się im dlatego, że zbyt mało myślą. A także zbyt mało czytają, szczególnie młodzi. Doradca polityczny Eryk Mistewicz: „— *Nasi młodzi politycy nie czytają, nie piszą, nic nie wiedzą i nie chcą się dowiedzieć. W momencie, kiedy potrzebne jest silne państwo i silni, odpowiedzialni, odcytani, intelektualnie sprawni politycy, politycy z wizją — to nagle okazuje się, że w pokoleniu 30–40-latków takich ludzi po prostu nie ma*” (2017).

Czyli kicha. Ouuups! ☹☹

Waldemar Łysiak



GI NT RO WS KI X

JUBILEUSZOWY
KONCERT

**TEATR
POLSKI**

im. ARNOLDA SZYFMANA
W WARSZAWIE

BILETY BĘDĄ
DOSTĘPNE
W KASIE TEATRU OD
7 PAŹDZIERNIKA



MECENASI KONCERTU:



PARTNERZY:



PATRONAT MEDIALNY:

